

# KAMENA

## KWARTALNIK KRESOWY

NR 2 (931) 1991

CENA 5000 ZŁ

**W numerze:**

Bogusław Pawłowski: „Co to jest i po co jest socjalizm?” [1]

Ryszard Szymański: „Socjalizm Piłsudskiego” [5]

Eugeniusz Janas: „Z urodzenia Litwin, z narodowości Polak?” [9]

Anna Kasica: „W cieniu Ostrej Bramy” [13]

Mieczysław Buczyński: „Grażyna jak Maryna” [14]

*Okolice sztuki*  
Ireneusz J. Kamiński: „Fotografie Radwańskiego” [15]

*Felieton kwartalny*  
Anna Maj: „Gdyby Ogórek miał lokaja” [18]

Urszula Osypiuk: „Nasz poczciwy straszny diabeł” [19]

Vítězslav Nezval: „Grabarz absolutny” [23]

Aleksander Jakimowicz: „Współczesna eschatologia Rosji i Zachodu” [27]

„Więzienne wspomnienia Kazimierza Żygulskiego, b. ministra Kultury i Sztuki” [30]

*W przestrzeni*  
Ireneusz J. Kamiński: „Postmodernizm w Chełmie?” [35]

*Ekosfera*  
Marek Turczyński: „Jezior dużo — wody mało” [38]

Piotr Janowski: „Taka gmina nad granicą” [41]

*Felieton obrazkowy* [44]

Andrzej Piwowarczyk: „Iluzje pod okupacją” [45]

*Opinie*  
Stanisław Kosiński: „Socjolog na pograniczu” [48]

mk.: „Wspomnienia wygnanej” [49]

Lech Zdybel: „Od Konfucjusza do Kotarbińskiego...” [50]

Łucja Kondratowicz: „Figi były nieprzyzwolite” [51]

*Rozmaitości kresowe* [52]

*Listy do redakcji*  
Wita Szulc: „Lwowiacy i ich miasto” [54]

Mieczysław Buczyński: „Alpejskie polonice” [55]

*Kronika wschodnia* [56]

*Dokumentacje*  
Witostaw Szczasny: „Konserwacja zabytków w województwie chełmskim 1975–1989” [58]

*Regionalny słownik biograficzny*  
Konstanty Prożogo: „Zenon Waśniewski” [62]

Od REDAKTORA: Co to w Polsce znaczy „demokracja”?

## Co to jest i po co jest socjalizm?

**Bogusław Pawłowski**

Po II wojnie światowej niektóre partie socjaldemokratyczne zdobyły władzę w wyborach parlamentarnych. Zaczęły lansować i realizować politykę socjalnego zabezpieczenia warstw ekonomicznie słabych, co dało podstawy do zbudowania modelu „państwa opiekuńczego”. Najdalej zaawansowane w spełnianiu (choć dalekie od idealu) tak pojętego socjalizmu są kraje skandynawskie i Kanada.

## Nasz poczciwy straszny diabeł

**Urszula Osypiuk**

Ponura wiara w działalność mocy piekielnych i ich sojuszniczek czarownic przyczyniła się w niemalym stopniu do tego, że zarówno wieś, jak i miasto ogarnięte zostały w XVII i XVIII wieku istną manią obawy przed „siłami nieczystymi”.

## Więzienne wspomnienia

**Kazimierz Żygulski**

Pewnej nocy, gdy nikt z nas nie oczekiwał śledztwa, gdyż było właśnie święto radzieckie, 7 listopada, rocznica rewolucji, nagle wyprowadzono mnie z celi. Cekał na mnie inny niż uprzednio śledczy, co gorsza, od razu zauważyłem, że jest podpity.

## Jezior dużo — wody mało

**Marek Turczyński**

Z głosami i apelami przyrodników nikt się nie liczył i nie liczy. Jaskrawym dowodem na to jest opinia niektórych użytkowników terenu Pojezierza, że obszary chronione, jakie po wielu latach usilnych zabiegów niedawno tu utworzono — Poleski Park Narodowy i Parki Krajobrazowe — są powołane nielegalnie... Oby tylko nielegalna przyroda nie chciała szybko zejść do podziemia.



*Oto fotografia z rodzinnego albumu Radwańskiego, poddana przezeń drobnym zabiegom warsztatowym: zmianie kadru, powiększenia całości i celowo „odciętych” fragmentów, wznacniania ekspozycji. Widnieją na niej cztery zadbane niewiasty i dwóch panów, w tym brat Zenona Waśniewskiego (współzałożyciela „Kamenu”) oraz jakiś wojskowy — kompletnie wyobcowany z tego towarzystwa (...). Sam Radwański wyjaśnia, że „to jest taka anatomia fotografii rodzinnej”, utrzymanej zresztą „w galicyjskiej atmosferze”. Nie pozostaje więc nam nic innego, jak wskazanie tylko na śmiertelną powagę osób pozujących do tego zdjęcia. Niby sprawa oczywista, albowiem wiadomo, że w tamtych latach, chyba dwudziestych, ludzie sztywnieli przed obiektywem mocniej niż dzisiaj — z różnych powodów, także obyczajowych. Kolacze się przecież po głowie pytanie: czy i wówczas inteligencji nie było do śmiechu? (O fotografiach Lecha Radwańskiego piszemy na s. 15).*

Redaktor naczelny:  
Ireneusz J. Kamiński

Adres redakcji:  
22-100 Chełm, ul. Lubelska 57  
tel. 509-11

Redakcja zstrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów w tekstach przeznaczonych do publikacji; materiałów nie zamówionych nie zwraca autorom. Egzemplarze pisma do nabycia w kioskach „Ruchu” i w prenumeracie rocznej, prowadzonej przez wydawcę. Warunki prenumeraty na rok 1992 zostaną podane w nr. 4/1991. Tymczasem u wydawcy można nabyć egzemplarze archiwalne „Kamenu”: nr 1/1989, nr. 1-4/1990 — po 4000 zł każdy; nr 1-2/1991 — po 5000 zł (cennik ten obowiązuje od 20 lipca br.). Wpłacać należy przekazem bankowym ze wskazaniem: Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej, PKO O/Chełm 11514-635-132. Na odwrocie przekazu należy odnotować numery kwartalnika, którymi zainteresowany jest czytelnik. Koszt przesyłki pocztowej pisma ponosi wydawca.

Wydawca: Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej z dotacji Urzędu Wojewódzkiego w Chełmie.

Skład, łamanie i diapozytywy tekstu: „Versus”, Lublin, ul. Złota 2  
Druk: Spółdzielnia „Kartodruk” w Krasnymstawie.

Nr indeksu 362573

# Co to jest i po co jest socjalizm?

Bogusław Pawłowski

Wokół pojęcia, genezy, terażniejszości i perspektyw socjalizmu narosło szereg nieporozumień, uproszczeń i mitów. Występują one zarówno wśród jego przeciwników, jak i zwolenników. W efekcie — mimo ogromnej literatury na ten temat — mamy do czynienia z dwoma rodzajami ocen: potępieniem i apologią, to znaczy elementami, które tylko w minimalnym stopniu pozwalają zrozumieć interesujące nas zjawisko. Próby obiektywnego, naukowego spojrzenia trudno przebijają się przez grubą warstwę fenomenologii, będącej pożywką raczej emocji niż refleksji. Nie może to być jednak przeszkodą w ponawianiu takich prób.

Wyjściowe pytanie brzmi: — Jak dawne są w kulturze Europy (i nie tylko) tradycje ideologii, odwołujące się do wartości bliskich lub tożsamyh z tymi, jakie dziś (w języku lub w odczuciu współczesnych) określać się zwykło socjalistycznymi?

Odpowiedź nie jest i być nie może jednoznaczna. Praktyka wdrażania socjalizmu dla wielu liczy się od zwycięstwa Rewolucji Październikowej w Rosji, a ideologia socjalizmu nie jest starsza od „Manifestu Komunistycznego” K. Marksa i F. Engelsa.

Wśród badaczy nie ma takiej jednomyślności. Część z nich jest zdania, że historia myśli socjalistycznej sięga dalej niż ruch robotniczy. Obejmuje ona jednak tylko te teorie, które powstały wskutek krytycznej oceny kapitalistycznych stosunków gospodarczo-społecznych i odzwierciedlały interesy klasy robotniczej. Innymi słowy, sięga swymi początkami pierwszej i drugiej dekady XIX w. Inni natomiast skłonni są zaliczyć do nurtu socjalistycznego każdy przejaw radykalizmu społecznego i krytyki stosunków panujących w starożytności i w feudalizmie, choćby nie miał nic wspólnego z antykapitalistyczną walką klasy robotniczej.

Większość argumentów merytorycznych przemawia za słusznością drugiego stanowiska. Prawdą jest, że pojęcie „socjalizm” pojawiło się w druku na początku XIX w., ale genealogia myśli socjalistycznej sięga w bardzo odległą przeszłość. Uściślijmy — idzie tu bardziej o tradycje myśli komunistycznej. Nie przeczy to jednak temu, by i myśl socjalistyczna korzystała z tego dorobku. Pamiętać bowiem musimy, że część idei socjalistycznych i komunistycznych ma wspólny rodowód i wiele wspólnych cech. Są one ściśle spójne w związkach genetycznych. Źródła każdej koncepcji czy idei tkwią zawsze w przeszłości (bliższej lub dalszej).

Już w starożytności powstawały idee będące wyrazem protestu przeciwko niesprawiedliwym warunkom, w jakich przyszło egzystować człowiekowi. Były one odbiciem szlachetnych marzeń o szczęściu, sprawiedliwości, wolności, równości i braterstwie ludzi. Idee te na przestrzeni dziejów przybierały różnorodne formy: filozoficznych traktatów i dzieł literackich lub kryły się za zasłoną religijnych herezji.

Czy jednak oznacza to, że socjalizm jest stary jak świat? W pewnym stopniu tak. Już bowiem w odległej starożytności — pisał nestor polskiego socjalizmu Bolesław Limanowski — można wskazać na organizacje socjalistyczne, a nawet teoretyków socjalizmu. Miał tu na myśli prawa Mojżesza i pierwotny ustój społeczeństwa żydowskiego oraz porządek ustanowiony przez Likurga w starożytnej Grecji.

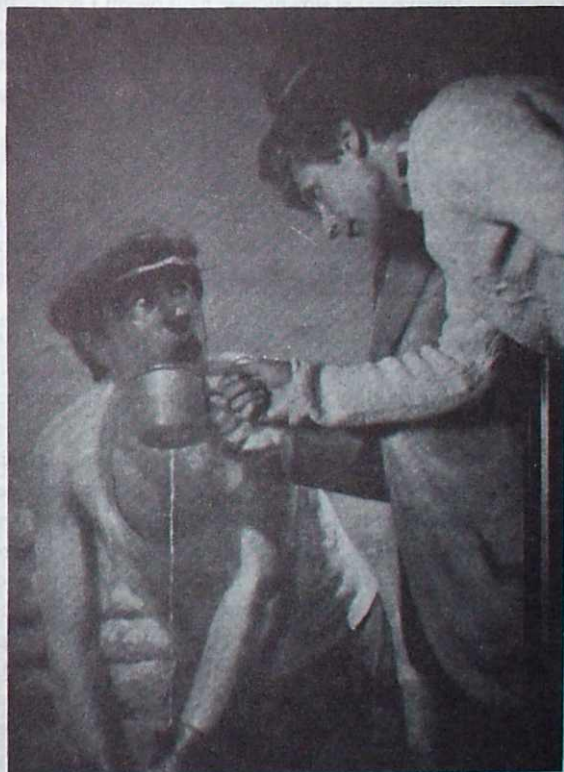
Znaczna część badaczy nie sięga tak daleko; odwołuje się najczęściej do dorobku Platona. Wychodzi tu z niepisanej umowy, że nasze pokolenia nie wymyśliły niczego nowego, co nie byłoby już przed-

miotem przemyśleń starożytnych Greków. To założenie wydaje się zasadne.

W starożytnej Grecji dokonano przełomu tak w społecznych stosunkach, jak i w filozofii społecznej, tj. odrzucono założenia cywilizacji despotycznej. Uznano, że formy ustrojowe są wyrazem potrzeb społecznego życia i stanowić o nich mogą i powinni sami obywatele. Stąd też demokracja ateńska miała wiele założeń późniejszego socjalizmu. To samo — co ciekawe — można powiedzieć o wrogu tej demokracji, Platonie.

Duży impuls dla tej społecznej filozofii i jej socjalistycznych elementów dało chrześcijaństwo. Początkowo wyraźnie plebejskie i egalitarne (esseńcy, terapeuci i nazarejczy), po zdobyciu w IV w. pozycji panującej zmieniające wyraźnie swoje stanowisko. Nastąpiło jej podporządkowanie się istniejącym ustrojom. Jednakże element plebejski i egalitarny był długo obecny w chrześcijaństwie w różnych formach, m.in. w postaci religijnych herezji (np. katarowie, waldensi, „Bracia Apostolscy”, „Bracia Wspólnoty Ducha”, husyci).

Bezpośrednim poprzednikiem współczesnego socjalizmu był tzw. socjalizm utopijny. Powstał on w schyłkowym okresie feudalizmu,



Biblioteka  
UMCS  
Lublin

Piotr Naliwajko przed swoim obrazem „Zatruta studnia”,  
inspirowanym, jak widać, filmem „Człowiek z marmuru”

u progu społeczeństwa kapitalistycznego, jako protest przeciw nowym formom wyzysku i ucisku. Do czołowych przedstawicieli tego kierunku należeli m.in.: T. Morus, T. Campanella, G. Mably, J. Meslier, Morelly, F.N. Babeuf, F. Buonarroti, A. Blanqui, K.H. de Saint-Simon, F.K. Fourier, L. Blanc, P.J. Broudhon, R. Owen.

Ich socjalizm zwykło się nazywać utopijnym lub „konceptyjnym”, gdyż wszystkie te próby poszukiwały rozwiązania problemów i krzywdy społecznej nie w przekształceniu samej struktury społeczeństwa, lecz w przemianach zachodzących w umysłach ludzkich. Ich przedstawiciele wierzyli niezmiennie w rewolucyjną moc samego procesu wychowania, wychowania uwewnętrzniającego określony system wartości. Odwoływali się często do obrazów sprawiedliwości społecznej, moralności i systemu wartości, zawartych w doktrynie społecznej Kościoła rzymskokatolickiego. Walczyli oni o sprawiedliwość społeczną, równość szans, prawo do życia i oświaty — walczyli z krzyżem w ręku i nabożnymi pieśniami na ustach. Przy czym jedni chcieli reformować doktrynę Kościoła (Wicklef, Hus), inni byli wierni jej kanonowi (Campanella). Mniej więcej od czasów Marksa w socjalizmie nastąpiła epoka ateizmu. Rewolucjoniści od tej pory szli na barykady z innym znakiem i z innymi pieśniami na ustach. Siłą rewolucyjną stał się miejski proletariat (dawniej chłopstwo). W sumie mieliśmy w przypadku socjalizmu utopijnego zasadniczą sprzeczność między założeniami doktrynalnymi a możliwościami ich realizacji, w konkretnej rzeczywistości historycznej. Była to swoista koncepcja szczęścia człowieka, skazana na pozostanie w sferze ludzkich marzeń.

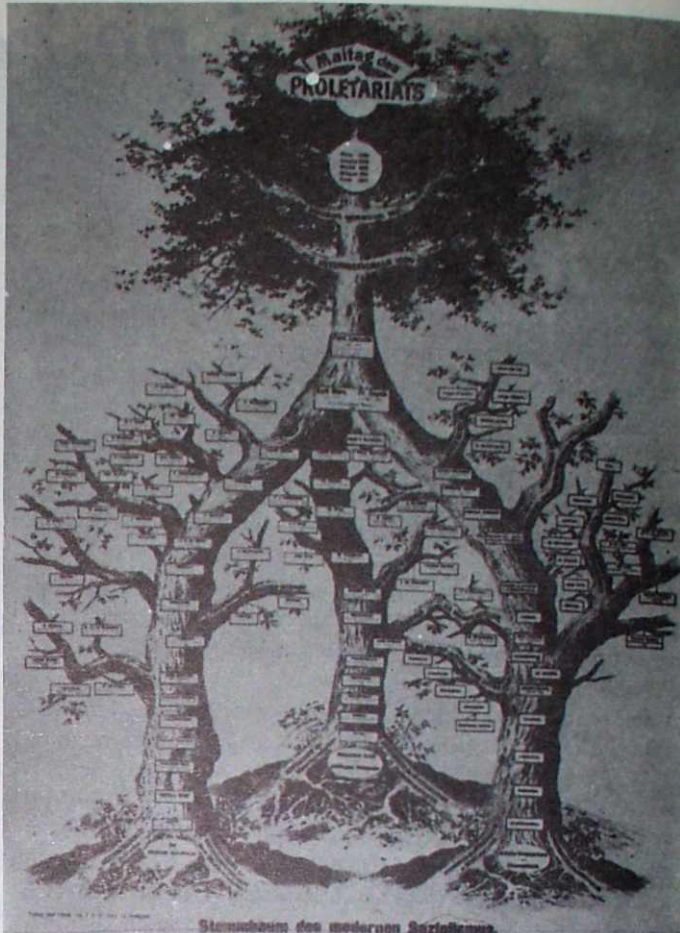
Możliwość przekształcenia ogólnej idei równości i sprawiedliwości społecznej w program określonych zmian rewolucji społecznej stworzył dopiero kapitalizm (polaryzacja społeczeństwa, niespotykane nasilenie nędzy, obojętność pracodawców na los ciężko pracujących). Dla programu tego zaczęto używać określenia „socjalizm”.

Nazwa „socjalizm” (od łac. socialis — społeczny, uspołecznienie w ogóle; socius — towarzysz) w słownictwie naukowym i politycznym pojawiła się na początku XIX w. W druku pierwszy raz ukazała się po włosku w 1803 r., w dziele Giacomo Guilliani pt. „L'antisocialismo confutato” (były to słowa: „socialismo”, „socialisto” i „socializzone”). Inni natomiast uważają, że nazwa „socjalizm” użyta była po raz pierwszy w 1832 r. przez Jonciera, ucznia Saint-Simona. Spór o pierwszeństwo nie jest najważniejszą kwestią.

Ludzie i ruchy głoszący hasło socjalizmu wysuwali różne programy, stosowali różne metody, wychodzili z różnych stanowisk światopoglądowych (np. socjalizm utopijny, socjalizm chrześcijański czy socjalizm naukowy).

Od połowy XIX w. największą popularność zdobył socjalizm naukowy. Jego twórcami byli K. Marks i F. Engels. Określali oni socjalizm jako rewolucyjną ideologię klasy robotniczej, wyznaczającą historyczną misję tej klasy, tj. obalenie kapitalizmu i urzeczywistnienie komunizmu. Naukową podstawą tej ideologii był marksizm (potem marksizm-leninizm). Konkretnie biorąc, Marks wyróżniał następujące cechy socjalizmu: 1) uspołecznienie środków produkcji, 2) zlikwidowanie różnic klasowych, 3) zniesienie produkcji towarowej, 4) wprowadzenie zasady podziału „od każdego według zdolności, każdemu według pracy”, 5) istnienie państwa „obumierającego”. Dla rewolucyjnej części ruchu robotniczego wskazania te od ponad 100 lat stanowią niepodważalną podstawę teorii i busolę praktycznej działalności. Inne rodzaje socjalizmu zostały poddane nazbyt ostrej krytyce, lub usunięte w cień. Jest to stanowisko niesłuszne. Miał — jak się wydaje — rację A. Mickiewicz, gdy twierdził, że każdy rodzaj socjalizmu (a nie tylko socjalizm naukowy) opiera się o jakąś naukę. Dlatego lepiej mówić o różnych typach naukowego socjalizmu. Co nie przeczy, że każdy z nich mógł zostać socjalizmem utopijnym.

Idea socjalizmu około połowy XIX w. z koncepcji teoretycznej przekształcać się zaczęła w ruch zorganizowany. Zdobywała coraz



„Drzewo genealogiczne współczesnego socjalizmu”. Poszczególne pnie symbolizują takie nurty, jak: «Der utopische Sozialismus» (z nazwiskiem Platona u korzeni), «Humanitäre Kritik der politischen Oekonomie», «Arbeiter — Kommunismus und Klassenkampf». Te trzy nurty zbiegają się w miejscu oznaczonym przez Marksa i Engelsa, nad którym jednak widnieje „Ferd. Lassalle” — krytycznie nastawiony do marksizmu, głoszący m. in., że państwo ma charakter ponadklasowy i służy dobru powszechnemu, co wyznaje i dzisiejsza socjaldemokracja (obie grafiki niemieckie repr. z: Udo Achten, «Illustrierte Geschichte des 1. Maß», Oberhausen 1985)

szersze oparcie w konkretnej, zorganizowanej sile społecznej, głównie w rozwijającej się w krajach zachodnich klasie robotniczej. Proces tworzenia się ruchu robotniczego był zjawiskiem skomplikowanym i rozłożonym w czasie. W ten sposób ukształtowało się drugie rozumienie pojęcia „socjalizm”.

W następnych latach zaczęto określać socjalizm jako ustrój ekonomiczno-społeczny, który miał powstać pod wpływem ideologii socjalistycznej. Marksizm natomiast określił socjalizm jako etap na drodze przejścia od kapitalizmu do komunizmu, stanowiący pierwsze, niższe stadium społeczeństwa bezklasowego (komunistycznego).

W hierarchii wartości ideologicznych, reprezentowanych przez socjalizm, naczelną rolę przyznawano zagadnieniu wolności człowieka. Potrzeba wolności i samookreślenia jednostki tkwi w naturze człowieka, podobnie jak potrzeby innego rządu, np. biologiczne, ekonomiczne itp. Sporo uwagi socjaliści poświęcali demokracji. Uważali, że demokracja nie należy ujmować jako środka do urzeczywistnienia socjalizmu. Demokracja jest wartością autonomiczną, stanowiącą obok uspołecznienia środków produkcji o istocie socjalizmu. Jej kryzys nie musi oznaczać rezygnacji, ale dążenie do naprawy demokracji. Wskazywali ponadto, że program przeobrażeń gospodarczych musi być uzupełniony



Ozdobna karta niemiecka z około 1890 roku, obrazująca międzynarodową „Solidarność Pracy” (*Solidarität der Arbeit*). W wersji polskiej (napisy) ukazała się jako pocztówka 1-majowa, wydana nakładem pierwszego polskiego dziennika socjalistycznego, „Naprzód” w Krakowie na początku XX w.

przemianami w kwestii społecznej i kulturalnej. Postulowali niezbędność budowy nowej kultury i moralności proletariackiej.

W oparciu o powyższe rozważania stwierdzić można ogólnie, że socjalizm oznacza ideologię, ruch i ustrój. Jest to oczywiście definicja ogólna, mało precyzyjna.

Kłopoty związane z precyzyjnym określeniem treści zawartych w terminie „socjalizm” zilustrować można na podstawie dorobku teoretycznego polskich socjalistów. Ukazywali oni charakter i zadania socjalizmu, jego oblicze jako ruchu społecznego oraz jego ekonomiczne, kulturalne, moralne i duchowe wyróżniki.

Opisując charakter i zadania socjalizmu określano go jako ustrój: 1) o historycznej roli i misji, 2) nie stanowiący kresu postępu ludzkości, 3) należący do kategorii możliwości dziejowych, a nie konieczności dziejowych, 4) bez klas, ze względu na brak panowania za pomocą środków produkcji. Nie rozstrzygali dylematu, czy socjalizm jest prawdą naukową, obiektywnie stwierdzoną, czy też kategorią ideałów powstałą z naszych życzeń, sumą określonych ideałów. Ukazywali jednak socjalizm jako system wierzeń o charakterze religijnym (wątek religijny występuje w każdym masowym ruchu społecznym).

W drugiej płaszczyźnie polscy socjaliści widzieli w socjalizmie naukę i ideologię proletariatu oraz masowy ruch społeczny.

Z ekonomicznego punktu widzenia charakteryzowano socjalizm jako

ustrój w którym nastąpi: 1) uspołecznienie (ale nie upaństwowienie) środków produkcji, 2) wzrost sił wytwórczych poprzez uświadomienie klasy robotniczej, 3) ujarzmienie sił wytwórczych w różnych dziedzinach, 4) produkcja dla potrzeb całego społeczeństwa, według planu ułożonego przez społeczeństwo i pod jego kontrolą; zrealizowanie dobrobytu materialnego społeczeństwa, 5) praca jako duma i radość wolnych wytwórców, 6) wyzwolenie gospodarce, 7) ustanowienie nowej sprawiedliwej organizacji gospodarczej. Występowały też głosy postulujące, by socjalizm niekoniecznie łączyć ze społeczną własnością środków produkcji; tu za najistotniejszą cechę uważano sprawiedliwy podział dóbr.

Do najważniejszych kulturalnych, moralnych i duchowych wyróżników socjalizmu zaliczano m.in.: 1) tworzenie nowej kultury i nowej cywilizacji wyzwolonej pracy (socjalizm to głównie ruch kulturalny, a przekształcenia gospodarcze to tylko niezbędne środki do celów ogólnokulturalnych), 2) zapewnienie ogromnego rozwoju duchowego społeczeństwa, 3) stworzenie nowej moralności, 4) stworzenie nowego społeczeństwa, tak, jakby funkcjonowała maksymalna i powszechna równość, 5) zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka, ucisku, nędzy, upodlenia i krzywdy, 6) kompletne wyzwolenie człowieka.

W tej sytuacji za naturalne należy uznać występowanie wielu rodzajów socjalizmu. Wśród odmian socjalizmu utopijnego wyróżniamy: 1) socjalizm drobnomieszczański, 2) socjalizm ricardiański, 3) socjalizm integralny, 4) socjalizm chrześcijański. Do najbardziej znanych nurtów myśli socjalistycznej należały: 1) tzw. prawdziwy socjalizm, 2) socjalizm państwowy, 3) socjalizm etyczny, 4) socjalizm humanistyczny, 5) socjalizm demokratyczny. Spoza myśli socjalistycznej wymienić można przykładowo socjalizm katedralny i socjalizm narodowy.

Kluczową kwestią dla szeroko rozumianego socjalizmu jest stosunek do własności środków produkcji. XIX-wieczny socjalizm postanowił ją znieść, podobnie zresztą jak i klasę posiadaczy. Bez tego zrealizowanie naczelných haseł socjalizmu: sprawiedliwości społecznej, równości praw, demokracji itd. jest niemożliwe.

Z biegiem czasu program własności przekształcił się (głównie pod wpływem K. Marksa) w swoisty labirynt. Własność zakrzepła, uległa sakralizacji, stała się wyznaniem wiary. W rezultacie aż do dziś stanowi ona synonim socjalizmu.

Doświadczenie tymczasem dość skutecznie obalało mit za mitem. Wiele z rzekomych praw ekonomii okazało się szkodliwymi nie tylko dla klasy robotniczej, ale też dla samego kapitalizmu. Walka proletariatu okazała się ważną przesłanką przyśpieszenia kapitalistycznego rozwoju. Systemy bazujące na upaństwowieniu własności środków produkcji nie przyniosły spodziewanych efektów, nie stworzyły własnej rozwojowej dynamiki. Utknęły w trudnościach i sprzecznościach bez szansy ich zlikwidowania.

Przyczyny tego stanu rzeczy są złożone. Jednym z najważniejszych błędów teorii Marksa jest — zdaniem jego krytyków — nie sprawdzenie się prognozy szybkiego (w historycznej skali) upadku kapitalizmu jako ekonomiczno-społecznego systemu i zastąpienia go systemem socjalistycznym.

Kapitalizm (mimo licznych kryzysów) od połowy XX w. wykazuje się wzmoczoną aktywnością, choć i on ma różne trudności, jednakże innej natury niż w poprzednich okresach.

Nie sprawdzily się również przewidywania Marksa co do roli ruchu robotniczego. Okazało się, że ruch robotniczy był jednym z ważniejszych czynników przyśpieszających rozwój kapitalizmu. Sami robotnicy zdobywali prawa obywatelskie w systemie kapitalistycznym. W ten sposób nastąpiło przekształcenie klasy robotniczej w integralny czynnik społecznej struktury. Instytucje robotnicze stały się częścią instytucjonalnej struktury państwa. Wyciszyło to formy walki o prawa robotników, zalegalizowało je.

Po II wojnie światowej niektóre partie socjaldemokratyczne zdobyły władzę w wyborach parlamentarnych. Zaczęły lansować i realizować politykę socjalnego zabezpieczenia warstw ekonomicznie słabych, co dało podstawy do zbudowania modelu „państwa opiekuńczego”. Najdalej zaawansowane w spełnianiu (choć dalekie od ideału) tak pojętego socjalizmu są kraje skandynawskie i Kanada.

Wejście kapitalizmu w nową fazę, w okres rewolucji naukowo-technicznej oznacza, iż — m.in. w obliczu zmieniającej się roli proletariatu — marksistowskie przesłanki konieczności ustrojowej rewolucji, zarówno ekonomicznej, jak i społecznej, straciły aktualność. Bo przecież i Marks uważał, że żaden system nie odda pola innemu, dopóki stwarza możliwości rozwoju.

W kapitalizmie występują nadal różnice klasowe interesów i konflikty klasowe; ale teraz jest to system, który stara się szukać równowagi wśród wewnętrznych sprzeczności. Wskutek tego rewolucje okazały się społecznie bardzo kosztowne. Dobre w destrukcji, nie potrafiły jednak zbudować nowego społeczeństwa.

Tak więc mimo iż teorie, koncepcje i uwagi Marksa były swego czasu najbardziej wnikliwe i odkrywcze spośród tego, co na ten temat powiedziano, błędne wydaje się przekonanie o wiecznej aktualności ideologii marksistowskiej, o poglądach Marksa jako ostatnim słowie nauk społecznych. Dlatego dziś reaktywowanie doktryny marksistowskiej wydaje się spóźnione i nierealne.

Z drugiej strony: głoszone niekiedy odrzucenie Marksa wydaje się być nieuzasadnione. Odejście od wiedzy np. Kopernika lub Darwina nie oznacza ich „odrzućcia”.

Wielu ludzi uważa bowiem, że własność prywatna jest niezbędnym warunkiem społecznej aktywności. Każdy logicznie myślący człowiek musi się z tym zgodzić. Zastrzeżenie dotyczy jednak tego, jak zrobić, by w prywatnych rękach własność ta nie uległa monopolizacji, z którą walczą również kraje kapitalistyczne. W odpowiedzi słyszy się zazwyczaj rutynową odpowiedź: należy własność uspołecnić. Tymczasem nie wiadomo jednak, jak to zrobić. Innymi słowy, jak tego dokonać z korzystnym efektem.

Prowadzić to musi do kolejnego wniosku: że forma własności rozpatrywana w oderwaniu od innych czynników, np. ustrojowych, ekonomicznej polityki, jeszcze niczego nie znaczy. Istnieje bowiem wiele form własności, które zmieniają się wraz z ogólnym rozwojem.

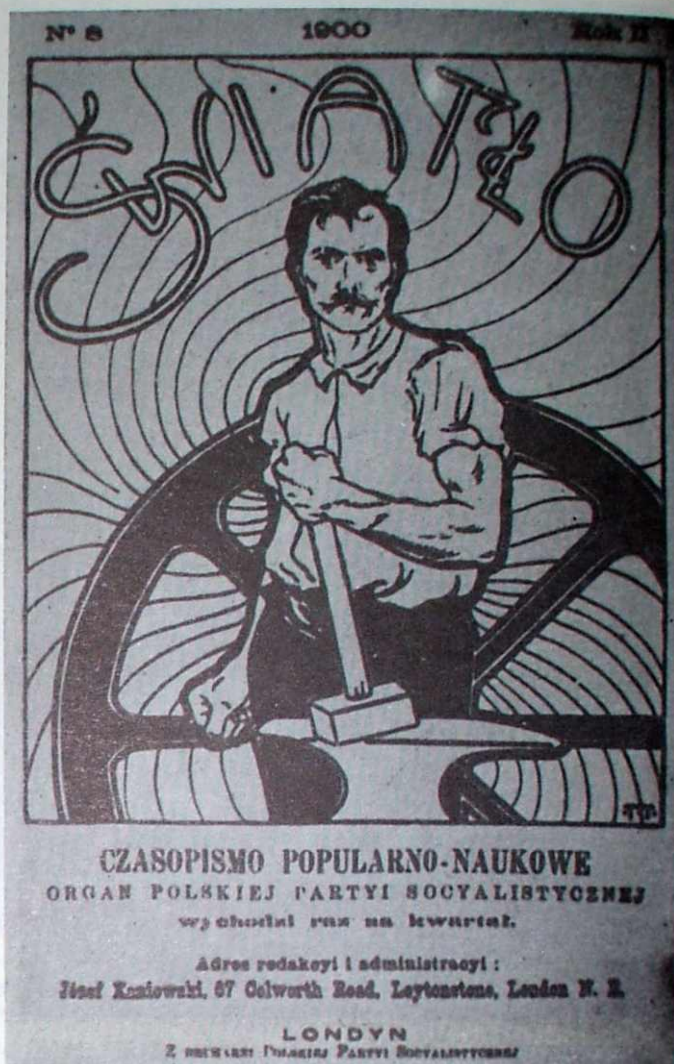
W dyskusji nad własnością należy oderwać się od hipotez i mitologii, jakie wokół niej narosły. Mówiąc najprościej: dzielić można socjalistycznie, ale produkować należy kapitalistycznie. Produkować trzeba zgodnie z najlepszymi metodami, jakimi dysponuje dana epoka. Jeśli temu procesowi służy własność prywatna, należy ją do tego wykorzystać. Jednocześnie trzeba ustanowić społeczną kontrolę, aby efekty tej produkcji w sposób maksymalny zaspokajały potrzeby obydwu członów społecznej całości, tj. ekonomiki i społeczeństwa.

Obie te siły nie mogą się wzajemnie wydziedziczyć. Gdy jedni wywłaszczą drugich, nie wiedzą dokładnie co z tą własnością zrobić. Zawłaszczenie własności dla siebie oznaczałoby tylko zwykłą zamianę ról. Doświadczenia krajów komunistycznych świadczą przeciw zniesieniu własności prywatnej, gdyż wprowadzając państwową własność środków produkcji, nie potrafiły one stworzyć odpowiednich bodźców rozwojowych.

W świetle znanych wydarzeń ostatnich lat jawi się pytanie: co może oznaczać nazwa „socjalizm” w tworzącej się nowej rzeczywistości, jakie treści będzie ona miała w przyszłości?

Po pierwsze stwierdzić należy, że postulat zniesienia klasy posiadaczy własności okazał się utopią. Okazało się, że dopóki występuje przedmiot własności, dopóty będą funkcjonowali posiadacze, dzierżawcy, dysponenci, administratorzy, którzy z tego tytułu będą stanowić uprzywilejowaną klasę. Zawsze przecież tak było, że dysponowanie własnością dawało, daje i będzie dawać bezpośrednio lub pośrednio władzę nad pozostałą częścią społeczeństwa. Wynika stąd, iż socjalizm jako system ekonomiczno-społeczny oparty na „wywłaszczeniu wywłaszczycieli” jest utopijnym złudzeniem.

Może być natomiast socjalizm systemem wymuszającym na kapitalizmie realizację socjalistycznych postulatów w ekonomicznej, społecznej



i politycznej dziedzinie (np. płace robotnicze, warunki i czas pracy, powszechność praw i obowiązków obywatelskich). Wydaje się, iż socjalizm oddziaływał w ten sposób przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Niektórzy twierdzą, że oddziaływanie to stanowiło jeden z najważniejszych bodźców rozwoju kapitalizmu.

Z powyższego wynika, że socjalizm musi sobie uzmysłowić, że dla obudzenia rozwojowej dynamiki niezbędne jest uwłasnowolnienie społeczeństwa, pogodzenie się z inicjatywnymi bodźcami własności i uznaniem za hamulce rozwojowe biurokratyzowanych struktur państwa i społeczeństwa.

Oznaczałoby to więc nawrót do kapitalizmu. Teoretycznie tak, ale z zastrzeżeniem. Wydaje się, że tak stawiając sprawę odwołujemy się do mitologii, do utrwalonych w wyobraźni idealnych wzorców ustrojowych. Powroty są zawsze bardzo trudne. Punktem wyjścia jest istniejący stan. Znane z przeszłości idealne modele i wzory były najczęściej przyczyną odchodzenia od racjonalnych działań.

Wydaje się, że nowy socjalizm (a i kapitalizm) musi odejść od uproszczeń, w świetle których kapitalizm i socjalizm jawią się jako dwaj wrogowie czyhający na siebie na zgubę ludzkości lub jako cudowne drogowskazy wskazujące właściwą drogę. A nade wszystko socjalizm musi uwzględnić to, że świat zmienia się błyskawicznie. Więc i on musi się szybko zmieniać. W tym względzie musi pamiętać o słowach wypowiedzianych przez polskiego socjalistę Tadeusza Hołówkę w 1921 r. Stwierdził on, że socjalizm nie jest i nie będzie kresem postępu ludzkości. Po pewnym czasie i on przeżyje się, „ale wówczas naszymi dzisiejszymi spadkobiercami będą nie ci, którzy będą go zwalczać w imię nowych, lepszych form życia”.

Bogusław Pawłowski

# Socjalizm Piłsudskiego

Ryszard Szymański

Obiegowa i bardzo uproszczona opinia kreowana przez mass media zaszufladkowała Józefa Piłsudskiego wyłącznie jako bojownika o niepodległość lub autora „cudu nad Wisłą”. Wstydliwie pomijane są jego zasługi dla rozwoju polskiego ruchu socjalistycznego przełomu XIX i XX wieku. Przywracanie postaci Piłsudskiego należnego jej znaczenia nie obyło się więc bez pewnego dosyć typowego uniku. Patrząc na ludzi należących już do panteonu narodowych bohaterów, posługujemy się pryzmatem polityki dnia dzisiejszego. A lata ostatnie zdecydowanie nie sprzyjają przypominaniu socjalistycznej przeszłości twórcy Legionów. Trudno zresztą temu się dziwić. Czterdzieści pięć lat tego, co nazywamy realnym socjalizmem, zdewaluowało nie tylko idee, ale i sam termin „socjalizm”. Przycinając wówczas socjalizm do poziomu opieki socjalnej sprawowanej przez państwo, oddalono się wyraźnie od wielowątkowych idei socjalizmu sprzed 1944 roku.

Nie dajmy się jednak zwariować i w miejsce starych nie twórzmy nowych „białych plam”. Czy zresztą nowych, skoro Si komuniści nie chcieli pamiętać o przynależności Piłsudskiego do nurtu socjalistycznego. Dotkliwie przekonał się o tym... W. Gomułka, który za pochwałą stanowiska PPS w sprawie niepodległości Polski zapłacił w 1948 r. utratą funkcji sekretarza generalnego PPR. Nie waham się tutaj utożsamiać osoby Piłsudskiego z niepodległościową akcją PPS z lat 1893—1918, ponieważ to właśnie on był najsilniejszą osobowością ówczesnej PPS. On też nadawał partii niepodległościowy ton.

Przechodząc do omówienia socjalistycznej działalności Piłsudskiego, należy wskazać najważniejsze punkty rozwoju polskiej myśli socjalistycznej. Będzie to pomocne w bardziej precyzyjnym umiejscowieniu jego osoby w historii polskiej lewicy.

Korzeni polskiego socjalizmu poszukiwać musimy już w pierwszej połowie XIX wieku, kiedy to grupa emigrantów po powstaniu listopadowym znalazła się w orbicie wpływów socjalizmu utopijnego. Byli to ludzie z całą pewnością nieprzeciętni, wystarczy wymienić Adama Mickiewicza, czy Joachima Lelewela. Propagatorami idei socjalistycznych w kraju byli Piotr Ściegienny i Edward Dembowski. Wszyscy oni widzieli w socjalizmie możliwość rozwiązania problemów społecznych, a zwłaszcza kwestii agrarnej. Mieli przecież do czynienia przede wszystkim z masą chłopską. Podstawowym celem ich działania było więc zaspokojenie chłopskiego głodu ziemi, a przez to pociągnięcie chłopów do walki z zaborcą. Do roku 1863 socjalizm był jednak ruchem o niewielkim znaczeniu i w powstaniu nie odegrał większej roli.

W okresie popowstaniowym propagatorami idei socjalistycznych stali się ponownie emigranci. Tym razem zetknęli się z zyskującym zwolenników marksizmem. Nie od razu myśl Marksa zyskała sobie zrozumienie wśród Polaków. Sytuacja ta uległa zmianie w latach siedemdziesiątych XIX w., co wiązało się z działalnością L. Waryńskiego, a następnie powstaniem „I Proletariatu”. Socjalizm propagowany przez twórców tej partii został oparty o hasło walki klas i proletariackiego internacjonalizmu, z pominięciem kwestii niepodległości Polski. Waryński i jego współtowarzysze ogłosili wręcz, że celem ich działalności nie jest niepodległa Polska. Stanowisko odmienne zajęła grupa działaczy skupionych wokół Bolesława Limanowskiego.



Józef Piłsudski w 1899 r.

Tworzyli oni grupę „Lud Polski”, propagującą połączenie idei socjalizmu i walki o niepodległość. Bardzo szybko Limanowskiego i jego towarzyszy określono mianem „narodowców”.

Ujawnienie się dwóch nurtów polskiego socjalizmu stało się początkiem głębokiego konfliktu i rozbitcia organizacyjnego socjalistów. (Na tyle istotnego, że udało się go przezwyciężyć (?), metodami dalekimi od demokratycznych, w roku 1948, wcielając PPS do PPR). Feliks Tych zwraca uwagę, że „wysunięcie hasła niepodległości Polski nie musiało immanentnie zawierać w sobie negatywnej odpowiedzi w sprawie [...] preferowania sojuszków wewnątrznarodowych [...] nad internacjonalistyczne sojusze klasowe”<sup>1</sup>. Przez socjaldemokratów, takich jak Róża Luksemburg, hasło niepodległości potraktowane zostało jednak jako zamach na socjalistyczne ideały. Podobnie jak później wszelkie wątpliwości co do słuszności radzieckiej drogi do komunizmu, czy próby jakiegokolwiek rewizji myśli marksistowskiej.

Socjaliści o zabarwieniu narodowym przez pewien czas pozostawali niezorganizowani. Jednak po kilkumiesięcznych zabiegach doszło w roku 1892 do paryskiego spotkania polskich działaczy socjalistycznych. Obradom przewodniczył Limanowski. Efektem tego zjazdu było powołanie Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich i uchwalenie „Szkicu” jego programu. Część pierwsza „Szkicu” stwierdzała jednoznacznie, że „partia dobijając się będzie [...] pod względem politycznym samodzielną Rzeczypospolitą demokratyczną”. Program na dalszy plan odsuwał postulaty natury społecznej i ekonomicznej, ich realizację przeznaczając władzom niepodległego kraju. Bardzo więc szybko oskarżono autorów „Szkicu”, że stają na gruncie reformizmu, rezygnując z rewolucyjnej formy przeobrażeń społecznych. Zdaniem przeciwników tego dokumentu, cały wysiłek należało skierować na walkę klasową proletariatu, a nie rozpraszać go na interesy narodowe.

Na zjeździe paryskim zapadła jeszcze jedna nader ważka decyzja. Postanowiono bowiem o utworzeniu w kraju partii socjalistycznej. Udało się zrealizować w pierwszej połowie 1893 roku — do życia powołana została Polska Partia Socjalistyczna. W jej skład weszła liczna grupa socjalistów wileńskich, wśród których znajdował się także Józef Piłsudski.

\* \* \*

Liczne aresztowania szybko rozbiły warszawską PPS i cały ciężar działania spadł na wilnian, a przede wszystkim na Piłsudskiego i Aleksandra Sulikiewicza. Niejako z marszu, dwudziestosześcioletni Piłsudski wszedł w skład Centralnego Komitetu Robotniczego — najwyższej instancji władzy partyjnej. Działal w nim nieprzerwanie przez cały czas nielegalnej działalności PPS. Gdy partia rozpoczęła wydawanie gazety, podjął się tego zadania wraz ze Stanisławem Wojciechowskim. Do roku 1919, kiedy to towarzyszył Wiktor, jak nazywano w partii Piłsudskiego, rozstał się z organizacją, sprawował w niej najistotniejsze funkcje. Drukował zarówno w organie ZZSP — „Przedświcie”, jak i redagowanym przez siebie „Robotniku”, w oczywisty sposób wpływając na rozwój świadomości tak klasowej, jak i narodowej.

Pomimo tych faktów często spotkać się można ze stwierdzeniem, że Piłsudski socjalistą nie był. Zarzucał mu to już w 1903 roku Roman Dmowski, a Stanisław Cat-Mackiewicz stwierdził, że Piłsudski był Konradem Wallenrodem polskiego socjalizmu.

Najzabawniejszą chyba teorię ukuł Andrzej Micewski, który pisał: „Nie jest prawdą, że Piłsudski zdradził socjalizm, że wysiadł z czerwonego tramwaju na przystanku niepodległość [...] on po prostu nigdy wewnątrznie i do końca socjalistą nie był”<sup>2</sup>. Kategoria bycia kimś „wewnątrznie i do końca” nie jest niestety możliwa do zweryfikowania. Natomiast to, że „wysiadł z czerwonego tramwaju” może dowodzić jego przenikliwości — „zorientował się na czas, że tramwaj ów zawraca do zajezdni”.

Nim zajmiemy się merytoryczną odpowiedzią na pytanie, czy Piłsudski był socjalistą i jaki był to socjalizm, warto zdefiniować samo pojęcie socjalizmu. Posłużyć się definicją, którą Piłsudski mógł zaakceptować. Jej twórcą był Bolesław Limanowski, który wskazywał: socjalizm to „dążność teoretyczno-praktyczna, która płynąc z głębokiego poczucia sprawiedliwości, domaga się równości dla wszystkich, potępia wszelkiego rodzaju wyzyskiwanie [...] prowadzi lud [...] do zupełnego wyzwolenia się”<sup>3</sup>. Oparty o taką definicję program partii był w pełni zgodny z hierarchią wartości Piłsudskiego. Z całą pewnością naczelne w niej miejsce miała niepodległość, następne — przynajmniej do roku 1908 — zajmował socjalizm. I był to socjalizm w pewnym stopniu ugruntowany. Zastąpił bowiem wartości wcześniejsze

— sprawiedliwość, postęp i praca, bliskie Piłsudskiemu z lat młodości i syberyjskiego zesłania.

Wspomniany już wielokrotnie B. Limanowski wprowadził dodatkowo pojęcie „socjalizmu integralnego”, który powinien skupiać wszystkie przejawy życia społecznego. Analizując myśl Limanowskiego wyróżnić można trzy uzasadnienia socjalizmu, które teoretycznie powinny występować łącznie. Są to: 1) uzasadnienie z punktu widzenia materialistyczno-ekonomicznego; 2) z punktu widzenia pozytywno-naukowo-socjologicznego; 3) z punktu widzenia idealistycznego. Posługując się takim uogólnieniem, z dużą dozą pewności można określić, w jaki sposób na socjalizm patrzył Piłsudski. Nie zajmując się problemami ekonomicznymi i studiami socjologicznymi, mógł go akceptować jedynie z pozycji idealistycznych.

Socjalizm był więc dla Piłsudskiego myślą polityczną, która zawierała w sobie to, co sam nazywał imponderabiliami. Przede wszystkim była to niepodległość, w wymiarze zaś jednostkowym — godność człowieka: „Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża [...] ubliża mi jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą”<sup>4</sup>. W życiu społecznym godność jest nie do pomyślenia bez wolności, która z kolei wymusza uznanie prawa do wolności innych. Prawne zabezpieczenie takiego układu stworzyć może jedynie demokratyczne państwo. Wydaje się, że w taki właśnie sposób Piłsudski patrzył na socjalizm — jako drogę do wolnego państwa, opartego na równości i sprawiedliwości społecznej. Czy inaczej do socjalizmu podchodzili inni jego działacze?

Piłsudski nigdy nie stworzył własnej, zwartej koncepcji, godnej miana myśli politycznej. Wszystkie jego przemyślenia ogniskowała kwestia tworzenia dróg prowadzących do odzyskania niepodległości. Problem systemu społeczno-politycznego i ustroju ekonomicznego niepodległego państwa pozostawiał otwarty. Trudno jest stanowczo stwierdzić, czy widział niepodległą Polskę jako kraj socjalistyczny. Podobnie zresztą można odpowiedzieć na tego typu pytanie, stawiane innym socjalistom przełomu XIX i XX wieku. Dla większości spośród nich było oczywiste, że socjalizm zbudować można jedynie w wolnej Polsce.

O socjalizmie Piłsudskiego można mówić, że był specyficzny jedynie wtedy, kiedy rozpatruje się to zagadnienie z punktu widzenia ortodoksyjnego marksizmu. Socjalizm naukowy jest pewną szkołą myślenia o gospodarce nie tylko w skali kraju, ale i świata. Piłsudski, pomimo że zdefiniował się jako socjalista, aspektem ekonomicznym nie interesował się zupełnie. Zapoznał się z „Kapitałem”, które to dzieło zrobiło na nim nie najlepsze wrażenie — „Abstrakcyjna logika Marksa oraz panowanie towaru nad człowiekiem nie pasowało do mego mózgu”. W rozmowie z Arturem Śliwińskim pogląd ten rozszerzył: „gdy spotkałem się z dowodzeniem, że stół równa się surdutowi, czy też surdutowi równa się nie może jeżeli chodzi o ilość i wartość pracy, jaką reprezentują oba te przedmioty, zamknąłem książkę, gdyż takie ujęcie sprawy wydało mi się bzdurstwem”. Jednak w „Roku 1920” znaleźć można i takie sformułowanie: „I chociaż nigdy w swym życiu nie byłem stronnikiem tego co nazywają materialistycznym pojmowaniem dziejów [...] umiałem zawsze odróżnić wielkość pracy samego Marksa od wulgaryzacji jego myśli”. Piłsudski znając dorobek Marksa nie uległ jego wizji mechanicznego podziału i organizacji świata. Z niechęcią do problemów natury ekonomicznej wpływała jego awersja do ekonomicznego determinizmu, propagowanego przez R. Luksemburg. W myśl tej teorii ziemie polskie zostały trwale już włączone w gospodarcze organizmy zaborców. „Ekonomia nie pozwala na niepodległość małych państw” — argumentowała przywódczyni SDKPiL. Piłsudski miał na to zauważyć, że „serbskie świniopasy znalazły jakoś dojścia do pani ekonomii i właśnie utworzyły państwo”<sup>5</sup>.

W sposób, być może, nie najbardziej szczęśliwy, cytat po-



wyższy podkreśla znaczenie, jakie Piłsudski przywiązywał do potrzeby odzyskania niepodległości. Zaznacza także jego patriotyzm. A przecież nie zawsze ostentacyjny patriotyzm był wśród socjalistów dobrze widziany. W jednym z numerów „Robotnika” (1896) ukazał się artykuł redakcyjny zatytułowany „Wyjaśnienie”. Wynika z niego, że za socjalistę nie może być uważany człowiek nie popierający partyjnej działalności na płaszczyźnie ekonomicznej (np. strajków). PPS jest bowiem „przede wszystkim partią robotniczą, dążenia i żądania jej są wyrazem interesów klasy robotniczej [...]”. Żąda ona niepodległości politycznej, bo tego wymaga interes klasowy robotników nie tylko polskich”. Artykuł jakby nie dotyczył Piłsudskiego, który w tymże „Robotniku” opublikował artykuł „O patriotyzmie”. Wyróżnił w nim dwa rodzaje patriotyzmu — zaborczy i obronny. Wersja pierwsza przynależy mocarstwom europejskim. Natomiast druga stanowi reakcję na napaść. „W zasadzie jest on słusznym”. Piłsudski uznaje, że prawdziwy patriotyzm „prowadzić musi niechybnie [...] do naprawy stosunków wewnętrznych narodu, usunięcia niesprawiedliwości i brudów domowych [...] prowadzić musi nie gdzie indziej, jak [...] pod czerwony sztandar socjalizmu.” Dowodzenie tego typu charakterystyczne jest dla większości tekstów pisanych przez Piłsudskiego dla prasy socjalistycznej. Korzystając z frazeologii marksistowskiej, podkreślając rolę idei socjalistycznych, nie zawężył swych wypowiedzi do teorii walki klas.

Nie unikał jednak analiz zaczerpniętych z dorobku marksizmu. Dokonując czegoś na wzór skondensowanego wykładu materializmu historycznego, pisał: „Kapitalizm się rozwija, zlewa burżuazję z wczorajszymi jej wrogami — szlachtą — w jedną klasę [...] powstają do samodzielnego życia masy pracujące

[...] prędko dochodzi do takiej powagi i znaczenia, że dzisiaj, stanowczo rzecz można, nie ma innej kwestii w Europie, jak kwestia robotnicza”. Wywód ten zamknął Piłsudski stwierdzeniem, że nadchodzi okres zwycięstw ideałów klasy robotniczej. Trudno jednoznacznie ocenić, czy była to tylko taktyka. W niedatowanym liście do Stanisława Wojciechowskiego, Piłsudski zwraca uwagę na szybkość, z jaką postępuje radykalizacja „Przedświtu” w kierunku patriotycznym z pominięciem stanowiska klasowego. „Trzeba to stanowisko — pisał — silnie zaakcentować, żeby zupełnie nie stracić miru pomiędzy dość szerokim kołem facetów, którzy są plus marxistex que Marx meme”. Na tej podstawie wolno już stwierdzić, że Piłsudski współtworząc program niepodległościowy PPS, widział potrzebę utrzymania w orbicie wpływów partii również tych, którzy zajmują pozycje bardziej lewicowe.

Sam towarzysz Wiktor usiłował utrzymać się na pozycjach centrowych. Przekonanie to pogłębia lektura innego listu do tegoż S. Wojciechowskiego (9 października 1899 r.). W korespondencji tej polemizował z poglądem Wojciechowskiego, który stwierdzał, że Polska niepodległa będzie socjalistyczną. Na to Piłsudski: „mogę powiedzieć, że dążę do Polski socjalistycznej, gdyż na to jestem socjalistą, lecz nie mogę twierdzić [...] że bez Polski burżuazyjnej się obejdziemy, omiemy ją”.

Fuzja trzech podstawowych dla Piłsudskiego wartości — niepodległość, patriotyzm, socjalizm — przewija się w większości jego artykułów w prasie socjalistycznej. Kwintesencję tych wystąpień zawarł, jak sądzę, w „Odezwie do ogółu społeczeństwa w sprawie pomnika Mickiewicza w Warszawie”, gdzie stwierdzał: „Patriotyzm polski, jeśli ma doprowadzić do niepodległości narodu, musi być przeciwrządowym rewolucyjnym,



*Działacze Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich i Polskiej Partii Socjalistycznej w Londynie 1896 roku. Pierwszy od lewej siedzi Ignacy Mościcki, trzeci — Józef Piłsudski*

czepać życiodajną siłę w politycznej świadomości mas szerokich [...]. Spójrzcie raz nareszcie prawdzie prosto w oczy i przyznajcie, że proletariatus dziś stanowi serce narodu [...] tylko w jego szeregach miejsce dla tych, którzy szczerze ukochali ideały wolności”<sup>6</sup>.

\* \* \*

Jednym z kluczowych elementów w rozwoju polskiej myśli socjalistycznej był stosunek naszych socjalistów do rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. Już w 1867 roku Marks stwierdzał, że Europa ma do wyboru dwie możliwości: albo na jej głowę padnie azjatyckie barbarzyństwo, albo odbudować musi niepodległą Polskę — odgradzając się w ten sposób „od Azji dwudziestoma milionami bohaterów i zyskując wolne chwile do dokonania swego społecznego przeobrażenia”. Czy Piłsudski znał te słowa — nie wiadomo, jednak jego artykuł „Rosja” zawiera sformułowania bardzo im bliskie. „Największym wrogiem polskiej klasy robotniczej jest carat rosyjski” — oto zasadnicza myśl tego artykułu. Analizując stosunek poszczególnych warstw społeczeństwa rosyjskiego, autor dochodzi do wniosku, że chłopstwo rosyjskie stanowi masę wprawdzie wrogą caratowi, lecz jego nieświadomości i ciemnota powodują, że stanowi opokę dla carskiej władzy. Zbyt nieliczna i zbyt mało świadomsia jest również klasa robotnicza Rosji. Stąd przekonanie: „musimy uznać, że wytworzenie silnej partii robotniczej przy obecnych warunkach ekonomicznych i politycznych w Rosji jest niemożliwym”. Konkluzja artykułu zamyka się w stwierdzeniu, że wobec niemożności współpracy z rosyjskim ruchem robotniczym, należy szukać oparcia w ruchach politycznych narodów wchodzących w skład imperium rosyjskiego. Warunki wymienione wyżej „każą przypuszczać, że stąd właśnie wyjdzie siła, która w proch zetrze potęgę caratu. Rosyjski zaś ruch rewolucyjny może odegrać w tej walce rolę pomocniczą”<sup>7</sup>. Problem międzynarodowych sojuszy Piłsudski przesuwał więc z płaszczyzny klasowej na płaszczyznę narodową. Po raz kolejny, treść artykułu Piłsudskiego stoi w sprzeczności z ortodoksyjnym marksizmem. Jan Kancewicz analizując inny jego artykuł dochodzi do wniosku, że w myśli polskich socjalistów „niejako identyfikowano niepodległość ze zwycięstwem proletariatus i socjalizmu”.

Przemyslenia zawarte w artykule „Rosja” w zasadzie pozostały dla Piłsudskiego wytyczną działania do roku 1917. Zmiany, i to dosyć znaczne, w łonie polskiego ruchu socjalistycznego zaszły jednak znacznie wcześniej. 22 listopada 1906 roku Piłsudski odczytał w imieniu delegatów ustępujących z IX Zjazdu PPS napisaną przez siebie deklarację. Stwierdzano w niej m.in.: „W walce o zniesienie wyzysku kapitalistycznego i zwycięstwo socjalizmu, prowadzonej przez proletariatus kraju naszego [...] jedynym ustrojem politycznym, który odpowiada klasowym interesom ekonomicznym, politycznym, społecznym i kulturalno-narodowym klasy robotniczej, jest niepodległa republika demokratyczna polska”.

Po ogłoszeniu tej deklaracji rozłam w PPS stał się faktem. Dojrzał on od roku 1905. Podstawową jego przyczyną był stosunek do toczącej się rewolucji. Piłsudski kierując się ideą zawartą w artykule „Rosja” nie był zainteresowany we wzięciu w niej udziału przez PPS. W liście do Wojciechowskiego z 30 stycznia 1905 roku pisał: „Ludzie tu powszechnie się cieszą i frajdują [...] Takie to dziecinne i głupie. To założenie — że w Rosji rewolucja — gdy ją już tam zgnieciono [...]. No a tych biedaków — opanowała gorączka. Rewolucja w Rosji, a my co — gorsi! I jazda”. Sceptycznie do rewolucji w Rosji odnosił się nie tylko Piłsudski, lecz w ogóle część działaczy PPS zwana „starymi”. W rewolucji widzieli „okazję do rozwinięcia i wsparcia [...] narodowych ruchów separatystycznych na całym terytorium carskiego imperjum”. Natomiast „młodzi” „uważali za najważniejsze zadanie chwili przygotowanie taktyki mas na wypadek jednolitego z całym proletariatus Rosji wystąpienia

przeciw caratowi”. Pomijali oni jednak sprawę niepodległości, co stało w sprzeczności z dotychczasowym programem PPS. Zdaniem M. Sokolnickiego, Piłsudski obawiał się wręcz tego, że wybuch rewolucji w Polsce pociągnie za sobą zmasowany odwet ze strony Rosji. Myślał o tym, że caratowi, podobnie jak w roku 1830 i 1863, uda się zjednoczyć Rosję wokół polityki narodowej. Znaczenie rewolucji widział na zupełnie innej płaszczyźnie. Jego zdaniem, rewolucja osłabi Rosję, co będzie istotne dla sprawy polskiej. By to osłabienie wykorzystać, należy przygotować siły bojowe. „Musimy zmierzać do tego, by OB nie była tylko fragmentem rewolucji ogólnej w państwie rosyjskim, ale żeby się stała siłą, która o polskie sprawy będzie mogła walczyć”. Stanowisko takie pozostawało w jaskrawej sprzeczności z poglądami „młodych”, domagających się od dowodzonej przez Piłsudskiego Organizacji Bojowej (OB), natychmiastowej i zdecydowanej akcji rewolucyjnej. Nie zgadzało się również z ich koncepcjami politycznymi. W uchwale podjętej na czerwcowej radzie partyjnej zdominowanej przez „młodych” (15 — 18 czerwca 1905 r.) znalazł się zapis: „Rewolucja polska stanowi może tylko część rewolucji zmierzającej do przeistoczenia na zasadach demokratyczno-republikańskich ustroju całego państwa rosyjskiego”. Według autorów, samodzielna akcja niepodległościowa „nie może być obecnie urzeczywistniona”. Oprócz sprzeczności ze stanowiskiem Piłsudskiego uchwała ta była niezgodna z programem PPS.

Tak skrótkowo wyglądało podłoże rozłamu w PPS. W jego wyniku powstały dwie nowe organizacje PPS-Lewica, utworzona przez „młodych” z M. Horwitzem, F. Sachsem, F. Konem na czele, oraz PPS-Frakcja Rewolucyjna, organizowana przez Piłsudskiego i grupę „starych”. Do PPS-Frakcja poza Piłsudskim weszli działacze, którzy partię tworzyli od początków jej istnienia, a więc: F. Perl, W. Jodko-Narkiewicz, L. Wasilewski, B.A. Jędrzejewski, A. Sulkiewicz oraz grupa młodszych działaczy z W. Sławkiem i A. Prystorem na czele. Frakcja opowiedziała się za programem przedrozłamowej PPS, czyli za utrzymaniem postulatu niepodległości jako celu swego działania. „Lewica” poszła zdecydowanie w stronę programu socjaldemokratycznego, prezentowanego przez SDKPiL.

Oprócz haseł niepodległościowych, Frakcja sformułowała również takie, które określały przyszłą Polskę jako kraj sprawiedliwości społecznej. Szczególne odzwierciedlenie znalazł ten problem w „Programie PPS” uchwalonym na X Zjeździe PPS (3 — 11 marca 1907 r.). Autorzy programu stwierdzają, że celem PPS jest oparcie społeczeństwa na zasadach socjalistycznych. Na płaszczyźnie ekonomicznej cel ten oznacza uspołecznienie środków produkcji i zniesienie wyzysku, na płaszczyźnie politycznej — utworzenie „Niepodległej Republiki Polskiej”, całkowicie demokratycznej, a na płaszczyźnie narodowej — „zniesienie wszelkiego ucisku narodowego, zjednoczenie Polski”. Piłsudski pozostawał nadal w władzach partyjnych, był więc w swojej działalności tym programem związany. Przynajmniej do roku 1908.

Kłeska rewolucji 1905 r. uświadomiła Piłsudskiemu, że drogą rewolucji społecznej Polska niepodległości nie odzyska. Jego działalność zaczyna więc ewoluować w stronę czynu zbrojnego, którego podmiotem miało być całe społeczeństwo, nie zaś jedna klasa społeczna. Właśnie w roku 1908 powstaje z inspiracji Piłsudskiego Związek Walki Czynnej — organizacja paramilitarna, zrzeszająca ludzi o najróżniejszym stosunku do socjalizmu. Zostają przywódcą ZWC, Piłsudski wyszedł daleko poza ramy określone programem PPS.

Ryszard Szymański

<sup>1</sup> F. Tych, Szkic programu Polskiej Partii Socjalistycznej, Lublin 1983, s. 12.

<sup>2</sup> A. Micewski, W cieniu marszałka Piłsudskiego, Warszawa 1968, s. 15.

<sup>3</sup> B. Limanowski, Socjalizm jako konieczny objaw dziejowego rozwoju, Warszawa 1989, s. 485-486.

<sup>4</sup> J. Piłsudski, Pisma zbiorowe, Warszawa 1936, t. II, s. 299.

<sup>5</sup> K. Kelles-Krauz przypisuje te słowa Ignacemu Daszyńskiemu.

<sup>6</sup> J. Piłsudski, op. cit., t. I, s. 243.

<sup>7</sup> J. Piłsudski, op. cit., t. I, s. 79-91.

# Z urodzenia Litwin, z narodowości Polak?

Eugeniusz Janas

Znany publicysta szlachecki z XVI wieku, Stanisław Orzechowski, pisał o sobie: „gente Ruthenus, natione Polonus”. Uważał zatem, że jest z urodzenia Rusinem, z narodowości zaś Polakiem. Określenie to zrobiło prawdziwą karierę wśród historyków. W krótkiej, lapidarnej formie zawarta została cała złożona materia spraw etnicznych wielonarodowościowej Rzeczypospolitej. Czy przy użyciu tej zgrabnej formuły można również opisać charakter kilkuwiekowych związków łączących Polaków i Litwinów? Czy można powiedzieć o którymś z Radziwiłłów, Sapiechów, Paców „gente Lithuanus, natione Polonus”?

Wkraczamy w skomplikowany, niejednoznaczny obszar świadomości narodowej naszych przodków sprzed kilkuset lat. Operowanie XX-wiecznym katalogiem pojęć nie ułatwia zadania. Ciągłe jeszcze obracamy się w kręgu rozumowania uformowanego w „nacjonalistycznym” wieku XIX. Średniowieczny jeszcze termin „gens” oznacza urodzenie, lud, plemię. To także węższa zbiorowość złączona wspólnym pochodzeniem, to mieszkający jednego państwa wyrażnego regionu. W takim rozumieniu Rzeczpospolita zasiedlali przede wszystkim Mazurzy, Wielkopolanie, Rusini, Prusacy, Litwini, Wołyniacy itd. „Natio” również bywało rozmaicie odczytywane — mogli to być mieszkańcy jednego państwa związani tradycją i wspólnotą interesów, nawet jeśli dzieliło ich urodzenie i język. Pamiętając zatem o znaczeniu obu tych pojęć rozumiemy, dlaczego Orzechowski czuł się równocześnie Rusinem i Polakiem, a ktoś inny Litwinem i Polakiem. Lecz to nie koniec problemu — Litwin miał przecież własne, przez długi czas całkiem odrębne państwo, którego nie miał Rusin...

Podpisany i zaprzysiężony w 1569 r. akt unii lubelskiej stanowił, że odtąd „Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie jest jedno nierozdzielne i nieróżne ciało, a także nieróżna ale jedna spólna Rzeczpospolita, która się ze dwu państw i narodów w jeden lud zniosła i spoiła”. Uchwalenie owego zasadniczego dla przyszłości dokumentu poprzedziły całe lata sporów i trudnych rokowań. Trwały one do ostatniej chwili, „król pany litewskie i posły jako za rogi ciągnął do tej uniej”, zapisał Andrzej Lubieniecki, historyk z początków XVII wieku.

Chociaż związek dwóch państw i narodów miał już wtedy przeszło 180-letnią tradycję, słowa z aktu lubelskiego były wciąż — w obu wypadkach, i państwa i narodu — bardziej deklaracją intencji niż opisem stanu rzeczywistego. Dalsze zresztą postanowienia z 1569 r. bardziej precyzyjnie określały granice owej deklaratywnej jedności. Z pewnością rację ma współczesny historyk, Henryk Wisner, uznając akt lubelski za kres ale i początek drogi. Powstawała Rzeczpospolita Obojga Narodów — związek dwóch państw i aż trzech narodów. Nie możemy przecież zapominać o Rusinach, którzy nie byli partnerami unii, co do dzisiaj uznajemy za jedną ze słabości aktu lubelskiego. Zarysowana wyraźnie już w 1569 r. odrębność organizmów państwowych trwała nadal. O jednym narodzie mówić można

wyłącznie w odniesieniu do stanu szlacheckiego, pamiętając przy tym, że jego powstawanie było procesem, a świadomość „polskości” czy zwłaszcza „litewskości” utrzymywała się jeszcze bardzo długo.

Polsko-litewskie małżeństwo z rozsądku rozpoczęło się w 1385 r. unią w Krewie. O jej zawarciu decydowały przede wszystkim racje wielkiej polityki. Już jednak najbliższa przyszłość miała pokazać, że intencje i oczekiwania obu stron nie zawsze idą w parze, czasem zaś wręcz rozmiągają się. Przewidziana w Krewie inkorporacja wschodniego sąsiada do Korony Polskiej była dla Litwinów rzeczą nie do przelknięcia. Trudno się dziwić — państwo Jagielly i Witolda osiągało swe apogeum, chociaż stało równocześnie w obliczu licznych zagrożeń. Wchłonęło wielką część ziem ruskich, zajmowało obszar 800 tys. km<sup>2</sup>. Tylko dziesiąta część olbrzymiego terytorium zamieszkiwana przez 300 tys. ludzi składała się na Litwę etniczną. Była państwem pogańskim, lecz większość jej ruskich mieszkańców z dziada pradziada wyznawała prawosławie. Chrześcijań zresztą nie brakowało i wśród narodu panującego. Z siedmiu synów Giedymina, twórcy potęgi państwa litewskiego w pierwszej połowie XIV wieku, aż czterech przyjęło religię grecką, a sam książę myślał o chrystianizacji kraju.

Od początku miała unia swoje blaski i cienie. Wspólne sukcesy, choćby grunwaldzka wiktoria, niewątpliwie cementowały związek. Nie brakowało jednak konfliktów, sporów o terytoria, licznych żalów i pretensji. W niektórych okresach nawet z formalnego punktu widzenia unia była fikcją. Trwała jednak mimo wszystko — długofalowe, strategiczne interesy obu państw wymagały współdziałania; niezmiernie ważnym łącznikiem była dynastia Jagiellonów.

Unia umacniała się także i dlatego, że właściwie już od końca XIV wieku, jakby obok bieżących problemów politycznych skupiających uwagę elit politycznych z Krakowa i Wilna, rozwijał się proces stopniowego ale trwałego zbliżenia obu państw i narodów na innych polach. Przemiany dokonywały się raz szybciej, raz wolniej, były jednak nieustanne. Przepływ idei, wzorów, wartości odbywał się z pewnością w dwóch kierunkach — trzeba wszelako przyznać, że ilustracja inspiracji biegnących ze wschodu na zachód nie jest łatwa. Dobrze widać je w sztuce XV wieku — wymowny jest przykład kaplicy św. Trójcy na Wawelu, czy polichromii kościoła wiślickiego i kaplicy zamkowej w Lublinie.

Z dokumentacją odwrotnego kierunku, z zachodu na wschód, nie ma kłopotów, bo też dominował on wyraźnie. Następowala stopniowa polonizacja Litwy i polonizacja Litwinów.

W ciągu XV i XVI wieku Wielkie Księstwo, zachowując odrębność, coraz bardziej upodobniało się do Korony w zakresie stosunków społecznych, gospodarczych, prawno-ustrojowych. Wzory przyjmowano z różnych stron, ale recepcja z Polski była najwyraźniejsza. Uformował się sejm i sejmiki, powstały województwa i powiaty, organizacja hierarchii urzęd-

niczej, sądów, wojska jako żywo przypominała nadwiślańskie pierwowzory. Pomiarą włóczna upodobniała stosunki na wsi, a lokowanie starych i nowych miast litewskich odbywało się wedle reguł przejętych z Polski, chociaż tam nazywano je prawem niemieckim lub magdeburskim.

Szlachta stopniowo wchodziła w posiadanie praw i przywilejów, jakie koniarze zdobyli wcześniej. Litwinów przyciągało ku Polsce wszystko to, czego sami nie zdążyli stworzyć, lub to, co uważali za lepsze od własnych rozwiązań. Stanowe swobody należały z pewnością do takich pożądaných zdobyczy.

W połowie XVI wieku wspomniany już wyżej Stanisław Orzechowski twierdził, że żaden najznacniejszy nawet Litwin nie może równać się z najniższym Polakiem, bo „Litwa jest niewolna, a Litwini sprośni niewolnicy”. Obrażeni Litwini odpowiadali piórem wójta wileńskiego, Augustyna Rotundusa, dowodząc m.in., iż różne trudności ich kraju „od was, panowie Polacy mamy, bo i ta wiara nowa [chodzi o wyznania reformowane — E.J] od was do nas przysła i swawola, którą wy wolnością zowiecie [...]”. Oburzenie Rotundusa było uzasadnione i zrozumiałe, ale też nie ulega wątpliwości, że „polska swawola” budziła zazdrość obywateli z nad Wili i Niemna.

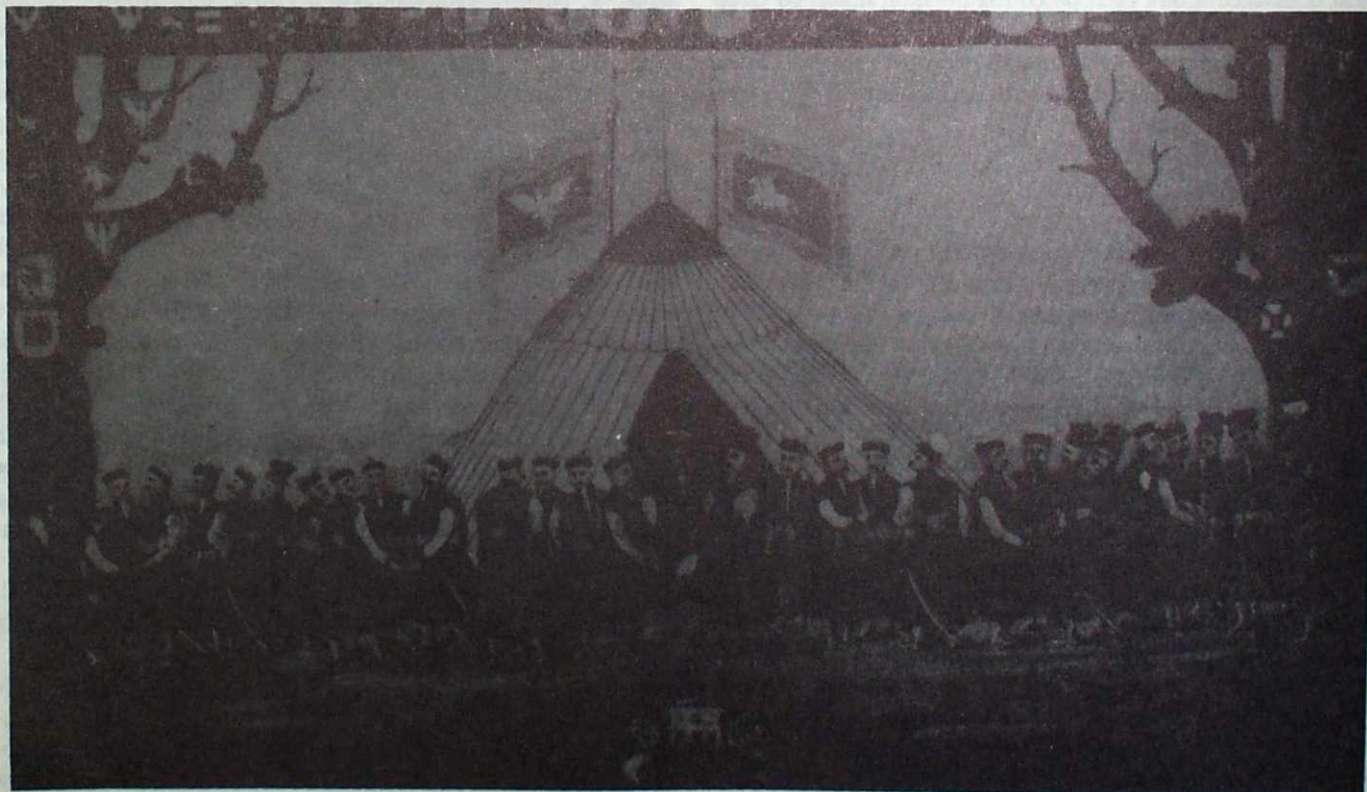
Zmiany prawne i instytucjonalne, świadczące o atrakcyjności polskich wzorów, wprowadzano stosunkowo łatwo, szybko też były one adaptowane. Polonizacja społeczeństwa miała przebieg bardziej złożony, a i trwała dłużej. Obejmowała ona przede wszystkim szlachecką elitę narodu, w mniejszym stopniu środowiska mieszczańskie, w minimalnym chłopów, którzy pozostali w zasadzie wierni językowi i obyczajom przodków.

Polski język, obyczaje, strój najszybciej docierały do znaczących centrów politycznych i gospodarczych oraz na dwory możnowładcze. Ośrodkiem promieniowania nowej kultury, ale

również wzorców zachodnioeuropejskich i kosmopolitycznych był dwór wielkksiążęcy czy królewski podczas pobytów na Litwie. Magnateria i bogata szlachta najszybciej i najłatwiej ulegała polonizacji. Znaczny stopień integracji kulturalnej z zachodnim sąsiadem te właśnie grupy osiągnęły już w XVI stuleciu. Łatwo to wytłumaczyć — wszystkie rody, których ambicje polityczne wykraczały poza granice rodzimego powiatu czy województwa, a sięgały państwowej skali, potrzebowały szerokiej akceptacji także wśród szlachty polskiej. Trudno wyobrazić sobie, aby litewski wielmoża pretendujący do roli męża stanu czy choćby sejmowego lidera posługiwał się ruskim lub litewskim językiem. Trzeba było raczej błyszczeć europejską ogładą i prezencją. Był w tym pewien paradoks, bowiem te właśnie najzamożniejsze grupy społeczeństwa szlacheckiego najdłużej, aż do unii lubelskiej, a i w następnych dziesięcioleciach, przewodziły w walce o utrzymanie jak najdalej sięgającej odrębności politycznej Wielkiego Księstwa.

Szlachta uboższa, nie mówiąc już o gołocie, znacznie gorzej wykształcona, o mniejszych aspiracjach do udziału w życiu publicznym, polonizowała się nieporównanie wolniej. Już jednak w XVII wieku powszechnie używała ona polskiej mowy przetykanej łaciną, język rodzimy zachowując być może tylko w życiu rodzinnym i sąsiedzkim.

Powszechnie także królował zuniformizowany strój szlachecki z reprezentacyjnym kontuszem, wywodzącym się z kręgu kultury orientalnej, oraz z polskim żupanem. Ten ostatni element ubioru, wedle księdza Jędrzeja Kitowicza, historyka i pamiętnikarza z XVIII wieku, wykonywano w Koronie z jednolitej, zwykle kosztownej tkaniny, Litwini zaś (czyżby z oszczędności?) „tył [...] robili z płótna, choćby do najbogatszego żupana”.



Obraz z XVIII w., przedstawiający szlachtę polską i litewską na polu elekcyjnym. Nie stroje, wszak identyczne, lecz tylko Orzeł i Pogoń na chorągwiach wskazują, że jest to spotkanie dwóch nacji

Tenże autor donosił w innym miejscu, jakoby w dobie panowania Augusta III, hetman litewski Michał Kazimierz Radziwiłł zwany „Rybeńko” w wojsku litewskim „wymyślił mundury, obaczywszy koronne wojsko, iż ta sukienka żołnierska więcej ma szacunku u Sasów niż najbogatsza obywatelska”. Husarze litewscy wszakże, dla odróżnienia od polskich, nosili na lewym ramieniu „złotą pętelkę sznurkową z guzikiem złotym [...] z czego ich korończykowie przez szyderstwo nazwali «pętelkami». A tak wstydząc się Litwini tego przydomku sobie nadanego, podobieństwo do pewnej rzeczy białogłowskiej mającego, w lat kilka i oni pętelki podrzucali”. Zasługi „Rybeńki” dla szlacheckiego stroju na tym się nie zakończyły, bowiem w 1743 r. założył on w Słucku manufakturę wyrabiającą sławne w całej Rzeczypospolitej pasy kontuszowe.

Nieoceniony Kitowicz zajął się również trunkami, pijatykami, uciekami kielicha. Zestawił nawet listę „sławniejszych” pijaków swoich czasów. Wśród czterech mistrzów znalazł się tylko jeden przedstawiciel Litwy, za to nie tyle jaki. Był nim wojewoda wileński Karol Radziwiłł „Panie Kochanku”, bohater licznych anegdot, „z natury mało się różniący od szalonego, a po pijanu wcale szalony...”. Trunkowe upodobania Litwinów nie odbiegały od polskiej normy a więc gorzałki, miodu „ordynaryjnego”, wiśniaku, tylko w zakresie trunków „pobiednich” zauważył pamiętnikarz na Litwie większą skłonność do win francuskich, a w Małopolsce do węgierskich. Trzeba wszakże barwne opowieści naszego historyka i gawędziarza traktować z odpowiednim dystansem, przyznawał bowiem szczerze, że jest „nieświadomy Litwy”.

Postępowi procesów integracyjnych sprzyjała migracja szlachty polskiej na kresy. Jej rezerwuarem było Mazowsze i Podlasie, gęsto zaludnione szlacheckim drobiazgiem, który na

wschodzie szukał szans awansu społecznego i majątkowego. Skala zjawiska była znaczna, chociaż bardzo trudno o jakiegokolwiek pewne szacunki. Należące do Litwy Podlasie już przed unią lubelską było silnie spolonizowane, sporo szlachty osiadło również na Wołyniu. Akt z 1569 r. likwidował wszelkie formalne bariery i zapewne dopiero po tym roku znaczniejsze choć nie masowe grupy Polaków osiedlały się na obszarach Litwy właściwej. Powstawać miały całe odrębne zaścianki zamieszkałe przez przybyszów z Polski. Patrzone na nich niezbyt przychylnie. Hasło „Litwa dla Litwinów” już w XV wieku miało całkiem licznych zwolenników. Zatwierdzony w 1588 r., a więc już po akcie lubelskim, litewski zbiór praw, tzw. III Statut, wbrew postanowieniom unii nakazywał nadawanie urzędów i dóbr ziemskich tylko „rodzeńcom” Wielkiego Księstwa. Jeszcze w 1632 r. Albrycht Stanisław Radziwiłł żądał, „aby żadnemu Polakowi w Litwie a Litwinowi w Polsce nic nie dawać”. U schyłku XVI wieku ostry spór wywołała nominacja koroniarza Samuela Maciejowskiego na biskupstwo wileńskie. W tym samym czasie Litwin Jerzy Radziwiłł bez przeszkód objął biskupstwo krakowskie, otrzymał także kapelusze kardynalski. Czołowi dostojnicy litewscy pisali wówczas do nominata wileńskiego: „żadną żywą miarą cierpieć nie możemy, aby kto na wzdarcie narodu naszego, za złą sprawą i poniżeniem onego na prawa i wolności nasze następować miał”. Litwini postawili na swoim — Maciejowski nie objął diecezji wileńskiej i dopiero jego nominacja w 1600 r. na biskupstwo krakowskie zakończyła konflikt.

Asymilacji sprzyjały z pewnością mieszane małżeństwa polsko-litewskie. W Wielkim Księstwie przyjmowano je raczej bez entuzjazmu. Nie dysponujemy żadną statystyką, wydaje się jednak, że aż po XVII wiek związki takie nie były zbyt częste.



Sejmik szlachecki w kościele według rysunku (akwareli?) z drugiej połowy XVIII w.

Litwa nie była wyjątkiem — w Wielkopolsce i Małopolsce rzecz wyglądała podobnie. Analizy swoistego magnackiego „ryнку małżeńskiego” wskazują, że do połowy XVII wieku żon i mężów szukano przede wszystkim wśród prowincjonalnego kręgu możnowładczego. Później tendencja ta ulegała osłabieniu — mariaże przestawały być ograniczane regionalnymi powiązaniem, magnateria bowiem konsolidowała się ponad dawnymi podziałami.

Wielki wpływ na przebieg procesów polonizacyjnych miała działalność Kościoła. Jego dziełem była trwająca blisko 200 lat chrystianizacja Litwy. Kościół przynosił dziedzicznemu państwu Jagiellonów uniwersalistyczny wprowadził katolicyzm, naznaczony jednak silnym polskim kolorytem. Wykonawcą misji był ponadto, polski początkowo, później zaś coraz częściej spolonizowany kler litewskiego pochodzenia. Pierwszym rodzimym biskupem w Wilnie został Jan Łosowicz dopiero w 1462 r., kilkadziesiąt lat po rozpoczęciu chrystianizacji. Ekspansja języka była w znacznym stopniu efektem działań kleru — jak pisał w 1517 r. Maciej Miechowita „sami księża mówią im [szlachcie] kazania w kościołach po polsku”. Język rodzimy utrzymywał się jednak w życiu religijnym — w Wilnie zaprzestano kazań litewskich dopiero w 1737 r., a w nieodległym Kownie trwały one aż po schyłek XVIII wieku. Długo musieli czekać Litwini na rodzimych świętych, do tego czasu rozwijał się kult Polaków wyniesionych na ołtarze. Wileńska świętość, obraz Madonny Ostrobramskiej namalowany został w Krakowie w 1619 r., a w stolicy Litwy znalazł się wraz z przybyłymi z Polski karmelitami bosymi w 1626 r. Raczej do wyjątków należała działalność biskupa żmudzkiego z końca XVI wieku, Melchiora Giedrojcia, który wspierał rozwój litewskiej historiografii oraz inicjował tłumaczenia tekstów religijnych na język litewski. Zapewne równie rzadko trafiali się tacy plebani jak Franciszek Stankiewicz, którego oskarżono w 1767 r. o karanie chłopów nie umiejących pacierza po polsku.

Szkola była kolejnym instrumentem asymilacji. W XV i XVI wieku ponad 400 litewskich studentów przeszło przez mury Akademii Krakowskiej, a Stanisław z Wilna był jej profesorem już po 1427 r. Również w XV wieku do mecenasów i dobroczyńców krakowskiej uczelni należał potężny ród Gasztołdów, kształcący tu swoich synów, skądinąd przewodzący obozowi litewskich separatystów. Od 1579 r. Wielkie Księstwo miało własną akademię jezuicką w Wilnie, kształcąca przedstawicieli obu nacji. Trudno byłoby ją jednak uznać za twierdzę wyłącznie rodzimej kultury. Pod rokiem 1688 zapisano, że jej studenci wstydzą się języka pradziadów i nawet podczas posiłków wolą używać polskiej mowy. W kilka lat później rektor akademii polecał odbywanie części zajęć w języku litewskim, zabraniał zarazem studentom śmiać się w czasie owych wykładów.

Rodzime, litewskie środowisko intelektualne było słabe początkowo i nieliczne, z czasem dopiero umacniało się. Jeszcze w XVI wieku (do 1575 r.) wśród kilkudziesięciu miejscowych ludzi pióra 2/3 stanowili przybysze spoza Litwy, oczywiście głównie z Polski. Wszyscy spośród 29 Litwinów pisali po polsku lub po łacinie. W końcu XVI wieku wydano w litewskich drukarniach tylko 8 książek w rodzimym języku. Zapewne w późniejszych okresach owe liczbowe proporcje zmieniały się, nie na tyle jednak, by teza o postępującej kulturalnej polonizacji Litwy mogła być podważona.

Dość przykładów; jest całkiem jasne, że już od XVII wieku szlachta litewska w swej masie pod względem językowym i kulturalnym była spolonizowana. Równocześnie jednak trwa-

ło mocne przeświadczenie o państwowej odrębności Litwy. Bez trudu można też znaleźć wypowiedzi świadczące, że istniało przekonanie o trwałości narodu. W 1615 r. Janusz Radziwiłł pisał do brata Krzysztofa: „Aczem sam Litwinem się urodził i Litwinem umrzeć mi przyjdzie, jednak idioma [język] polskiego zażywać w ojczyźnie naszej musimy”. Wcześniej nieco, w 1588 r. podczas rokowań z Koroną i królem Zygmuntem III mówił Jan Hlebowicz, wojewoda trocki: „nie prowincycja, ale państwo a zgola Królestwo i Rzeczpospolita Wielkie Księstwo Litewskie zawsze przedtem osobne było”.

Litwini byli niezmiernie drażliwi na punkcie własnej odrębności. Już po unii lubelskiej wokół tej kwestii wielokrotnie dochodziło do ostrych sporów z koroniarzami. Jeden z nich, jakże charakterystyczny, miał miejsce we wrześniu 1636 r. w czasie tajnej narady senatu w Wilnie. Debata toczyła się wokół stosunków z Moskwą, a nie bez znaczenia był fakt, że odbywano ją po uczcie, z której wielu dostojników wyszło dobrze podпиты. Krzysztof Radziwiłł, wojewoda wileński, poczuł się dotknięty wystąpieniem Piotra Gembickiego, podkanclerzego koronnego, bowiem prowadzenie spraw moskiewskich należało zwyczajowo do pieczętarzy litewskich. Wybuchł ostry spór z udziałem innych jeszcze osób. Król Władysław IV chciał wyjść, lecz Radziwiłł zatrzymywał monarchę, powstrzymywany z kolei przez marszałka koronnego Łukasza Opalińskiego. Podczas drogi całego zgromadzenia do kościoła Radziwiłł krzyczał z furją: „Już Polacy urągają nam Litwinom, w samej Litwie, a nawet chcą nas gnębić [...]. Niech się sejm zerwie, i to nie raz, ale niech uszanuje się godność senatorska”. Wspierał Radziwiłła jego syn Janusz rozgrzany ogniem Cerery (tj. winem), który „nie szczędził języka i krzyczał do króla ogłaszając wojnę z Polakami, że naród litewski nie może już dłużej znosić tej wzgardy, tylekroć mu okazywanej. Nadejdzie czas, kiedy nie przez drzwi, ale i przez okna będziemy ich wyrzucać. I jeszcze inne rzeczy wygadywał, co trzeźwi, wzruszając ramionami, z trudem znosili”. Spór zakończył się dopiero w kościelnej kaplicy, mimo że, jak zapisał obserwator wydarzeń, Albrycht Stanisław Radziwiłł, „sama infula tylko była trzeźwa”.

Historycy do dziś wiodą spór o to, czy można mówić o separatyzmie czy tylko o partykularyzmie litewskim. To drugie określenie wydaje się bardziej uzasadnione. Przecież mimo wszystkich kłótni Litwa nie zmierzała wcale do rozzerwania związku z Koroną. Był on zgodny z litewską racją stanu. Nie zmienia tej oceny sławna ugoda kiejdańska, podpisana w 1655 r. ze Szwecją przez część szlachty litewskiej z Januszem Radziwiłłem na czele. Przeszła ona do polskiej tradycji z piętnem zdrady. Niewątpliwie była to zdrada Rzeczypospolitej i unii lubelskiej, ale czy zdrada Litwy? Tak czy inaczej jest to fakt jednostkowy w historii związku obu państw i narodów.

U progu XIX wieku, jak twierdzi znawca problemu Tadeusz Wasilewski, Rzeczpospolita kończąca swój byt państwowy znajdowała się na drodze do ukształtowania dwóch narodów: polskiego i litewskiego, dodajmy — narodów nowoczesnych. Oba były polskojęzyczne. Żaden z nich, także i litewski, nie utracił swej świadomości i tradycji. W znacznej części była to tradycja wspólna. Dopiero w połowie XIX wieku szlachta litewska w pełni zidentyfikowała się z narodem polskim — w obliczu narodzin litewskiego ruchu językowo narodowego, czy jak chcą inni — nacjonalistycznego, który ostro odcinał się od spolonizowanego ziemiaństwa znad Niemna i Dźwiny.

# W cieniu Ostrej Bramy

Anna Kasica

Powojenna historia Kościoła katolickiego na Litwie to dzieje mało znane. Badania nad nimi rozpoczęły się na dobrą sprawę dopiero w połowie lat osiemdziesiątych. Wywołały liczne spory, przyniosły wiele kontrowersyjnych ocen, szczególnie w kontekście stosunków polsko-litewskich. Kościół bowiem w pewnym momencie stał się tam elementem przetargowym w sporze między dwiema katolickimi społecznościami — litewską i polską.

„Leninowski dekret o oddzieleniu Kościoła od Państwa [...] miał być gwarancją wolności sumienia wierzących i niewierzących. Ale w późniejszej praktyce nie wszystko odpowiadało duchowi tego dekretu” — mówi swojego czasu pełnomocnik Rady ds. Wyznań przy Radzie Ministrów ZSRR, Petras Anilionis. Istotnie, praktyka znacznie odbiegała od „ducha” dekretu. Dążono przede wszystkim do jak najszybszej i skutecznej ateizacji całego społeczeństwa.

Pierwsze działania w tym kierunku objęły Litwę w czerwcu 1940 roku, kiedy stała się ona częścią Związku Radzieckiego. Stan posiadania Kościoła katolickiego na Litwie był w owym czasie pokaźny — 84 proc. katolików, tj. 3 238 000 osób, 717 parafii, 1450 księży, 122 klasztory żeńskie i męskie, 4 seminaria duchowne, wydział teologiczno-filozoficzny na Uniwersytecie Kowieńskim, Litewska Katolicka Akademia Nauk, 18 prywatnych gimnazjów i szkół średnich, blisko 1000 bibliotek, 32 czasopisma, 543 archiwa, szpitale, sierocińce, domy opieki...

Decyzją nowych władz zerwany został konkordat (2.07.1940 r.), skonfiskowano bądź w wyjątkowych przypadkach ograniczono własność ziemską parafii, zakonów i seminariów. Nacjonalizacji uległy także drukarnie i księgarnie katolickie, wstrzymano wydawanie i rozpowszechnianie książek i prasy katolickiej, zamknięto wydział teologiczno-filozoficzny. Operacjom tym towarzyszyła często prymitywna propaganda i represje.

Podobną politykę wobec Kościoła i wierzących kontynuowano na Litwie po II wojnie, w zasadzie do roku 1985. Okresem największego jej nasilenia był przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Większość kościołów na Litwie została przeznaczona na inne, niż zostały wzniesione, cele. W najlepszym wypadku urządzano w nich galerie, muzea lub sale koncertowe, w najgorszym służyły jako magazyny, składy bądź ulegały dewastacji. W samym tylko Wilnie blisko 20 kościołów przeznaczono na potrzeby świeckie. W katedrze wileńskiej mieściła się galeria obrazów, w kościele Serca Jezusowego — klub budowniczych, kościół św. Jerzego zamieniono na skład makulatury, św. Katarzyny — na magazyn produktów mięsnych, w kościele Wizytek urządzono więzienie dla małoletnich, w prawosławnej cerkwi św. Trójcy — laboratorium wytrzymałości materiałów budowlanych, w świątyni kalwińskiej — halę sportową, w luteranckiej — kino. W podwileńskiej Kalwarii wysadzono 35 kapliczek ze stacjami, usunięto z Góry Trzykrzyżskiej krzyże (projektu Antoniego Wiwulskiego, autora m.in. pomnika grunwaldzkiego w Krakowie). Nie poniechano represji. Litewscy księża stanowili „nieodłączny składnik krajobrazu radzieckich więzień i łag-rów”. Wierzący uzyskali prawo do „wolności kultu”, jawne jednak korzystanie z tego prawa wiązało się z wyłączeniem „możliwości jakiegokolwiek kariery, dorobku życiowego czy bodaj spokojnego bytowania”.

Odrodzenie kościoła i religii katolickiej na Litwie w latach osiemdziesiątych było odbiciem powszechnego renesansu postaw religijnych, ale przede wszystkim — zmian polityki wyznaniowej doby „pierestrojki”.

W lutym 1989 r. zwrócono katolikom katedrę wileńską, a w marcu tegoż roku kościół św. Kazimierza — patrona Litwy (wcześniej muzeum ateizmu). Wydano szereg zezwoleń na rejestrację nowych parafii i na remonty zdewastowanych kościołów i kapliczek. Wzniesiono ponownie

Trzy Krzyże. Od 1989 r. ukazuje się dwutygodnik katolicki „Świat Katolików”. Parlament litewski, jako pierwszy w ZSRR, przyznał pełną i nieograniczoną wolność religijną Kościołowi na terytorium Litwy.

Niestety, Kościół litewski stał się jednym ze źródeł konfliktu między tamtejszymi Polakami a Litwinami. Pomimo wspólnego frontu polsko-litewskiego w obliczu niszczenia życia religijnego, litewska hierarchia kościelna kieruje się często pobudkami nacjonalistycznymi. Wciąż bardzo żywe wśród katolików litewskich pozostają różnego rodzaju żale historyczne wobec Polaków (np. dotyczące Wilna) oraz przeświadczenie, że element polski na Litwie jest groźniejszy od rosyjskiego. Stale też odżywa argument, że na Litwie nie ma Polaków, są tylko spolszczeni Litwini.

Polacy w swojej religijności są bardziej tradycyjni. Szczególnie w środowiskach wiejskich o bardziej oddani są praktykom religijnym i Kościołowi. Polskie kościoły nie świecą pustkami. Litewskie, jeżeli już się zapełniają, to większość Litwinów nie umie się modlić (skutki ateizacji). Uczestnictwo we mszy młodzi Litwini traktują raczej jako swojego rodzaju manifestację postaw nacjonalistycznych. Stąd, aby pozyskać wiernych, Kościół litewski chętnie wykorzystuje hasła narodowe.

Stopniowo, ale konsekwentnie ograniczano język polski na nabożeństwach, np. w Ostrej Bramie. Od roku 1986 ograniczenia te przybrały charakter wręcz rażący. Odwiedzającym Ostrą Bramę Polakom, niejednokrotnie z innych republik, odmawiano spowiedzi w języku polskim. Często spotykali się z opiniami w stylu: „Jak nie rozumiesz po litewsku, to jedź spowiadać się do Warszawy”. Zlikwidowano także polski chór młodzieżowy, uświetniający uroczystości w tym sanktuarium. Żadne protesty i odwołania Polaków nie przyniosły skutku.

Na ponad 40 parafii polskich wokół Wilna tylko 8 obsadzonych jest przez księży — Polaków. Polskich duchownych na Litwie jest coraz mniej i w większości są to osoby w starszym wieku. Młodzi Polacy zaś niechętnie przyjmowani są do seminarium w Kownie. W tym roku np. ani jeden polski alumn nie zostanie wyświęcony na księdza. Księża — Polaków rzadko też kieruje się do polskich parafii, częściej trafiają tam Litwini, którzy albo nie znają, albo nie przyznają się do znajomości języka polskiego. Obecnie jedynie w 4 kościołach na terenie Litwy msze odprawiane są wyłącznie po polsku. W około 70 kościołach nabożeństwa odprawia się po polsku i po litewsku. Na Litwie nie ukazują się literatura religijna w języku polskim.

Ksiądz Vaclovas Aliulis tłumaczył te posunięcia koniecznością obrony litewkości. Mówił: „nas [Litwinów] przecież ubywa. Na Wileńszczyźnie niektóre wysępki litewskie spolonizowały się (Butrymańce pod Ejszyszkami). [...] Kurczymy się nadal.” Jest to opinia z pewnością przesadzona. Jedynym dla niej usprawiedliwieniem, a także dla takiej, a nie innej postawy części kleru litewskiego wobec Polaków, może być jedynie fakt, że do niedawna Kościół katolicki stanowił główną linię litewskiego oporu. Ludzie skupieni wokół tej struktury sami przyznawali, że ruch katolicki na Litwie nie był ruchem ściśle religijnym, ale obroną pewnego stylu życia i wartości. Skąd jednak przekonanie, że wartościom tym zagrażają Polacy? Litwini mówią: „u Polaków po staremu — nic, tylko Piłsudski i Piłsudski, a modlić to się nagle zaczęli do Ostrobramskiej — z czystej pobożności?” Historia legła ciężkim kamieniem na tamtejszych stosunkach.

Gwoli sprawiedliwości wspomnieć należy, iż tendencje nacjonalistyczne nie dotyczą całości kleru litewskiego. Istnieje spora grupa księży, którzy dążą do unormowania stosunków między Litwinami i Polakami. Spore znaczenie ma tu postawa Jana Pawła II.

Ostatnie wydarzenia polityczne na Litwie konflikt między katolikami odsunęły na dalszy plan. Spory przycichły, ale nie wygasły...

# Grażyna jak Maryna

Mieczysław Buczyński

Język litewski należy do języków bałtyckich, nie słowiańskich (jak polski), ale obie te grupy są sobie bardzo bliskie, właściwie najbliższe w obrębie wielkiej rodziny indoeuropejskiej. W czasach przedhistorycznych ludy indoeuropejskie zajmowały ogromne obszary, od Indii do krańców Europy Zachodniej, stąd ich nazwa (w języku niemieckim używa się terminu: indogermańskie). Na około 20 wieków przed naszą erą nastąpił ostateczny rozpad tej dużej grupy na mniejsze (grecką, irańską, indyjską, romańską, germańską, celtycką i inne) i wówczas to powstała tzw. wspólnota bałto-słowiańska, obejmująca wszystkie późniejsze języki bałtyckie i słowiańskie; podobieństwo między nimi polegało na identycznych cechach gramatycznych (system akcentów i intonacji, odmiana rzeczowników i przymiotników), a także na wspólnym słownictwie, porównajmy np. litewskie wyrazy: galva, liepa, ranka, ragas, vilkas i polskie: głowa, lipa, ręka, róg, wilk. Po pięciu wiekach istnienia wspólnota rozpadła się na dwie grupy: bałtycką i słowiańską, co spowodowane zostało przez odejście Bałtów na północny wschód: zajęli oni północną część Bałtyku na wschód od dolnej Wisły aż po górny Dźwinę i Dniepr (stąd też pochodzi nazwa morza).

W obrębie Bałtów wyodrębniły się z czasem cztery grupy językowe: pruska, litewska, kurska i łotewska. Prusowie egzystowali do końca XVII stulecia, kiedy to germanizowani przez Krzyżaków od roku 1234, zostali całkowicie wchłonięci przez żywioł niemiecki; pozostała po nich nazwa etniczna Prusy, niemieckie Preussen, która stała się później symbolem agresywnej niemieckości. Do tej samej grupy należeli też Jadźwingowie, usytuowani w dzisiejszej Suwalszczyźnie oraz w dorzeczu Narwi i Biebrzy, znani z licznych najazdów na Mazowsze; ostatni ich przedstawiciele zostali wytopieni wspólnie przez Polaków i Krzyżaków w XVI wieku. Fala osadnictwa niemieckiego załaziła także Kurów, po których pozostał ślad językowy tylko w nazwie krainy Kurlandia, także zgermanizowanej (niemieckie land 'kraj' z łacińskim przyrostkiem -ia, charakterystycznym dla tego typu nazw). Do dzisiaj z całej grupy bałtyckiej zachowały się tylko dwa języki: łotewski i litewski, ten ostatni uważany za jeden z najbardziej archaicznych w Europie.

Współcześnie podstawowa masa Litwinów (około 3 miliony) zamieszkuje obszar obecnej Litewskiej Republiki Radzieckiej; istnieją nadto liczne enklawy litewskie na Białorusi oraz na emigracji w krajach zachodnich, głównie w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Wielkiej Brytanii i Niemczech (około 500 tysięcy). W Polsce żyje około 30 tysięcy Litwinów, w skupiskach ciągłych przy granicy z Litwą, między Puńskiem a Sejnam. Nazwa Litwa, w brzmieniu rodzimym: Lietuva, to zbiorowe określenie mieszkańców, utworzone od nazwy rzeki Leita (do języka polskiego przejęto tę nazwę za pośrednictwem staroruskiego Литва); inną część kraju stanowili Żmudzini, a nazwa ta, utworzona od litewskiego žemas 'nisko', określała mieszkańców doliny.

Polsko-litewskie kontakty językowe trwają od bardzo dawna, lecz ich odbicie w języku polskim jest mało widoczne. W dawnym Księstwie Litewskim silne były wpływy polskie i białoruskie, językiem urzędowym był tam białoruski, a litewski język literacki — który zaczął się kształtować dopiero od XVI stulecia — stał na niższym poziomie niż polski i nie mógł wyrzucić nań większych wpływów. Za bałtyzmy ewentualnie lituanizmy w polskim języku literackim można uznać na pewno zaledwie kilka wyrazów: kurpie 'chodaki z drewna i łyka' (stąd, oczywiście, pochodzi nazwa etniczna: Kurpie), pulwy 'podmokle łąki', wajdelota 'kapłan staropruski'.

Więcej lituanizmów występuje wśród używanych w naszym języku nazw własnych. Jest więc grupka imion chrześcijańskich o litewskim rodowodzie: Biruta, Danuta, Giedymin, Kiejstut, Olgierd, Witold. Imię Grażyna pojawiło się dopiero w XIX stuleciu, gdyż utworzył je Adam Mickiewicz — od litewskiego przymiotnika gražys 'piękna' z dodatkiem polskiego sufiksu -yna, na wzór takich imion, zadowolonych w języku polskim, jak: Lucyna czy Maryna.

Dość liczne są natomiast w Polsce nazwiska litewskie, gdyż szlachta litewska szybko i chętnie się polonizowała i osiadała na ziemiach Korony. Wśród tych nazwisk wyróżnić można trzy grupy. Pierwsza to nazwiska równe dawnym litewskim dwuczłonowym imionom, np.: Butrym, Dowgird, Ejsmond, Gasztołd, Giełgud, Gieysztor, Gintołt, Jagiełło, Kirkor, Korybut, Lubart, Montwiłł, Narbut, Radziwiłł, Santor, Sawrymowicz, Skirgiełło. Grupa druga to imiona skrócone, z rodzimymi lub polskimi przyrostkami, np.: Bartmiński, Domejko, Giedroń, Kęstowicz, Narutowicz, Rymusza, Sanguszko, Wojdat, Wojdyło, Wojnarowicz. Ostatnia grupa to nazwiska przezwiskowe, utworzone od litewskich wyrazów pospolitych, np. Rekuć — od lit. rekutis 'krzykacz'. Ciekawostką jest fakt, że nazwisko naszego wieszczki, Adama Mickiewicza, pochodzi od imienia białoruskiego Micek (zdrobnienie od Dmitro), zaś nazwisko Piłsudski — od litewskiej nazwy miejscowej Piłsudy (z polskim przyrostkiem -ski, charakterystycznym dla tzw. nazwisk szlacheckich).

Istnieje w polszczyźnie także spora grupka nazw geograficznych pochodzenia litewskiego, np. nazwa jeziora Hańcza (od lit. antis 'kaczka'), nazwa miasta Suwałki; litewskie są z reguły niemal wszystkie nazwy miejscowości z sufiksami -ejski, -ele, -iszki i -ucie.

O wiele bardziej owocne i widoczne okazały się polsko-litewskie związki historyczne, które mocno utkwily w świadomości i pamięci Polaków. Tak np. unię polsko-litewską z roku 1389 upamiętniają w Lublinie dwie nazwy: Plac Litewski (nazwa z pierwszej połowy ubiegłego stulecia, na tym placu obozowała szlachta litewska podczas sejmku w r. 1389) oraz ul. Unii Lubelskiej (nadana 27 kwietnia br. na miejsce Al. Gomułki).



# Fotografie Radwańskiego

Ireneusz J. Kamiński

Trudno pisać o fotografiach autorstwa człowieka, o którym w ogóle ma się dobre mniemanie. Dłoń układa się wtedy jakoś „spolegliwie”, zaokrągla zdania, a zwłaszcza ich sensy. Jedynym wyjściem z tej salonowej sytuacji wydaje się być formuła sprawozdania: żadnych ocen, rozwiniętych interpretacji, wysokich porównań, tylko fakty, opisy, proste konstatacje.

Zaczynamy więc — z zaciekawieniem, czy uda nam się to, co niemożliwe. Jeśli jednak świątobliwy ojciec Maël, zmyślony przez Anatola France'a, zresztą bezbożnika, wprowadził pingwiny do rodziny chrześcijańskich narodów, w której zyskali nazwę Francuzów, to może i nam uda się zdobyć na tzw. obiektywizm — charakterystyczny choćby dla obiektywu szerokokątnego (24 mm), jakim właśnie posługuje się główna postać niniejszego sprawozdania, ułożonego w dzień pochmurny, okresowo deszczowy, a więc sprzyjający praktykom naszego fotografa. Twierdzi on, że „słońce kłamie, skłania do estetyzmu. Już przed wojną zauważono, że prawdę ujawnia światło rozproszone”.

Lech Radwański, bo o nim mowa, urodził się w 1943 roku w Kowlu. Jego ojciec był lekarzem, matka — pielęgniarką z kolejarskiej rodziny. Zgodnie z duchem obecnego czasu, należy podkreślić, że obie rodziny, skrzyżowane przez los w owym stadle, pieczętowały się herbami, co niestety nie znaczy, że nurzały się w dolce vita. Była to dokładnie rozparcelowana, zubożała szlachta, chyba o statusie formacji, której potomkowie orzą dziś piaski Podlasia lub stanowią spoivo tej dziwnej warstwy społecznej, jaką przeżywa się inteligencją.

Oto fotografia z rodzinnego albumu Radwańskiego, poddana przezeń drobnym zabiegom warsztatowym: zmianie kadru, powiększania całości i celowo „odciętych” fragmentów, wzmacniania ekspozycji. Widnieją na niej cztery zadbane niewiasty i dwóch panów, w tym brat Zenona Waśniewskiego (współzałożyciela „Kamenu”) oraz jakiś wojskowy — kompletnie wyobcowany z tego towarzystwa, jakby wlepiony w zdjęcie, co trudno sposterzec na oryginalnej odbitce, a co rzuca się w oczy w interpretującym kadrze.

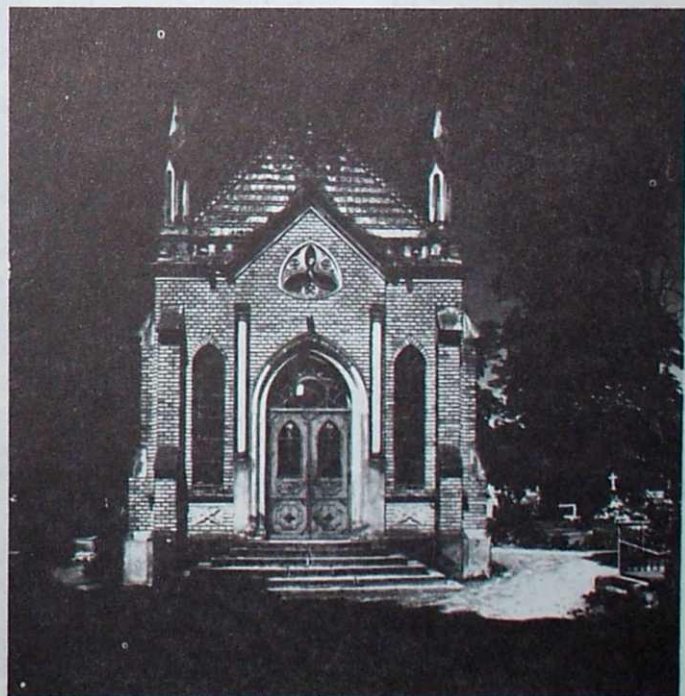
Sam Radwański wyjaśnia, że „to jest taka anatomia fotografii rodzinnej”, utrzymanej zresztą „w galicyjskiej atmosferze”. Nie pozostaje więc nam nic innego, jak wskazanie tylko na śmiertelną powagę osób pozujących do tego zdjęcia. Niby sprawa oczywista, albowiem wiadomo, że w tamtych latach, chyba dwudziestych, ludzie sztywnieli przed obiektywem mocniej niż dzisiaj — z różnych powodów, także obyczajowych. Kołacze się przecież po głowie pytanie: czy i wówczas inteligencji nie było do śmiechu?

Radwański zainteresował się fotografowaniem jako

młody chłopak, długo przed podjęciem studiów prawniczych w Uniwersytecie Warszawskim, które ukończył w 1968 roku. Potem był, jest i miejmy nadzieję, że pozostanie urzędnikiem państwowym. Biegły, doświadczony jurysta, a przy tym człowiek o szerokich zainteresowaniach humanistycznych (historia, literatura) — Radwański okazał się bowiem urzędnikiem niemal doskonałym, w najlepszym znaczeniu tego słowa. Niemal, ponieważ nawet w wieku męskim nie wyzył się owej młodzieńczej słabości do fotografii. A czy wielogodzinne przesiadywanie w ciemni (!) przystoi dyrektorowi wydziału w Urzędzie Wojewódzkim? A czy powadze państwowego oficjum nie uwłaczały nieco włóczęgi Radwańskiego z kamerą po „niepięknych dzielnicach” i zaułkach Chełma, Lublina, Krasnegostawu i Włodawy, nie mówiąc już o jego wizytach w Piaskach, gdzie zamiast skupić się nad talerzem słynnych flaków w „Rarytasie”, utrwałał na czarnobiałym filmie wapienne, sypiące się ze starości acz dumne domy i rozpaczliwie już osamotnione drewniane „kuczki”?

Owszem, to tylko taka sobie, chędogo retoryka. Wiadomo przecież, że w Urzędzie Wojewódzkim w Chełmie Radwański odpowiada za sprawy kultury, zatem wszystko jest na właściwym miejscu.

Ponad 30 lat Radwański wykonuje zdjęcia, ćwierć wieku działa w Fotoklubie Ziemi Chełmskiej...



Grobowiec na cmentarzu przy ul. Lwowskiej w Chełmie

\*  
Człowiek to istota wynaturzona. Skonstruowany został tak, by trzymać się Ziemi, spacerować po niej, ewentualnie pochłaniać urodę krajobrazu okiem trzeźwym — a tymczasem jeździ, pływa, niepokoi Pana w niebie i upija się twierdząc, że dopiero wtedy widzi świat we wszystkich jego wymiarach, łącznie z czwartym (do „Kwadratu”).

Drastycznym dowodem wynaturzenia ludzi jest jednak coś innego: manifestowana od jaskiniowej kolebki skłonność gatunku do przedrzeźniania natury lub symbolicznego unieważniania jej przez tworzenie rzeczywistości osobnej, równoległej i sztucznej, potocznie zwanej sztuką. W naszych czasach ten nałóg przybrał zatrwajające rozmiary; żyjemy w świecie obrazków i obiektów w niczym nie przypominających struktur natury, a zjawiska, rzeczy i sąsiadów z klatki schodowej postrzegamy wedle zniewalających dyspozycji wizualnych standardów. Oto skutki aroganckiej interpretacji wysiłku Jahwe, który wszak w dobrej wierze stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje.

Potężny udział w tym procederze ma fotografia, technika dzika w swym zachłannym dążeniu do wytapetowania zbiorowej wyobraźni różnymi obrazkami — ba, ale czego?! Świata dookołnego? Własnych jego wyobrażeń? Specyficznych przymiotów estetycznych i właściwości warsztatowych? Swoich możliwości poznawczych?

Każdy śpiewać może, trochę lepiej lub trochę gorzej, więc nie ma powodu, by dyskredytować jakkolwiek z tych tendencji w dziejach fotografii, jeśli oczywiście

w ogóle poważa się to „rysowanie światłem”. Gdyby jednak dano mi do ręki brzytwę Ockhama, to z cielska całej fotografii wyciąłbym wiele z tego, co chce być lub jest bytem autonomicznym, samym dla siebie, albo wiedzie ludzi, na pokuszenie spekulacji nad metodologią owej techniki notacji. Rzecz w tym, że od dłuższego już czasu całą urodę i wartość fotografii widzę w jej elementarnej, jakoś naturalnej zdolności: w miarę (!) obiektywnego rejestrowania świata.

Nie ma lekarstwa na ludzką namiętność do obrazkowania rzeczywistości, do uwieczniania w albumie pamięci siebie samych, przyrody i właściwie wszystkiego, co wpadnie nam w oko. Nie jest jednak obojętne, jak to się robi.

\*  
W swojej własnej fotograficznej szkółce „zaliczył” Radwański lekcje Bulhaka, Hartwiga i Hermanowicza. Robił wtedy zdjęcie ładne, nierzadko spowinowacone z estetyką malarstwa impresjonistycznego — do czasu, kiedy zetknął się ze słynną wystawą „Family of Men” i z twórczością Amerykanów. Musiało to być zderzenie mocne, skoro po tym doświadczeniu chełmianin zniszczył pokazałą część swojego „estetycznego” dorobku i spojrzął na świat innym okiem.

Owszem, i teraz Radwański uwiecznia ze smakiem panoramy i architekturę Chełma. Przy pomocy starych, dobrych sposobów (perspektywa żabia, przekontrastowanie, igraszki z fotogenicznymi zawsze chmurkami)



Z serii „Krasnystaw”

lirycznie interpretuje fasadę katedry Mariackiej, barokowe wieże kościoła Rozesłania Apostołów, neogotycki grobowiec na cmentarzu przy ul. Lwowskiej, albo jeziora mięciutko rozfalowane i chłoneące ostatnie blaski Słońca, które zapada gdzieś hen za lasem, za borem... Na zdjęciach w tej konwencji pięknieją i nabierają patosu nawet typowe bloki nowych osiedli mieszkaniowych Cheima, nad którymi leniwie kotłuje się tutejsza *spécialité de la maison*: obłoczek pyłów z cementowni, całkiem zgrabnie porządkujący kompozycję (aczkolwiek niezbyt chyba dobrze widziany przez zleceniodawcę serii).

Główne zainteresowania Radwańskiego spełniają się dziś jednak w odmiennej przestrzeni: wspomnianych już wcześniej, „niepięknym dzielnic” czy uliczek miast i miasteczek regionu, gdzie autor z ciepłym upodobaniem zapisuje na kliszy charakterystyczne dla tych miejsc, na ogół zniszczone, chore, rozpadające się domy i ich otoczenie. Od razu przy tym powiedzmy, bo to ważne, że poetyka owych zdjęć nie ma nic wspólnego z fotograficzną egzaltacją lat sześćdziesiątych, kiedy to w starych budynkach dopatrywano się przede wszystkim malowniczości i egzotyki — tak, jak rodzajowi malarze XIX wieku przerabiali biednych, zatyranych chłopów pańszczyźnianych na „ciekawe typy ludowe” — przaśne, krzepkie i rubaszne w obrazach. „Niepiękne” serie Radwańskiego mają walory dokumentów, sporządzonych bezstronnym okiem aparatu, celowo — aby uniknąć efektownych blików czy dynamizujących rytmów — w dni bezsłoneczne, nawet deszczowe. Najczęściej bezładne, posiadają przecież te fotografie osobliwą, nostalgiczną atmosferę i opowiadają o sprawach ludzkich. Jest to narracja bardzo powściągliwa, prowadzona przy pomocy realnie istniejących znaków czy przedmiotów, zastanych, a co ważniejsze — odpowiednio zauważonych przez Radwańskiego.

Oto kadr z serii „Piaski” (1985), przedstawiający tylko ścianę budynku, zlepioną z kawałków pospolitego w tej okolicy wapienia. Ściana jest poplamiona, więc koresponduje sobie „topornie” z szyldem: „ul. Rzeźniana”.

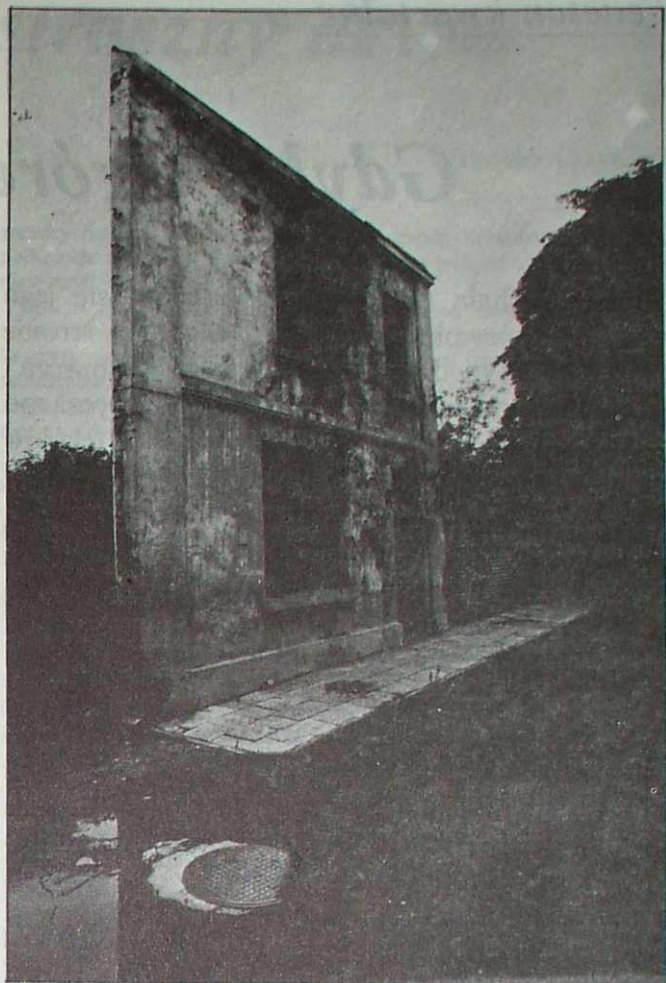
Oto fotografia z „Krasnegostawu” (1985): parterowy, przysadzisty budynek, może z ubiegłego wieku, zwraca się do widza kilkoma szyldami pod dachem: „Wykonuję pierścienie tłokowe...”, „Zakład szklarski”, „Czapnik M. Kacprzak”, „Wulkanizacja”.

Oto praca z „Lublina” (1987): biedniackie, brudne podwórko, flankowane wapiennymi ruderami i drewnianymi szopami — ale ozdobione białym klejnotem z innego świata: autem marki „syrena”...

Prawda, Radwański notuje też obiekty przedziwne — lecz nie za sprawą manipulacji kamerą są one niezwykle, ale z siebie samych, jak np. piętrowy i wąski dom z „Chelma” (1987), wyglądający niczym samotna ściana z oknami i wejściem — bo wzniesiono go chyba na planie trójkąta.

Po niejednym z tych budynków nie ma już śladu. Ich los podzielią zapewne wkrótce i te, które jeszcze istnieją. Rozsypią się w proch, powrócą do ziemi, do natury, która tymczasem przypomina owemu światu bezwzględne prawa śmiertelnego cyklu, siejąc trawę i krzewy na murach („Włodawa”, 1980).

Radwański fotografuje też cmentarze: ludzkie i samochodowe (seria chełmska z 1986 r.). Wskazuje przy tym za Steinbeckiem, że zwłaszcza stare pojazdy posiadają osobowość (której z kolei wyzbyte są współczesne auta,



Z serii „Chelma”

projektowane przez komputery, zatem bliźniacze w stylistyce).

Radwański sfotografował ponadto śmietnisko miejskie w zimie, upstrzone wronami, które niejako zmusił do uprawiania grafiki na śniegu, na drzewach i na niebie. Ale to już inne sfery: foto-grafiki. A zresztą, czy ja wiem, może to również są dokumenty?! W końcu kształt wroni nie zatraca się w czerni plamek, a śmietnisko jest faktem wręcz natrętnie obecnym przy drodze na Serebryszcze.

Ostatnio próbuje ożenić fotografię z kserografem (przetworzenia). Nie pociągniemy jednak tego wątku, albowiem zbliżają się kolejne wybory. Istota sprawy ukrywa się w tym, że jednym z tematów fotokserokopii Radwańskiego była propaganda wizualna przed wyborami prezydenckimi A.D. 1990. No, uchylmy troszeczkę falbanki i powiedzmy szeptem scenicznym, że nasz obserwator utrwalił na wieki takie „kwiatki”, jak np. plakaty poparcie dla..., nalepione na żalobnej klepsydrze, oraz wizerunek ludowego kandydata na..., przyszpilony obok szyldu pogotowia weterynaryjnego.

Radwański wystawia rzadko. Trzykrotnie brał udział w ogólnopolskich przeglądach fotografii amatorskiej w Uniejowie (współ z kolegami z FZCh), razem z E. Fladrzyńskim reprezentował środowisko chełmskie na wystawie 40-lecia amatorskiej fotografii artystycznej w Polsce (Politechnika Warszawska, 1984), nie zaniedbywał oczywiście lokalnych pokazów Fotoklubu. Miał jedną wystawę indywidualną (w Chełmie 1979 roku).

Ireneusz J. Kamiński

## *Gdyby Ogórek miał lokaja*

Lubię Michała Ogórka. Podobają mi się jego pomysły, którymi dzieli się na ostatniej stronie „Przeglądu Tygodniowego”. „Gazeta Wyborcza” też najwyraźniej lubi tego autora. Hojnie użycza mu swoich łamów. Jednak jeden z ostatnich tekstów pióra Ogórka („Co widzi służąca”) mocno naruszył fundamenty mojej dla tegoż autora sympatii. Chyba mi ktoś „mojego” Ogórka zaczarował albo podmienił. Najpierw autor oburzył się na służącą Prousta, która spisując swoje pamiętniki, miast dokonać analizy filozoficznej bądź językowej 7-tomowego dzieła „W poszukiwaniu straconego czasu”, skupiła się na opisanu wrednego charakteru swojego pana i jego małej dbałości o higienę. Nie służąca Prousta jednak najbardziej denerwuje Ogórka, ale nasze rodzime gazety. „Punkt widzenia służących i lokajów odzwierciedla wiernie nowa generacja postkomunistycznej prasy — głównie „Nie” i „Skandali” wyspecjalizowanych w poszukiwaniu takich informacji z życia III Rzeczypospolitej. Służąca i lokaj nie widzą, że trwa tu jakaś praca nad ocaleniem naszego kraju, tylko, że ludzie tym się trudniący mają łupież, śmierdzące skarpetki, a jak tylko zajmą jakieś stanowisko, zaraz jeżdżą samochodem.”

Nie chcę brać w obronę ani „Nie”, ani „Skandali”. Niech bronią się same. Ja jednak tak po prostu nie oceniałbym tego, co mają do powiedzenia o swoich panach służący i lokaje. Lokaj nie widzi pracy nad ocaleniem kraju, bo po pierwsze, nie musi, a po drugie, powiedzmy sobie szczerze, wcale nie tak łatwo to zobaczyć. Poza tym okres, w którym wszyscy widzieli pracę swoich przywódców jak na dłoni, zachwycali się nią autentycznie lub mniej autentycznie, mamy już za sobą. Mając przy tym na uwadze efekty, nie warto go chyba powtarzać.

Dalej — służące rozgłaszając plotki o swoich panach robią im doskonałą reklamę. Przybliżają tych ze świecznika szaremu obywatelowi. Obywatel teraz wie, że jego ulubiony minister ma łupież, całkiem jak Kowalski z góry. W niczym nie ujmuje to autorytetu ani ministrowi, ani Kowalskiemu. Szary obywatel nadal lubi swojego ministra, a nawet

współczuje mu z powodu tej dolegliwości. Zastanawia się, jak pomóc.

Służba zauważy zresztą nie tylko łupież czy brudne paznokcie. Widzi, że „Państwo nie robiom, cięgiem ino żrom i żrom, to ich rozpiro! Żrom, chorujom, wylegujom się, po pokojach chodzom i gadajom cosik”. Widzi też jakie Państwo som, że np. „bardzo som pażerne i łakome”. (To już nie Ogórek, to Gombrowicz). Przyuważyli chociażby posła Józefa Lubienieckiego. O wszystkim roztrąbili światu i teraz prokurator generalny wystąpił o uchylenie wobec niego immunitetu. Tak więc, służba spełnia jeszcze jedną istotną rolę — obserwuje. Myślę, że świadomość tego dobrze wpływa czasami na psychikę Państwa. Taki lokaj — byle co, zawsze może zobaczyć to, czego nie trzeba, albo parsknąć prosto w nos, kiedy jego pan wypowie się ni w pięć, ni w dziewięć, publicznie. Taki to już typ, ta służba, nie rozumie ani w ząb, że to wszystko nieważne, pył, że chodzi o coś zupełnie innego.

A skoro już zaczęliśmy od Prousta. W literaturze opisana została niejedna historia, w której służący znacznie przewyższył szlachetnością lub mądrością swojego pana. Dla przykładu — Kubuś Fatalista i Pan. Kubuś bawił swego pana, myślał za niego, administrował jego mieszkaniem, za niego nadstawiał karku. Albo najsłynniejsza para — Don Kichot i Sancho Pansa... Warto czasem posłuchać, o czym mówi służba. Wiadomo też, że człowiekowi prawdziwie wielkiemu nigdy nie zaszkodzi gadanina służby. Czy fakt, że Oscar Wilde był pedalem ma wpływ na poczytność jego dzieł? Czy prawda, że Proust sypiał w brudnych prześcieradłach przekreśla jego twórczość?

Wielcy słuchają gadania służby nie po to, by się na nią obrażać. Zwłaszcza, że czasami można usłyszeć i takie słowa: „miłuję go z całego serca, i nie mogę go porzucić mimo wszystkie szaleństwa, jakie wyczynia”.

A swoją drogą ciekawe byłoby posłuchać tego, co miałby do powiedzenia lokaj, ewentualnie służący pod Ogórkiem.

Anna Maj

# Nasz poczciwy straszny diabeł

Urszula Osypiuk

W świadomości człowieka wierzącego świat bogów nie jest zbyt ostro oddzielony od sfery innych bytów. Mówiąc o niezbyt ostrym oddzieleniu obu światów, mam na myśli nie tylko rzecz tak oczywistą, jak częste i powszechne kontakty Boga z ludźmi i przyrodą, ale przede wszystkim twierdzenie wszystkich doktryn religijnych, że pomiędzy światem bogów a światem ludzi i przyrody istnieje świat specyficzny, do którego należą istoty pośrednie między bytem boskim a bytem ludzko-przyrodniczym. Bowiem nie tylko w doktrynie chrześcijańskiej mamy do czynienia z aniołami, diabłami i innymi tworam, które nie są już ludzkie, ale też i nie są jeszcze w pełni boskie.

Religioznawcze ujęcie „demonów” odbiega od popularnego i teologicznego pojmowania tej sfery bytów, zawężającego je do duchów złych. Cóż bowiem wtedy począć z aniołami i herosami?

Całość tak szeroko pojętej demonologii należy podzielić na dwa działy: demonologię pozytywną i demonologię negatywną. W skład pierwszego działu wchodzi teoria aniołów, czyli angeologia, następnie teoria nadludzi, czyli herosów, a wreszcie teoria różnych czarodziejów i dobrych wróżek. W skład demonologii negatywnej wchodzi przede wszystkim teoria szatanów, czyli satanologia, oraz teoria złych potworów, czyli teratologia. Z greckiego *teras*, *teratos* znaczy potwór. W biologii i medycynie teratologia oznacza naukę o potwornościach, czyli niezwykłych dysproporcjach wzrostu, poszczególnych organów itp.

Zatrzymajmy się przy jednym z centralnych elementów demonologii chrześcijańskiej — diable. Wiara w diabła wywodzi się w pierwszym rzędzie z wiary w złe duchy w religiach pierwotnych, następnie — w związku z wykształceniem się wiary w bogów — z rozszczepienia jednolitej początkowo osobowości bóstw na pozytywną i negatywną. O ile więc bogom początkowo nadawano cechy i dobre, i złe, to później — wobec uwznioślenia się idei Boga, któremu nie można już było przypisywać złych atrybutów — cechy negatywne zostają zgrupowane w personifikacji zła.

Idea diabła podlega więc (podobnie jak Boga) rozwojowi: jak Bóg staje się uogólnieniem i alienacją wszystkich najlepszych stron człowieka i dobroczynnych zjawisk rzeczywistości, tak diabeł staje się uogólnieniem i hipostazą wszystkiego tego, co zagraża człowiekowi — nieszczęść i zła.

W monoteizmie diabeł przestaje spełniać rolę antyboga, równego pod względem sił konkurenta i spada do rangi egzekutora boskiej kary za

grzechy ludzkie, do rzędu ośmieszanej często kreatury, dybiącej na potknięcia ludzkie i wiodącej wierzących na pokuszenie, często nader niewymyślnymi sposobami.

Nie można jednak zapomnieć, że rodowód diabłów dość często wywodzi się z dawnych dobrych bóstw religii podbitej przez inną, że bogowie zwyciężonych religii ulegają deformacji fizycznej. Skoligacenia panteonów, czyli tworzenie pokrewieństw między bogami panteonu zwycięzców i panteonu pokonanych, mogły następować nawet przy dużych różnicach kulturowo-religijnych. Według prof. Z. Poniatowskiego chrześcijański diabeł stanowi właśnie przykład odwrócenia panteonu religii Grecji hellenistycznej, gdzie głównym bogiem był już nie klasyczny-grecki Zeus, lecz bóg pijaństwa i rozpusty Dionizos. Jak wiemy, bóg ten był wyobrażany jako półczłowiek-półkoziół, mający kosmatą postać, koźle rogi na głowie, ogon i koźle kopyta zamiast nóg. Chrześcijaństwo, podbiwszy grecki krąg kulturowo-religijny w okresie hellenizmu, przekształciło centralnego boga tej podbitej religii w swego głównego boga zła — diabła.

Wiara w diabły występuje w religiach powszechnie, różne są jednak jej formy i różna jej waga w doktrynach. Różnorodność ta odbija się także i w nazwach tych „adwersarzy bogów”: w samym chrześcijaństwie mówi się i o diable, i o szatanie, często także o „złym”: złym duchu, „złym aniele”, „upadłym aniele” lub o „duchu nieczystym”. W języku greckim *diabolos* znaczy oszczerca. Początkowo termin ten miał znaczenie czysto świeckie (np. sądowe), później *diabolos* stał się oszczercą ludzi przed Bogiem i oskarżycielem, a wreszcie przeciwnikiem Boga i ludzi. Z greckiego *diabolos* i łacińskiego *diabolus* wywodzą się nazwy diabła w wielu językach europejskich.

Natomiast termin szatan jest pochodzenia hebrajskiego — *satan* i znaczy tyle, co przeciwnik (np. w walce) i oskarżyciel. Często też spotykamy zgrecyzowaną formę: *satanos*.

Zgodnie z satanologią starotestamentową diabeł indywidualizuje się i hierarchizuje w strukturze piekielnej; mówimy więc o „książętach diabelskich” czy o „władcach piekieł” (jak Lucyfer i Belzebub) oraz o zwykłych, szeregowych diabłach, wykonujących swą zmuszoną, codzienną służbę piekielną.

Postaci Lucyfera i Belzebuba są szczególnie interesujące i nader



zawikłane. Lucyfer wywodzi się z łacińskiego *Lucifer* (niosący światło). Było to pierwotnie męskie bóstwo astralne, czczone w dawnej Arabii i Palestynie. Według starożytnych przekazów w Eluzie koło Gazy miał się narodzić w dniu 6 stycznia z bogini — dziewicy bóg *Dusares* (syn Jednorodzony Pan), czyli *Lucifer* — kochanek *Wenus* — gwiazdy wieczornej.

Jeśli zaś chodzi o Belzebuba, to wywodzi się on z kanaanejskiego bóstwa chtonicznego *Baal-Alijana*. Było to bóstwo podziemi, przede wszystkim źródeł, które z podziemi brały swój początek; *Baal-zebul* to „Pan podziemi i przepaści”. Już teksty Nowego Testamentu uważają Belzebuba za odpowiednik szatana — takim też pozostał do dzisiaj.

Chrześcijańska wiara w diabła wywodzi się z satanologii żydowskiej, przede wszystkim zaś z literatury apokryficznej i rabinistycznej, ta zaś z kolei z satanologii staroperskiej. Satanologia chrześcijańska ulegała również wiekowej ewolucji. Znaczny wkład wnieśli tu czołowi teologowie Kościoła, jak Augustyn i Tomasz z Akwinu. Następują procesy dogmatyzacji wiary w diabła, rozwój ikonografii diabła oraz z jednej strony personalizacja i indywidualizacja, a z drugiej — umetafizycznienie tej wiary jako zasady kosmicznej i eschatologicznej.

Wizerunek diabła u poszczególnych narodów nie był jednakowy. Składały się nań różne elementy lokalnych tradycji, oficjalnych poglądów Kościoła, nawarstwienia importowanych wyobrażeń i wiele innych czynników. Nie bez znaczenia była fantazja wybitnych pisarzy lub malarzy, którzy nieraz w dużym stopniu wpływali na ukształtowanie wizerunku diabła w wyobraźni szerokich rzesz ludności. Dostatecznie istotne były również różne uprzedzenia lokalne. Poszczególne narody chętnie widziały diabła w postaci niezbyt lubianego sąsiada. Ludowy diabeł angielski był chudym Francuzem, ugrzeczniomym, gestykulującym i bez przerwy podskakującym. I na odwrót, diabeł francuski przybierał postać angielskiego gentelmana. W wyobraźni Lapończyka diabeł chodził w mundurze szwedzkiego żołnierza. Wśród Europejczyków miał on jednak przeważnie postać czarnego mieszkańca Afryki. U niektórych zaś plemion murzyńskich diabeł był Europejczykiem, ubranym w strój dawnych przybyszów holenderskich. Natomiast diabeł ludu polskiego często przybierał postać Niemca.

Mimo dosyć dużych i istotnych różnic, diabeł we wszystkich krajach chrześcijańskiego świata posiada wiele cech podobnych. Wspólne źródła wiedzy o piekle ukształtowały w wyobraźni wielu ludów te same cechy charakteru i te same właściwości zewnętrzne diabła (rogi, ogon, końskie kopyta).

Protokoły procesów o czary stanowią doskonale źródło poznania świata piekielnego, jaki istniał w wyobraźni ludzi minionych czasów. Dzisiaj czytamy te teksty z uśmiechem politowania. Należy jednak pamiętać, że w XVII i XVIII w. straszliwy lęk przed „siłami nieczystymi” był jednym z najważniejszych motywów ludzkiego postępowania. Na człowieka czyhały wokół moce piekielne. Wszystko zło, z którym człowiek się stykał, było przedstawiane jako wynik perfidnej działalności diabła.

Ponura wiara w działalność mocy piekielnych i ich sojuszników czarownic przyczyniła się w niemałym stopniu do tego, że zarówno wieś, jak i miasto ogarnięte zostały w XVII i XVIII w. istną manią obawy przed groźnymi „siłami nieczystymi”.

Spoleczne następstwa tego zjawiska nie dały na siebie długo czekać. Uciskany i wyzyskiwany chłop wierzył, że winien jego nędzy i poniżenia jest nie pan feudalny, lecz „autor wszelkiej biedy i nieszczęścia” — diabeł. Sprawa nędzy, wyzysku i ucisku schodziła nieraz na plan dalszy wobec czujących na każdym kroku groźnych i tajemniczych sił piekielnych.

W Polsce w pierwszych wiekach po wprowadzeniu chrześcijaństwa strach przed diabłem nie był jeszcze zbyt wielki. W dalszym ciągu pokutowały raczej różne lokalne zabobony, wywodzące się z czasów pogańskich. Natomiast obawa przed mocami piekielnymi zaczynała wzrastać od końca XVI w. i osiąga swój punkt szczytowy w pierwszej połowie XVIII wieku. Nic więc dziwnego, że poczynając od XVII w. mnożą się jak grzyby po deszczu różne wydawnictwa popularne, dotyczące tematów „diabelskich”. Za pośrednictwem plebanii, dworu lub miasteczka echa tej literatury docierały do niepiśmiennych chłopów. Na wsi polskiej nastąpiło też dziwne pomieszanie różnych, wywodzących się jeszcze z czasów pogańskich, wierzeń z oficjalnie głoszoną przez sfery kościelne nauką o diablach i mocach piekielnych. Straszliwy zabobon urastał do nie spotykanych poprzednio rozmiarów.

W mniemaniu ludzi ówczesnych, przyzwyczajonych do istnienia ustalonej gradacji społecznej, również i mieszkańcy piekiel podlegali pewnemu podziałowi klasowemu. W świecie diabelskim nie brak było różnego rodzaju dostojników noszących tytuły wojewodów, kasztelanów, starostów, podstolich. Tacy przedstawiciele piekiel przybywali do swej obłubienicy „w czerwieni” lub „w modrzy”. Zachowywali się zupełnie jak szlachta i nawet w rozmowach między sobą zwracali się nie jak chłopcy, lecz



Motywy diabelski w grafice Maxa Ernsta (ze zbiorów Sprengel Museum w Hanowerze, prezentowanych w kwietniu br. w „Zachęcie”)

po szlachecku: „mości panie bracie”. Dobór imion diabelskich był dosyć różnorodny, zawsze jednak zgodny z chrześcijańskim kalendarzem. Najczęściej diabeł nazywał się Marcinkiem. Trudno powiedzieć czy był to przypadek, czy też imię Marcin było jednym z przydomków nadawanych mieszkańcom piekiel. Inne imiona nadawane diablom to: Sobek, Jasiek, Grześ, Bartek, Kasperek.

Inny typ szatana, pojawiający się w zeznaniach torturowanych czarownic, to diabeł niemiecki. W XVII i początkach XVIII wieku pojawiał się on o wiele rzadziej niż diabeł szlachecki. Jednak już przy końcu XVIII i w początkach XIX stulecia postać diabła niemieckiego staje się coraz popularniejszą wśród ludu. Wtedy to dumnego szlachcica w szkarłacie zastąpił kuso ubrany Niemiec w trójgromnym kapeluszu, z jedną nogą ludzką, a drugą końską. Diabeł niemiecki z zeznań czarownic tylko strojem różnił się od swego kolegi szlachcica.

W XIX wieku szeroko popularyzowana została postać Boruty — jednego z nielicznych w Polsce diabłów regionalnych. Terenem jego działalności były okolice Łęczycy, ongiś obfite w bagna i błota. Rodowód tego diabła jest raczej niejasny. Prawdopodobnie wywodzi się on z dawnych przedchrześcijańskich demonów leśnych, zaś nazwę swą wziął od boru. W dawniejszych pracach popularnonaukowych jak i w literaturze pięknej postać Boruty została odpowiednio wystylizowana. Stał się on symbolem diabła szlacheckiego, posiadającego wszystkie wady, ale również i zalety przedstawiciela dawnych feudałów polskich. Ów Boruta nie był diabłem podrzędniejszego gatunku. Był to wielki feudał, coś jakby namiestnik piekiel na całą okolicę łęczycę. Do posług miał diablów, którzy pomagali mu w potrzebie, a nawet, zamienieni w konie, zaprzęgni byli do jego powozu. Trudno jest zdecydować, czy ta wysoka ranga łęczycyckiego Boruty była następstwem jakiegoś specjalnego kultu lokalnego dla demonów błotnych i leśnych w czasach przedchrześcijańskich czy wczesnochrześcijańskich.

Inny lokalny diabeł, o którym wspomnienie zachowało się w pamięci

ludu, to Rokita. Nie zrobił on tak oszalamiającej kariery jak jego piekielny kolega Boruta, ale może się wykazać równie godnym rodowodem. Rokita to najprawdopodobniej jakaś przedchrześcijańska istota demoniczna, związana z bagnami i łąkami, zaliczona później do kręgu piekielnego. Jest postacią występującą głównie na terenie województwa łódzkiego, ale można ją również spotkać w innych regionach Polski. Obecnie trudno odtworzyć jakieś specyficzne cechy, różniące Rokitę od innych diabłów. Wiemy jednak, że był to diabeł wysoko postawiony w hierarchii piekielnej. Rokita widywany był w postaci chłopca, pana lub zwierzęcia, najczęściej jednak przywdziewał strój szlachecki.

Na najniższym szczeblu czartowskiej drabiny społecznej znajdował się tłum różnego rodzaju „diabelków” i „diablików”. Pełnili oni funkcje tylko pomocnicze lub usługiwali swoim, godniejszym rangą, kolegom.

W mniemaniu ludu diabeł zawierał z czarownicą związki ślubne lub nawet bez nich starał się zdobyć jej względy. Najczęściej adeptka do czartowskiego stanu poznawała przyszłego oblubieńca za pośrednictwem innych czarownic. Niekiedy szatan próbował siłą zdobyć nie spodziewającą się niczego kobietę, a gdy to zawiodło, chwycił się fortelu: przychodził do jej łóżka pod postacią kota, by w odpowiedniej chwili przeobrazić się w mężczyznę. Przedstawiciel piekiel przeważnie brzydził się „wolnym związkiem” i starał się zawrzeć ze swą oblubienicą związek małżeński. Ów ślub czartowski przeważnie polegał na naznaczeniu oblubienicy piętnem, tzw. pieczętką diabelską (niekiedy było to zwyczajne zadrapanie). Piętno miało być w miejscu nieczułym na ból i niewidocznym zarazem dla ludzi.

Sporo miejsca w zeznaniach polskich czarownic zajmują opowiadania o sabatach, na których zabawiały się z diabłami. Miejscem tych spotkań była najczęściej tzw. Łysa Góra. Nazwa ta prawdopodobnie przywędrowała do nas z Zachodu, wszędzie bowiem — od Hiszpanii aż po Szwecję i Węgry — znane były Łyse Góry, na których odbywały się sabaty czarownic wspólnie z przedstawicielami piekiel.

Łysych Gór było w Polsce niemało. W każdej prawie okolicy znajdowała się jakaś górka lub choćby niewielkie wzniesienie, gdzie odbywały się owe osławione spotkania. Do ostatnich prawie czasów w legendach ludowych zachowało się wspomnienie tych diabelskich bankietów, jakie odbywały się na którymś z okolicznych wzgórz. Zresztą czarownice i szatani nie byli zbyt wymagający co do miejsca zabawy. Gdy w okolicy brak było odpowiedniego niezalesionego wzniesienia, bankiet odbywał się na kępie wśród bagien.

Terminy tych diabelskich uczt w poszczególnych okolicach były dosyć różne. Przeważnie takie spotkania przedstawiciele piekiel z ich ziemskimi sojusznikami odbywały się raz lub dwa razy na tydzień, zwykle nocą. Najbardziej sprzyjającym dniem był czwartek. Opisy łysogórskich bankietów, zamieszczone w protokołach procesów o czary, dają barwny obraz tych zabaw. Oto jak je opisywała przed sądem kaliskim torturowana niewiasta: „Że tańcowała z tym Marcinkiem i piła piwo z nim zle. Całował ją, śmierdziało mu z paszczki by psie gówno, którą miał jak u psa. Gdy tańcowała, grano im na skrzypcach, a drugi na dudkach, trzeci na piszczalce. Na dudkach grał Marcin, na skrzypcach Kasper, na piszczalce nie może baczyć który. Tańcowało ich trzy: ona, Dorota i młynarka. Gotowali im jeść pokaźną, kapustę, jarmuż, rzepę i mięso, a wszystko było zle. Wzięła z tym Marcinkiem znajomość z Dorotą pospołu, kiedy i ona z Kasperkiem, i oddała mu się z ciałem i z duszą”.

Wiara w ucztę diabłów z czarownicami na Łysej Górze była w XVII i XVIII w. głęboko zakorzeniona wśród szerokiej rzeszy ludności. Dla umysłów bardziej krytycznych, aczkolwiek przekonanych o istnieniu piekiel i szatanów, były to jednak rzeczy nie do przyjęcia. Fantastyczne podróże czarownic na miotłach, tajemnicze bankiety na dachach kościołów musiały wzbudzać pewne zastrzeżenia. Próbowano więc to sobie wyjaśnić w inny sposób. Zgodnie z poglądami panującymi na Zachodzie, niektórzy pisarze polscy tłumaczyli, że łysogórskie sabaty były tylko imaginacją. W ich mniemaniu szatan usypiał czarownicę i we śnie przedstawiał jej fantastyczne i dziwne obrazy.

Czytając baśniowe historie o diabłach i czarownicach nie można zapominać, że w dziejach Polski XVII i XVIII wieku jedną z ciemniejszych kart stanowią procesy czarownic. Zabobon, będący następstwem wiary w diabła i złe moce piekielne, pociągnął za sobą śmierć w najstraszliwszych męczarniach kilkuset tysięcy niewinnych kobiet, posądzonych o zмовę z szatanem.

Wieczna obawa przed diabłem, czyhającym na każdym kroku na duszę ludzką, była zjawiskiem typowym dla świata chrześcijańskiego zarówno w okresie średniowiecza, jak i w wiekach późniejszych. Powszechnie wierzono, że diabeł dla swych straszliwych celów potrzebował pomocników spośród ludzi, przede wszystkim spośród „mniej odpornych na szatańskie pokusy kobiet”.

Już w zaraniu średniowiecza spotkać się można w Zachodniej Europie



„Jazda do nieba i piekła. Szkice humorystyczne piórkim” — Jana Matejki, repr. w monografii malarza, napisanej przez Stanisława Witkiewicza („Matejko”, Lwów 1908)

z pierwszymi procesami czarownic, ale zdarzały się one jeszcze dość rzadko. Ponury zabobon rozszerzył się znacznie w wieku XII i XIII. Dostępnym łączącym się z walkami na tle religijnym. Chcąc zdyskredytować przeciwnika w oczach całego społeczeństwa chrześcijańskiego, najłatwiej było go oskarżyć o stosunki z mocami piekielnymi.

Od pierwszej połowy XIII w. coraz częściej były procesy domniemanych współpracowników szatana. Charakterystyczne, że odbywały się one przeważnie tam, gdzie toczyły się jednocześnie walki na tle religijnym (południowa Francja, zachodnie Niemcy).

W drugiej połowie XV oraz w XVI wieku straszliwy zabobon jeszcze bardziej przybrał na sile. Nie miały wpływu na to oficjalne władze kościelne. Reformacja tylko na bardzo krótki okres osłabiła to okrutne zjawisko. Niebawem wybuchło ono ze zmożoną siłą, i to zarówno na obszarach wiernych Kościołowi katolickiemu, jak i pozostających pod wpływem nauki Lutera.

Krwawa fala objęła wszystkich mieszkańców tej części Europy. Wszystkie nieszczęścia osobiste — choroby, grad, powodzie i nieurodzaje — tłumaczono powszechnie działalnością czarownic. Zresztą, jak można było nie wierzyć w czary, skoro zarówno oficjalne sfery kościelne, jak i naukowe starały się uzasadnić słuszność tego poglądu. Człowiek, który odważył się wątpić w stosunki czarownic z diabłami, uchodził za ateistę lub nawet współnika szatana i narażał się na prześladowania. Trudno więc dziwić się temu, że całą prawie Europę środkową i zachodnią ogarnął istny szal poszukiwania diabelskich współpracowników. W okresie XV-XVII wieku przypuszczalnie około miliona lub nawet dwu milionów osób straciło życie na skutek tych prześladowań. Ich przestępstwa to paktowanie z diabłem, latanie do odległych miejsc na miotłach, gromadzenie się na sabatach, czczenie diabła, całowanie diabła pod ogonem, kopulacja z inkubami — diabłami wyposażonymi w lodowate penisy, kopulacja z sukubami — diabłami płci żeńskiej.

Przypuszczam, że najlepszym sposobem zrozumienia przyczyny manii na punkcie czarownic jest zbadanie raczej jej ziemskich skutków niż boskich intencji. Głównym efektem tych polowań (poza zgwałconymi włokami) było przekonanie biednych, iż stali się ofiarami czarownic i diabłów, nie zaś księży i papieży. Twój dach przecieka, krowa poroniła, owies zleży, wino skwaśniało, głowa cię boli, dziecko zmarło — to sprawa sąsiada, tego, który wylał ci plot, winien ci być pieniądze, albo pożałuj twojego pola — sąsiad zamieniał się w czarownicę. Cena chleba podskoczyła, podatki wzrosły, zarobki spadły, trudno o pracę — to wina czarownic. Zaraza morowa i głód zabrały jedną trzecią mieszkańców każdej wioski i każdego miasta? Diabelskie, piekielne czarownice rozszalały się coraz bardziej...

Kościół i państwo prowadziła śmiałą walkę z widmowymi wrogami ludu. Władze nie szczędzą wysiłków, aby odeprzeć zło, i zarówno bogaci, jak i biedni mogą być wdzięczni za energię i odwagę okazane w tej walce.

Tak więc w praktyce mania na punkcie czarownic oznaczała, że odpowiedzialność za kryzys w późnośredniowiecznym społeczeństwie przesunięto z Kościoła i państwa na urojone demony w ludzkiej postaci. Pochłonięte fantastycznymi sprawkami demonów, podniecone, wyobcowane, zbiedniałe masy winiły panoszącego się diabła zamiast przekupny kler i zachłanną szlachtę.

Chorobliwa obsesja polowania na czarownice demobilizowała biednych i wywłaszczonych, zwiększała między nimi dystans społeczny, budziła wzajemne podejrzania, skłócała sąsiadów, izolowała każdego, napawała wszystkich strachem, zwiększała poczucie zagrożenia, czyniła ludzi bezradnymi i zależnymi od klas panujących, ogniskowała gniew i frustrację na czysto lokalnych sprawach. W ten sposób coraz bardziej odciągała biednych od stawiania duchowemu i świeckiemu establishmentowi żądań redystrybucji dóbr i niwelacji różnic społecznych. Była to magiczna broń warstw uprzywilejowanych.

Nie wszystkie to jednak pożytki płynące z wiary w diabła. W potoczny, a więc manichejskim chrześcijaństwie diabeł wszystko załatwiał i wszystko brał na siebie. Był, można rzec, wynalazkiem bezcennym, tłumaczył bez trudu wszelkie zło na świecie, nadawał temu złu postać osobową, niekiedy widoczną po prostu gołym okiem, nadającą się jako cel dla kalamarza magistra Lutera. Diabeł zgodził się wziąć na siebie całe nasze zło, był wiecznym usprawiedliwieniem naszych nikczemności. Pozwolił abymy zrzucili na jego barki smutny i hańbiący ciężar naszych grzechów. Świat bez diabła byłby trudny do zniesienia, żądałby od nas odpowiedzialności za istniejące zło.

Można powiedzieć, że to nieprawda, że człowiek winien jest swojego grzechu i że choćby diabeł go kusił, to z własnej woli pokusie ulega. Wiemy o tym, oczywiście, że diabeł nie wywiera bezwzględnej przynus na naszą wolę; możemy mu się oprzeć. Ale jednak... Jezus Chrystus przez czterdzieści dni opierał się na pustyni diabelskim pokusom. Trudno jednak żądać, aby każdy miał wytrwać Syna Bożego, zwłaszcza gdy czterdzieści razy dziennie przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku kusiciel

przypuszcza ataki. Teoretycznie mamy moc opierania się diabłu, ale naprawdę — Bóg wie dobrze, że nieprzyjaciół, który rozporządza takimi siłami, kusiciel tylekroć potężniejszy, musi nas przemóc. Obciążamy więc grzechami diabelskiego winowajcę, któremu i tak wszystko jedno.

Postać diabła nie przestaje fascynować. W ciągu ostatnich lat kilkunastu powstało niemało arcydzieł sztuki literackiej, teatralnej i filmowej poświęconych sprawom diabelskim i czarownicom — Tomasz Mann, Artur Miller, Teodor Dreyer, Ingmar Bergman poświęcili diabłu wybitne, może najwybitniejsze swoje dzieła. Temat Fausta nie traci na żywotności. I nie chodzi w tym wszystkim o spektakularny wątek „polowania na czarownicę”. Na ten temat niewiele już można powiedzieć nowego. Bardziej interesującą są współcześni współpracownicy diabła, którzy podobnie jak przed laty przybierają różne postaci, a to Niemca, a to Żyda, a to komunistę.

Mija trzecie stulecie od chwili, gdy zrazu nieśmiało i z wahaniem, potem otwarcie zaczęło twierdzić, że wiara w zjawiska nadzmysłowe, diabły, czary, magię, wilkołaki, duchy i upiory, jest treścią umysłów albo nieokrzesanych, albo niezrównoważonych, albo wreszcie zdziczałych. W związku z tym ogłoszono uwolnienie wiedźm od kar sądowych. Przeszły plonął stopy z rozhisteryzowanymi niewiastami. Jednakże przeciętni śmiertelnicy, mimo szczyrych wysiłków, nie mogą wyzbyć się resztek sympatii, czy wręcz poczucia poddaństwa wobec Władcy Piekieł.

I to nie tylko ludzie sztuki nie mogą się od niego uwolnić, również społeczna ranga diabła w pewnych grupach została utrzymana. Chodzi tu oczywiście o grupy związane z tzw. kontrkulturą, będącą formą buntu przeciwko tradycyjnym strukturom i normom społecznym, a jednocześnie poszukiwaniem nowych form ekspresji indywidualnej, wyrażających tęsknotę za innym rodzajem więzi społecznej i nowymi autorytetami. Młodzieżowa kontrkultura to ruch hipisowski i pohipisowski, to ruch Hare Kriszna, ale to również sataniści.

Zwolennicy szatana nie stosują jawnej przemocy, przejawy buntu społecznego ograniczają do rytualnych aktów protestu, ściśle powiązanych z magią. Kult szatana nie jest luźnym stowarzyszeniem czy ugrupowaniem, lecz skupia się w Kościele Szatana, założonym w San Francisco w noc Walpurgii w 1966 r. przez Anthony Szandora La Vey. Wierzą oni, że zło jest potężniejsze od dobra, uczą się więc manipulowania siłami diabolicznymi, aby osiągnąć korzyści. Sataniści argumentując powstanie tego kościoła, twierdzą, że Bóg umarł... Kościół Szatana pojawia się w czasie, kiedy ludzie zaczynają wątpić w stare wartości i podejrzewać, iż być może byli oszukiwani przez tysiąclecia. Kościoły nauczają, że modlitwa jest konieczna, ale powinna ona także być skuteczna, skoro wznoszona jest do Boga zwałającego zło. A dzieci Wietnamu i Biafry, dzieci getta warszawskiego, Oświęcimia i Buchenwaldu przecieć się modliły.

Krytyka współczesnych wyznawców szatana odnosi się nie tylko do Boga judeochrześcijańskiego, ale również do „bogów” postępu, wiedzy i technologii. Wierzyliśmy im, ale bóg postępu okazał się dwulicowym Judaszem wyznaczającym wysoką cenę za nasze osiągnięcia i wygodę; bóg nauki również zawiódł, nie stworzył bowiem raj, do którego spodziewaliśmy się wstąpić, nie uwolnił nas od chorób, niewiedzy, śmierci. Zamiast tych dobrodziejstw zagraża nam apokalipsa zniszczenia atomowego. Bóg technologii ujawnił także swoje prawdziwe oblicze, bo oto wraz z rozwojem techniki wysychają strumienie, zamierają jeziora, a powietrze staje się truciźną. Tak więc jedynie diabeł jest uczciwy i godny zaufania!

Poza tym wszystkim w sferze ideologii sataniści wnoszą niewiele nowego. Ich zasady wiary, a także większość rytuałów nie wykraczają w istocie poza utarte wyobrażenia o czcicielach szatana. Dotyczy to między innymi rytuału czarnej mszy, będącej parodią mszy judeochrześcijańskiej, czemu służy odwrócenie krzyża, odczytywanie wspak tekstów modlitwy, czy umieszczenie na ołtarzu nagiej kobiety jako obiektu kultu. Podobnie jak czarna msza inne rytuały są zazwyczaj tylko odwróconą wersją uroczystości kościelnych.

W obrzędzie chrztu dziecka, na przykład, uczestnicy uroczystości ubrani są na czarno, dziecko natomiast ma na sobie strój jaskrawoczerwony oraz talizman szatana zawieszony na szyi. W trakcie obrzędu używana jest woda morska i ziemia zamiast wody święconej, a miejsce kadzidła zajmuje zapach czekolady, mleka lub innych ulubionych potraw dziecka.

Rodzimi sataniści to — w powszechnym odczuciu — zdewastowane cmentarze i wyrostki w odróżających maskach, które zresztą mają swoje magiczne uzasadnienie w tanizmie. Nierzadko adepci satanizmu wnoszą do wspólnoty bagaż złe tłumione agresji wobec społeczeństwa. W takich przypadkach stosowana jest magia agresji, która pozwala rozładować nienawiść przez założenie maski zienawidzonej osoby — szibbole.

Niechętnie zagłębiamy się w socjologiczne analizy niepokojącego zjawiska, ograniczając się do niewybrednej krytyki. Bo o ilez łatwiej, bezpieczniej i przyjemniej doznawać dreszczyków emocji podczas oglądania „Balu Wampirów”, „Dziecka Rosemary” czy „Egzcysty”.



# GRABARZ ABSOLUTNY

Pod rysą w stropie z drewna barwy wędzonego mięsa  
W której dwa druty promieni słońca robią fioletową pończochę  
Rzucając przy tym odbłask podobny odciskom palców na dzban pełen piwa  
Grabarz absolutny

Wsparty lewym ramieniem z którego sterczy korzeń  
O trawers szynku stuleci uwiędłych  
Trawi jak co dzień swój rozkładający się już obiad

Tak

Że

Jego

Lewe oko podobne marynowanemu jajku

Wyteża się

Ku mapie katastralnej stworzonej przez pajaka na kielbasie opleśnialej

A z jego oka prawego

Oblepionego larwami much

Raz po raz wylatuje ścierwica wielkości guzika

W otwarte okno

Które naśladuje

Żniwa zalane niebieskim koperwasem

Pod szubienicą z kos zdobnych chabrem i trzewiami myszek polnych

Grabarz absolutny

Stary jak ten tu świat o krajobrazie granitowo-kwarcowym

Gdzie osioł przywiązany do żłobu pije

Resztki wczorajszej burzy

Unosi głowę z przypalonym sznyclem czupryny

I z kapeluszem poprzerastanym grzybami

By ją z powrotem zwiesić nad motyką wielkiego dziabnięcia

Opartą na zmurszałej podłodze ze śladami słomy z siennika

W ręce mu konwulsyjnie kona skowronek okruszków palec

Którego w roztargnieniu bierze za guldena

Gdyż grabarz absolutny to mąż dalekowzrocznych myśli

Porozrzucanych po cmentarzach jak po podeszwie

I kiedy pije pije z naczyń bezdennych

Jak piją czaszki podziurawione z podziemnych okapów roztwór mineralny

Przed twarzą grabarza absolutnego zmięty kapelusz z dala przypominającą  
Z bliska zaś mrowisko  
Wieśniacy są butwiejącymi przepasanymi szarfą snopami  
Przeto szynkarki z głową kapusty przejrzałej  
Z brzuchem trufli w kasztanach  
Z biodrami kaczek nadziewanych  
I z nogami rozmokłych worków otrąb  
Nie ma w domu  
Jako że grabarz absolutny to wielka przyszłość  
Gnatów konia na którym jeździec wpada  
Na widły wyciągnięte ze spichlerza jutra

Gdy tylko grabarz absolutny mlaśnie językiem  
Kura biegnie na spotkanie glistom  
Grabarza absolutnego  
Co drzemie na jedno oko  
Usypiany monotonnym zapachem rzeczy  
Cuchnących jak ser  
Na bezwietrzu wertującym stronie Przewodnika Restauracyjnego

Grabarz absolutny  
Jednym prztykiem miążdży mózg jaskółki  
Co opuściła jego gigantyczny nos  
Podobny do pletwy  
Trąb oceanicznych  
Po czym znów szczyrzy swój jedyny wypróchniały ząb na końcu styliska  
Ponad podłogą tej popołudniowej knajpy posypaną piaskiem

Grabarz absolutny  
Ma podniebienie miękkie  
Pokryte powłoką  
Ze śliny  
I kurzu  
W którym mieści się miniaturowy cmentarz

Ten olbrzymi mężczyzna podrywa ramię  
Jak gdyby strącał trumnę  
W dół  
Ku nodze  
Dotkniętej nagniotkiem  
O oczku  
Główki gąsiennicy  
Która wydobywa się na powierzchnię  
Z małego palca  
Prześwitującego szparą jego pękniętego buta

Ażeby grabarz absolutny mógł być tym czym jest  
A nie jedynie  
Kimś kto kopie  
Wyrzuca w górę ziemię  
I zasypuje doły  
Ażeby mógł być metafizycznym mieszaczem otrąb  
W absolutnym szambie  
Trzeba  
Ażeby stale się uzupełniało  
Jego pozytywne jestestwo  
Swoim własnym zaprzeczeniem  
Występującym nader wyraźnie  
I zgola widomie  
W postaci  
Żniw koperwasem niebieskim zalanych  
Ograniczonych oknem  
I zastrzeżonych dla osła  
Który czuje  
Jeżeli wolno nam nazywać czuciem  
Obecność świerszcza w oślim uchu

Ten świerszcz  
To dźwięk sierpa podobny do krótkiego trzaśnięcia  
Trzynutowego fis letniego wysoki kamerton  
Skrzypiące mruczenie drzwi  
I pompa basująca  
Podczas gdy ucho grabarza absolutnego  
Jest martwym pudłem brzmienia wszystkich instrumentów

Nos grabarza absolutnego  
Jest wspaniałą syntezą jego istoty  
Uwarunkowanej  
Z jednej strony jego życiem  
A z drugiej strony śmiercią  
Co się wyraża nierozdzielną ich jednością  
I ten  
Do wielkiej pletwy trąb oceanicznych podobny nos  
Z którego wyleciała jaskółka  
To wentylator osłonięty secesyjnymi nozdrzami  
Czyniący pocałunek  
na piszczeli cmentarnej  
I na wonnej barwicy

W chwili  
Gdy nos ten opuściła jaskółka

Po to by dzióbkiem chapnąć trzewia polnych myszek  
I gdy się już znalazła  
Poza zasięgiem zezowatych oczu grabarza absolutnego  
Na pozór śpiącego  
Tak jak na pozór jego nos jest obumarły  
A osioł na pozór żywy  
Wówczas ten nos  
Który nie jest dachem  
Chociaż tuż pod nim na górnej wardze którą poniekąd przykrywa  
Wisi gniazdo jaskółcze  
Okryte wąsami  
Stał się natychmiast zdolny mocniej wdychać miazmaty lata  
I sprawił że proces gnilny w jestestwie grabarza absolutnego  
Gwałtownie się przeobraził w proces życiodajny  
I strupieszwały mąż  
Leniuchujący przez całe pół dnia  
W czas żniw  
Kiedy to oprócz umierających  
I osła  
Zostawionego koło szynku przez wędrownego ostrzyciela kos  
Wszyscy ludzie naśladują śmierć z kosą w ręku  
Oto napelnił swój nos  
bezczyinnie tkwiący w lagodnym powiewie ciemniejszego zmierzchu  
Fetorem trupim  
A ten na początek przemienił jedynie siedzenie jego krzesła  
W deskę prosektoryjną  
Po czym szybko jak wijąca się zieleń  
Jął wspinać się po kuflu piwa  
Rozłożonego na amoniak  
I jednemu z tych pnączy rosnących piorunem wreszcie się udało  
Wpелznąć w szparę stropu barwy wędzonego mięsa

A że ten trupi fetor  
Nasilał się równocześnie z powszechnym wieczornieniem  
A przy tym wędzone mięso w okolicznościach o których mowa  
Szybko ulega procesowi gnilnemu  
Zaczął wylazić w górę  
Wielki biały robak nocy  
Wielki biały robak nocy letniej  
Wielki biały robak lipcowej nocy letniej  
Co uczyniła niewidzialnym grabarza absolutnego

Vítězslav Nezval

# Współczesna eschatologia Rosji i Zachodu

Aleksander Jakimowicz

Moskwa

Około roku 1910 Rainer Maria Rilke pisał: „STRASZNE jest obecne w każdej cząstce powietrza”. Wyrażenie to, wzięte z „Malte”, posiada odkrywczy charakter. Być może, jest to jeden z pierwszych argumentów w filozoficznych poszukiwaniach XX wieku, jakie towarzyszyły nowym wydarzeniom artystycznym. Formułka Rilkego ma zastosowanie do sztuki Georges’a Rouaulta i także, patrząc z innej strony, do dzieł Pawła FILONOWA, który wypracował swój „demoniczny” styl w Petersburgu w tym czasie, gdy Rilke osiągnął już dojrzały wiek, a Rouault był jeszcze młody.

Najtęższe umysły i talenty epoki zaczęły wówczas albo same zajmować się problemami natury eschatologicznej, albo dostarczać artystom i krytykom materiałów i impulsów w tej dziedzinie.

W roku 1919 wystąpił Zygmund Freud z wyjaśnieniem pewnych zjawisk psychologicznych, nazwanych przez niego jako „das Unheimliche” (*Niesamowite*). Jakieś wydarzenie lub wyobrażenie wydaje się ludziom niesamowite, tj. straszne lub zatrważające, jeżeli nie ma jasności co do natury obserwowanego obiektu. Czy jest to istota żywa, mechanizm, sen, halucynacja? Niepewność tego przeraża. Fenomen ten wykorzystał surrealizm w swojej praktyce i teoretycznych postulatach.

Carl Gustav Jung usiłował interpretować problem *Strasznego* z punktu widzenia „zbiorowej podświadomości”. Wyznawał on zasady nowej sztuki, związanej z ideami i problemami XX wieku i dawał wyraz „satanicznemu” elementowi, którego realność negowana była przez ideologię pozytywistyczną, a teraz żądała rewanżu. Pierwiastek sataniczny usunięto z życia ludzkiego w dziedzinie ideologii, ale zdominował on ludzką jaźń, stosunki między ludźmi i ich działanie.

Unieściewienie życia, ogarniająca wszystko *Śmierć*, wszechmocne *Zło*, ztrata jaźni — wszystkie te zjawiska, nie mogące przeciwstawić się atakom *Nie-Istnienia* oraz podobne tematy i problemy weszły stanowczo na teren teorii sztuki w pierwszych dziesięcioleciach naszego stulecia.

Od tego czasu myślenie o sztuce, jeżeli istotnie ją się uprawia, oznacza także myślenie o eschatologii oraz o katastroficznych treściach w twórczości artystycznej. Herman Hesse wydał w roku 1920 dzieło pt. „Spojrzenie w głąb Chaosu”, w którym wskazywał na zanik granicy między *Dobrem* a *Złem*, jako na kluczowy moment tragedii, jaka zbliża się do ludzkości. Zanikła nawet różnica pomiędzy zabójcami a ofiarami. Bóg i szatan są jednością, ludzie już ich nie odróżniają.

Z ideami Junga i Hessa trzeba skonfrontować „nadczołwieczeństwo kosmiczne” i rewolucyjny brak moralności w sztuce i poglądach Malewicza oraz „wewnętrzna niemoralność” w sztuce Maxa Ernsta. Obecne studia porównawcze na temat idei i wyobrażeń o sztuce współczesnej posiadają tylko walor informacyjny, zewnętrzny, ale wskazują na zmiany i nowości. Najpierw był Freud oraz jego zwolennicy i apostołi, następnie strukturaliści i szkoła poststrukturalistyczna, aż do takich twórców jak Derrida i Beaudrillard. Nie odrzucają oni interpretacji sztuki awangardowej, ani w zakresie aktywnych czynników, ani obiektów badawczych.

Aż do końca XX wieku sztuka Rosji i Związku Radzieckiego, też związane z nią idee, miały charakter ginącej cywilizacji, która była łepioną w kraju w swoich niezależnych i swobodnych manifestacjach, a także zanikała na emigracji. Krótko mówiąc, były to okaleczone peryferia europejskiej kultury. Taka wizja dzisiejszej Rosji jest zarówno prawdziwa, jak i fałszywa. W rzeczywistości bowiem sztuka i ideologia w Rosji zajmują się głównie problemami apokaliptycznymi, z wyjątkiem tej części kultury masowej, oficjalnej sztuki propagandowej i klasycznej, kultury opery i baletu, które zostały włączone do establishmentu. W teorii i twórczości dominuje tam problem Wielkiego Upadku. Ale czy to ma oznaczać, że stan sztuki i ideologii znajduje się w depresji?

Rosyjski egzystencjalizm religijny z pierwszej połowy XX wieku ma w zasadzie eschatologiczny charakter. Idee Wasilija Rosanowa, Gieorgija Fiedotowa, Nikołaja Bierdiajewa opisywali i analizowali kilkakrotnie historycy religii i filozofii. Ale do tej pory nie powiedziano na temat znaczenia myśli rosyjskiej dla interpretacji współczesnej sztuki i literatury.

W tym aspekcie wartość mają co najmniej dwa zagadnienia.

Rosjanie zastanawiali się przede wszystkim nad kwestią rosyjskiej katastrofy. Historyczna klęska człowieka w Rosji i w jej subregionach narodowych zastępowała u nich globalne gdzie indziej rozważania o przeznaczeniu człowieka. Ten szczególny „regionalizm” jest problemem sam w sobie; Rosja stała się tu głównym problemem filozoficznym.

Zjawisko to jest zupełnie wyjątkowe. Żaden myśliciel francuski czy niemiecki nie użył nigdy terminów „Francja” czy „Niemcy” dla nazwania zagadnień filozoficznych, jak to zrobili Rosjanie z „Rosją”. Czyżby to była działalność amorficznej i marzycielskiej mentalności, która mieszała historię, politykę, geografie i psychologię, by podnieść tę mieszaninę do roli filozofii? Jeśli się czyta myślicieli rosyjskich, podejrzenie takie może istotnie przyjść do głowy. Ale sądząc po ideach i postępowaniu przedstawicieli „rosyjskiego Fluxusu”, u samych dekadentów rosyjskich dążenia takie skoncentrowane są wokół jednego głównego problemu — upadku Rosji.

Przy końcu wieku da się już opisać apokalipsę przy użyciu konkretów. Około 50 milionów istot straciło życie przez wojny. Inne 50 milionów lub nawet więcej tyranizowano i złożono w ofierze w ramach wewnętrznej „walki klasowej”. Wprowadzono system społeczny i polityczny, który tłumiał każde niezależne i nie zatwierdzone posunięcie: nieoficjalną pracę, nieoficjalną podróż, nieoficjalną sztukę itp.

Intryguje nas statystyka społeczna i ekonomiczna w ZSRR. Inne kraje mogą posiadać statystykę, nie mając nic wspólnego ze sztuką i filozofią sztuki. Radziecka informacja społeczna jest sama w sobie wcielona filozofia. Statystyka ubóstwa i przywilejów społecznych dla niewielu szczęśliwców, statystyka konsumpcji (jeżeli to słowo jest tutaj właściwe), statystyka wzrostu przestępczości, przeprowadzone powszechnie pod koniec 1990 r., dają obraz największego upadku człowieka, który nastąpił pod najbardziej ambitnymi i „antropocentrycznymi” hasłami. Procent patologii umysłowej w Związku Radzieckim jest trzykrotnie większy od przeciętnej światowej, podobnie procent alkoholizmu. Wskaźnik urodzeń jest jednym z najniższych na świecie, a śmiertelności — jednym z najwyższych.

Chłodne kalkulacje matematyczne nie dają wyobrażenia co do stanu psychiki, uczuć i stosunków międzyludzkich. Kompleks rozzarowania, rezygnacji i goryczy osiągnął swój szczyt w końcowej fazie stulecia. Rosyjska myśl nie może znaleźć pocieszenia w uczuciu szalchetej klęski, ponieważ żadnej klęski nie było. Miało miejsce haniebne samooszukiwanie się większości oraz niemniej skandaliczna przemoc wobec myślącej mniejszości. Tak więc wyznaczenie Andrieja Platonowa w latach 20. XX wieku: „Żyt’ niekuda” (Nie ma celu i sensu żyć), było ponurym, ale i realistycznym proroctwem pod adresem radzieckiej cywilizacji.

Niezależna sztuka i literatura w Rosji przedstawiała takie zjawiska, jak: zagłuszony rozsądek, zepsuta moralność i ludzkie „zagubienie”, w takiej skali, jakiej nie można było znaleźć nigdzie poza Rosją. Tak pisali: Anna Achmatowa i Michaił Bulhakow w latach 20. i 30. naszego stulecia, Sołżenicyn, Szalamow i Jerofiejew w latach 60. oraz później — Brodzki, Korkija i Prigow.

Prawdziwa eschatologia jest ponad codzienną rozbieżność „optrymizm — pesymizm”. Rosanow pisał, że Rosja powróci do życia tylko wówczas, gdy przejdzie przez wszystkie fazy swej apokalipsy i kiedy ta

apokalipsa zostanie zredukowana do „śmierdzącego nic”. Tylko zupełny *Koniec* oznacza prawdziwy *Początek*. Jest to posłannictwo eschatologicznego teatru i sztuki filmowej oraz nauk humanistycznych. Druga połowa XX wieku była świadkiem zajęcia przez eschatologię czołowej roli na radzieckiej scenie artystycznej.

Można obserwować koncepcje rosyjskiego upadku, ale już w jego ostatniej fazie przychodzi odwrót na lepsze, odczuwa się pokój i miłość. Lew Karsawin, który umarł w areszcie, pisał: „Każdy jest Piekłem, ale każdy jest uratowany”. Kiedy dalszy upadek jest niemożliwy, jedynym możliwym kierunkiem jest wznoszenie się. Taka perspektywa ratunku pojawia się w filmach Tarkowskiego. Nikły i sceptyczny blask nadziei występuje w poezji Brodskiego. Silne wezwanie „de profundis” brzmi w tragicznych muzycznych utworach Alfreda Schnittkego. Wymieniono tu jedynie kilka nazwisk, reprezentują one jednak ogólną tendencję wieku z jego końcowej fazy.

A co dzieje się w tym czasie na Zachodzie? Co ta „świecna” cywilizacja ma do powiedzenia na temat człowieka, sztuki i społeczeństwa?

Dobrobyt gospodarczy Zachodu, kultura masowa i komercjalizacja twórczości, uczucie niepewności egzystencjalnej bliskie nuklearnej otchłani oraz klęsce ekologicznej — to dobrze znane elementy kultury postmodernistycznej na Zachodzie, z jej specyficznymi apokaliptycznymi intonacjami.

Zanim weszła na scenę radykalna postmodernistyczna koncepcja kultury, zarodki jej tkwiły w koncepcjach późnoawangardowych. Już po wystąpieniach Freuda i Junga amerykański krytyk sztuki Leo Steiberg głosił, że celem sztuki awangardowej nie jest przedstawianie ani też destrukcja wartości, lecz „niepokojąca niepewność” i stan ciągłego pytania o wszystko.

Nowa mentalność na Zachodzie stawała się coraz bardziej niepokojąca, ale już bardziej pewna. Bez żadnego wahania Michel Foucault ogłosił w latach 60., że „człowiek jest martwy”. Była to postmodernistyczna odmiana idei Nietzschego, świadcząca o całkowitym przewartościowaniu wartości „antropomorficznych”. Być może, lepszym terminem od „przewartościowanie” będzie tu „odrzućcie”.

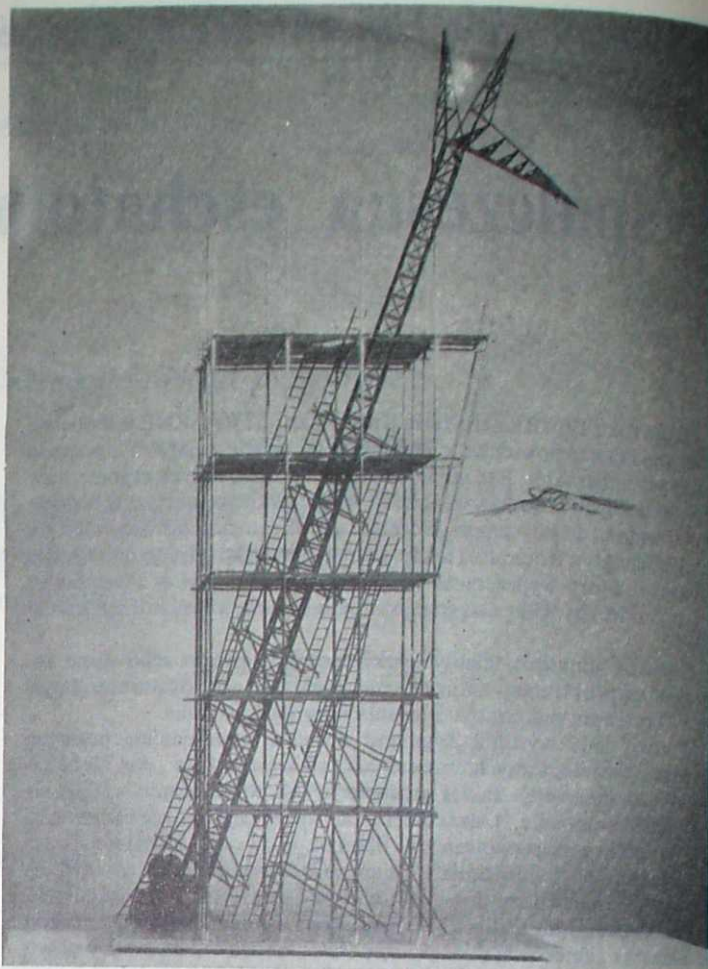
Istota ludzka, zdolna do samozrozumienia, do postępu społecznego i intelektualnego, weszła w kryzys zaufania. Myśliciele, pisarze, artyści zwrócili się ku problemom „zanikającej osobowości”, „człowieka masowego” i ku temu, co było nazywane: „Mensch ohne Eigenschaften” (Człowiek bez właściwości). Mówili oni o „katastrofie antropologicznej”, zakodowanej w ludzkim białku, konsumpcjonizmie i sposobie życia: pragmatycznym i skierowanym ku ziemi. Amerykanin I. Hassan wskazał na „utrata podstawy ontologicznej” jako na główne źródło dramatu ludzkiego w końcu XX wieku.

Sztuka zwracała się do człowieka jak do istoty chorej. Metody Josefa Beuysa są tak pomyślane, by pomagały ludziom w walce z dehumanizacją, alienacją, brakiem miłości. Zachodniemiecka sztuka, teatr, film oraz produkcja literacka — Beuys, Herzog, Kiefer, Heiner Müller, Syberberg — to być może scena artystyczna w Europie najbliższa tej w Związku Radzieckim. Niemiecka wizja tragedii ludzkiej powstała po katastrofie: klęsce Hitlera. Podobne, ale ukryte i amorficzne wydarzenia działy się w Rosji po pierwszym ruchu antytotalitarnym około 1960 r. Zahamowane po kilku latach, odżyły dopiero w roku 1985.

„Król Lear”, wystawiony w Tbilisi w 1988 r., był porównywany do apokaliptycznego teatru Heina Müllera. Symboliczne działania Beuysa z ogniem i wodą mają swoje paralele w „rytuałach oczyszczania” oraz w magicznych czynnościach w sztuce filmowej Tarkowskiego i Sokurowa. Obrazy bólu i śmierci Günthera Ueckera, zawierające maszynię, gwóźdź i noże, można porównać z trumnami Wadima Sidura — zbiornikami napełnionymi resztkami maszyn, narzędzi, sprzętu przemysłowego. Obrazy moskiewskich artystów: Ilji Tabienkina, Maksima Kantora i Natalii Niestierowej są poświęcone ludzkiemu bólowi, osamotnieniu i trwodze, podobnie jak obrazy Anzelma Kiefera i Jörga Immendorfa.

Ten dialog pomiędzy dwiema strefami jest tylko regionalnym przykładem, potwierdzającym ważność kompleksowego i szerokiego problemu.

Rozpowszechnione wyobrażenie postmodernistyczne, że „droga się skończyła” oraz że historia sztuki — jako normalna ciągłość stylów i języków — doszła do swego nieuniknionego końca, posiada wyraźne eschatologiczne implikacje. Nikt nie może pominąć faktu, że pojęcia „katastrofa” i „upadek” należą do podstawowej terminologii Jean-Francoisa Lyotarda i Achille Bonito Olivy. Nie było pomiędzy nimi całkowitej zgodności poglądów: Lyotard opisał postmodernistyczne dążenia i wizje jako „chaotyczne”, zaś Bonito Oliva powiedział, iż człowiek widzi świat jako zwodniczy labirynt. Istnieje też różnica co do



Jurij Awwakumow i Jurij Kuzin: „Czerwona wieża”, 1986–1988. Autorzy należą do grupy moskiewskiej, która zajmuje się m. in. konstruowaniem «architektury papierowej», ze znacznym zaciekawieniem przyjmowanej na Zachodzie

nieregularności i tajemnej struktury tego labiryntu. Ale to są już fakty mniej istotne.

O wiele ważniejsze jest zjawisko „dialogu eschatologicznego” między myśleniem Zachodu a Wschodu. Niektóre wypowiedzi w tym zakresie są istotne i prowokujące, np. „utrata ontologicznej podstawy”, „poniżenie ludzkie” lub „katastrofa semantyczna”, używane i dyskutowane na Zachodzie, ale trafiające dokładnie we wschodnie cele intelektualne. Znamienna jest np. wypowiedź Amerykanina Christophera Lascha, że indywidualność ludzka istnieje na prosperującym Zachodzie jak gdyby w wygodnym obozie koncentracyjnym. Wiele osób może nazwać to przesadą. Jednak obserwując zachodnią dyscyplinę obowiązkowego optymizmu, kult sukcesu i technologii, wszystkich form ujednolicenia umysłowego, ma się ochotę zgodzić się z Laschem. Ale czy on wiedział, że ta metafora jest słuszna nie tylko dla Ameryki?

Gdyby Mefisto był obywatelem radzieckim (a jest to dość wiarygodne), nie przepuściłby pewnie szansy przeprowadzenia demonicznego głosowania indywidualnego odnośnie tego, co kto woli — wygodny obóz koncentracyjny czy niewygodny obóz syberyjski. Czy można sobie wyobrazić, że jakiś myśliciel opisuje rzeczywistość zachodnią, ale pośrednio pomaga interpretować rzeczywistość wschodnią? Czy jest prawdopodobne, że dwie różne cywilizacje, które wybrały różne kierunki działania, mają doświadczenia tego samego rodzaju?

W latach 80. naszego stulecia kilku teoretyków sztuki i myślicieli w Rosji próbowało rozwinąć teorie nowej eschatologii. Ze znanych powodów próby te nie przekraczają zamkniętego obszaru „folkloru intelektualnego” i są bardzo mało znane nawet w Rosji, nie mówiąc już o reszcie świata. Liberalizacja radziecka ma swoje granice.

Niezależny krytyk Jewgienij Barabanow szczegółowo opracował ideę „katastrofy antropologicznej”, która miała, według niego, miejsce w Rosji. Ten punkt widzenia jest wyraźnym przedłużeniem rosyjskiej tradycji oraz odpowiedzią na apel zachodnich myślicieli: Foucaulta, Hassana, Lascha, Bonito Olivy.

Moje nazwisko też musi się znaleźć na liście działających w tej dziedzinie osób. W latach 80. rozwinąłem teorię „pokatastrofalnej psychiki” w Rosji przy końcu wieku i dokonałem analizy późnej sztuki i literatury radzieckiej z punktu widzenia semantyki eschatologicznej. Ta myśl i mentalność są, oczywiście, obecne w prozie i poezji, w kinie i naukach humanistycznych w ZSRR. Wyimaginowana wystawa radzieckiej sztuki pokatastrofalnej i eschatologicznej mogłaby zawierać dzieła ze wszystkich narodowych subregionów, poczynając od Werpe'a i Keskküla na Litwie i w Estonii, przez Moskwę z Kantorem, Mironienką, Niestierową, Matsumaro-Khanem, Bruskinem, Oriłowem i innymi. Na Ukrainie i w Mołdawii widzielibyśmy tragiczne bufonady w dziełach Reunowa, Golosiego, Chorowskiego, Gorbana, Roitburda. Na Kaukazie i w radzieckiej Azji Środkowej są: Owsepian, Mergenow, Tochtajew, Adilow, Żakypow. Ich filozoficzne groteski, antyutopie i requiem stanowią najbardziej wstrząsającą tendencję w okresie od r. 1980 do 1990, ciągle jeszcze dyskusyjną.

Ostatnim i być może najwybitniejszym pisarzem i teoretykiem sztuki w Rosji jest Michaił Epstein. Dokonał on fuzji rosyjskiej tradycji egzystencjalistycznej z Wittgensteinowską, na bazie zagadnienia języka. Ujawnił on problem „zagubienia ludzkiego” i opisał w swoich esejach „śmiertelną egzystencję” pośród semantycznych luk i próżni, stając wobec unicestwienia i martwej ciszy ostatniej i głęboko zszokowanej cywilizacji radzieckiej.

Byłoby błędem powiedzieć otwarcie, że Rosja i Zachód spotkały się wreszcie i mówią tym samym językiem. Obie cywilizacje w zasadzie mało wiedzą o sobie nawzajem, choć opisują się. Strona zachodnia opisuje stan duszy ludzkiej, społeczeństwa, kultury i twórczości artystycznej w warunkach konsumpcjonizmu, elektronicznego przebudowywania rzeczywistości, pluralizmu politycznego i bogactwa kulturalnego. W tych warunkach nikt nie musi znajdować ze zdziwieniem objawów tego, co zostało nazwane przez Zygmunta Freuda jako *Tanatos*. Rozwinięte i przejrzałe cywilizacje zawsze miały i mają problemy ze swoim uczuciem autentyczności i bezpieczeństwa. Historiografia może uniknąć poetyckiej figury *Tanatos*, instynktu śmierci, ale nie do zapomnienia jest przykład świata późnorzymskiego, z jego pluralizmem, ustawodawstwem, jego bogactwem, jego kulturą i jego katastrofą.



Christo: nie zrealizowany projekt «opakowania» Allied Chemical Tower w Nowym Jorku (1968) — zanotowany w collage'u (46 × 26 cm) z użyciem zdjęcia H. Shunka



Dzieła myślicieli zachodnich odgrywają w tym momencie rolę sławnych napisów, które pojawiły się na murze pałacu króla Baltazara w czasie uczy.

Sytuacja historyczna w Rosji przy końcu wieku przedstawia się bardzo różnie. Nie możemy dokładnie ustalić, czy mieszkamy we wspaniałym pałacu, czy w na wpół zburzonej ruinie. Jest to nasza specyficzna wersja „niepokojącej niepewności”, która rzeczywiście stała się utrapieniem całej epoki. Namacalne dowody wielkiego triumfu historycznego przeplatają się prawie fantastycznie z symptomami kompletnego fiaska *Człowieka, Życia i Rozumu* pod totalitaryzmem. My naprawdę ignorujemy współrzędne.

Powyżej przytoczyłem apokaliptyczne cechy rosyjskiej historii i jej rezultaty. Jednakże główną rzeczą nie jest to, że była ona brutalna i krwawa. Jej charakter „końca świata” polega bardziej na połączeniu na wielką skalę zła i dobra. Zasadnicza różnica między zwycięstwem a klęską, wielkością i nędzą, wszechmocą i niemocą, życiem i śmiercią zaciera się. Jak gdyby w superpotężnym wybuchu zlewały się razem różne substancje, które w normalnych warunkach muszą istnieć oddzielnie. W jaki sposób sprawy zaszły tak daleko, spróbuję pokazać w mojej następnej książce, zatytułowanej „Późna cywilizacja radziecka”.

W tym kraju niewiele się wie o subtelnosciach architektury pałacowej, czy o problemach nieograniczonej swobody i bogatej produkcji (włączając w to produkcję artystyczną). Słuchamy jednak z największą ciekawością głosów z Zachodu. Śpiewają one melodię, która mogłaby wydawać się nam tak znana! Możemy rozpoznać okrzyki o „utracie praw ontologicznych” i o „wygodnych obozach koncentracyjnych”. Być może, jest to zbieg okoliczności. A może sama *Opatrzność*. A może jest to czas, aby przywołać coś z powrotem?

Aleksander Jakimowicz  
Tłumaczyła z angielskiego  
Joanna Buczyńska

# Więzienne wspomnienia Kazimierza Żygulskiego

## b. ministra Kultury i Sztuki

Publikowany tekst przedstawia dramatyczny fragment biografii prof. Kazimierza Żygulskiego, socjologa, ministra Kultury i Sztuki (1982-1986). W międzywojniu i w latach czterdziestych Żygulski mieszkał, uczył się i działał (m.in. w Stronnictwie Demokratycznym) we Lwowie, gdzie ukończył prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Podczas okupacji czynny był w konspiracji, jako członek lwowskiej Delegatury Rządu. Aresztowany 30 sierpnia 1944 roku na ulicy przez NKWD, osadzony został w więzieniu przy ul. Łąckiego, w celi nr 78a. Drukowany poniżej tekst dotyczy pobytu autora w tym miejscu i rozprawy przed radzieckim Trybunałem Wojskowym. (red.)

### Cela 78a

Była to mała cela więzienna na drugim piętrze, przerobiona z dawnej pojedynczej, jeszcze austriackiej; przedzielono ją na dwie części cienką ścianką. Dostałem się do niej 1 września 1944 roku, po przejściu wstępnej procedury. Gdy strażnicy z ulicy Pełczyńskiej przekazali mnie straży więziennej, dwóch ponurych, umundurowanych ludzi kazało mi się rozebrać i zaczęli rewizję moich rzeczy, przetrząsając je bardzo starannie. Zabrali mi zegarek jaki wciąż jeszcze miałem na ręce, krawat, portfel z dokumentami, złote pióro watermana, banknot 50-dolarowy i kilkanaście rubli. Z bucików wyjęli sznurowadła. Na to wszystko wystawili mi rodzaj kwitu, na którym brakło jednak wyszczególnienia odebranych rzeczy. Na moje pytanie, jeden odburknął, że taki kwit wystarczy. Gdy następnie kolejny już strażnik prowadził mnie na piętro, nagle z krzykiem kazał mi podejść do ściany korytarza i obrócić się do niej twarzą. Zrobiłem to i usłyszałem kroki: ktoś koło mnie przeszedł. Był to, jak się wkrótce przekonałem, stale stosowany w więzieniu zabieg, mający na celu utrudnienie rozpoznawania się więźniów. Po chwili zatrzasnęły się za mną drzwi celi i znalazłem się w środku.

Na podłodze siedziało dwóch mężczyzn, obaj w średnim wieku, wychudli i zarośnięci. Jeden z nich okazał się Polakiem, lwowskim inżynierem; to jedyny rodak jakiego spotkałem w tej celi. Drugi był ukraińskim inteligentem, działaczem bliskim kręgom metropolity A. Szeptyckiego. W celi nie było niczego oprócz blaszanego kubła pod oknem. Więźniowie siedzieli i spali wprost na twardej podłodze z desek. Okno, wysoko pod sufitem, miało kraty i rozsuwaną zasłonę zaciemniającą z granatowego papieru — wojna jeszcze trwała i groziły naloty. Pod oknem był kaloryfer; wspiółszy się nań widziało się kawałek ulicy Zofii Chżanowskiej i przechodniów.

Po dwóch dobach przesłuchania byłem zmęczony i nie miałem ochoty na rozmowy z moimi towarzyszami. Ograniczyłem się do paru słów. Usiadłem pod ścianą i odpoczywałem; w dzień leżeć nie było wolno. Wiedziałem już, że zaczyna się nowy etap mojego życia; na obitej blachą wewnętrznej stronie drzwi ktoś zaczął, jeszcze za czasów niemieckiej okupacji, prowadzić kalendarz, zaznaczając kreskami kolejne dni i tygodnie. Ten kalendarz miał teraz odmierzać mój czas. Wysoko pod sufitem paliło się wciąż światło elektryczne, nigdy go nie wyłączano. Od czasu do czasu słychać było szmer odsuwanej przykrywy judasza; to strażnik kontrolował, co robimy. W nocy położyłem się na podłodze wykorzystując dwie posiadane chusteczki, których mi nie odebrano; jedną podłożyłem pod głowę, z drugiej zrobiłem przepaskę na oczy, gdyż światło przeskadzało mi zasnąć. Było ciasno, leżeliśmy we trzech w podłużnej celi, nogami w kierunku drzwi, z głową koło kubła.

Wcześniej rano więzienie budziło się do życia. Słychać było ruch na korytarzu, otworzyły się drzwi celi, sprawdzono naszą obecność. Ukraińiec pod nadzorem strażnika wyniósł z celi kubek, aby go opróżnić, zaczęto rozdawać jedzenie: otrzymałem pół litra płynu, rodzaj niesłodzonej herbaty i kawałek chleba, około 30 dag. Na obiad

Копия

ПОСТАНОВЛЕНИЕ № 20-73

ПЛЕНУМА ВЕРХОВНОГО СУДА СССР

26 февраля 1973 года

Под председательством

Зам. Председателя Верховного Суда СССР — т. Куликова В.В.

С участием

Зам. Генерального Прокурора СССР — т. Малярова М.П.

при секретаре — т. Дергачевой Е.С.

Протест Генерального Прокурора СССР

по делу ЖИГУЛЬСКОГО Казимира Францишека-Марьяна  
Здиславовича

По приговору военного трибунала Львовского военного округа от 21 января 1945 года,

ЖИГУЛЬСКИЙ Казимир Францишек-Марьян Здиславович,  
1919 года рождения, уроженец гор. Борислава, Дрогобычской области,

осужден на основании ст.ст. 54-Ia и 54-II УК УССР к 15 годам лишения свободы, с поражением в правах на 5 лет, с конфискацией имущества.

Определением Военной коллегии Верховного Суда СССР от 27 апреля 1955 года мера наказания Жигульскому снижена до 10 лет лишения свободы.

Жигульский признан виновным в том, что, находясь на временно оккупированной немецкими войсками территории Львовской области, вступил в 1943 году в антисоветскую организацию "Делегатура Лонду", созданную бывшим польским правительством в целях насильственного отторжения от СССР западных областей Украины и Белоруссии, состоял членом специального суда и от имени польского правительства выносил приговоры, одновременно являлся шифровальщиком делегатуры.

Рассмотрев материалы дела и обсудив протест Генерального Прокурора СССР о прекращении дела производством за недоказанность предъявленного Жигульскому обвинения, Пленум Верховного Суда СССР находит протест подлежащим удовлетворению.

*Копия „Orzeczenia“ Plenum Sądu Najwyższego ZSRR z 26 lutego 1973 r., dotyczącego „Protestu Generalnego Prokuratora ZSRR w sprawie Żygulskiego Kazimierza Franciszka Mariana Zdzisławowicza“, skazanego w 1945 r. na 15 lat lagru, z czego w 1955 r. odjęto lat pięć. W ostatnim zdaniu dokumentu stwierdzono: „Rozpatrzywszy materiały sprawy i rozważywszy protest Generalnego Prokuratora ZSRR o umorzenie sprawy z braku dowodów wniesionego [przeciwko] Żygulskiemu oskarżenia, Plenum Sądu Najwyższego ZSRR uważa protest za podmiotowo uzasadniony“. Warto wiedzieć, że „podsądny“ przebywał w tym czasie, jako profesor, na stypendium naukowym w Paryżu, a kopię cytowanego orzeczenia przysłano K. Żygulskiemu do Polski*



przyniesiono jakby kapuśniak. Miał silny kwaśny zapach, a na powierzchni kolorowe plamy po nafcie, widocznie z brudnych naczyń. Inżynier siedzący obok mnie nie tknął jedzenia, twierdząc, że nie jest w stanie tego przelknąć. Mimo, że nie byłem właściwie głodny, postanowiłem zjeść całą tę porcję, co więcej, robić tak stale, aby przetrwać. Była to decyzja rozsądna, choć niełatwa, potwierdzały ją wszystkie moje późniejsze doświadczenia. Nie wolno było odrzucać więziennego wikt, tak postępowali wszyscy doświadczeni więźniowie.

Moi towarzysze mieli tytoń, machorkę w krupkach i kawałki gazety. Gdy uspokoił się ruch po śniadaniu, skręcili papierosy i ugościli mnie. Zaciągnąłem się parę razy, zakaszałem, ale postanowiłem nie odmawiać sobie tytoniu. Palilem, niewiele, jeszcze od czasów gimnazjalnych, ale nigdy nie byłem nałogowcem. Sądziłem, że i w więzieniu nim się nie stanę. Natomiast palenie dla więźnia to sprawa ogromnej wagi, przylepia poczucie głodu, uspokaja, wypełnia czas, jest rodzajem towarzyskiego rytuału.

Dowiedziałem się zaraz, że śledztwo prowadzi nocami, zwłaszcza w niektóre, trudno do przewidzenia dni; paczki od rodziny przyjmują też w określone dni i pozwalają je pokwitować. Że strażnicy są bardzo różni, niektórzy złośliwi, inni ludzcy, część z nich to kobiety, a większość to radziecki partyzanci, dla których praca w więzieniu jest rodzajem nagrody i odpoczynku zarazem.

Nadszedł dzień przyjmowania paczek. Otwierało się okienko w drzwiach celi i strażnik pytał przenikliwym szeptem: „jest tu kto na literę B?”. Zgłaszali się więźniowie, których nazwiska zaczynały się na tę literę i jeśli adresat był w celi, strażnik przez okienko wydawał mu paczkę, odbierał pokwitowanie dając na chwilę do ręki surowo zakazany przedmiot — ołówek. Inżynier otrzymał kawałek wędliny, słodką bułkę, tytoń, kostkę masła. Były w paczce także zapalki, ale strażnik je zabrał jako zakazane, pozostawiając na nasze prośby jedną, aby zapalić papierosa. Z zapalkami był wciąż problem, zabierano je, choć palenie tytoniu było dozwolone. Niektórzy strażnicy dawali po parę sztuk, innych trzeba było wywoływać pukaniem i prosić o ogień. Niektórzy dawali, inni odpowiadali grubiaństwami. Inżynier od razu podzielił się częścią paczki ze mną i z Ukraincem. Taka zasada częściowego i dobrowolnego podziału otrzymanej paczki obowiązywała przez cały czas mego pobytu w celi 78 a. Później dowiedziałem się, że w niektórych celach na Łąckiego praktykowano rodzaj więziennej komuny, paczki od razu w całości dzielono między wszystkich więźniów.

Moi towarzysze pytali o nowości, gdyż sami siedzieli już ponad dwa tygodnie. Niewiele miałem im do powiedzenia, tym bardziej, że nie mogłem mieć do nich zbyt dużego zaufania. Dowiedziałem się też, że w celi obok nas siedzi kilka młodych dziewcząt. Pukały do nas w ścianę, dawały też w szczególny sposób znać o nadejściu strażników. Czasami wieczorem słychać było jak rozmawiają. Z drugiej strony celi miała widać mury tak grube, że żadnych znaków życia nie można było wyczuć.

Cela 78 a, rozmiaru małej łazienki, nie dawała prawie możliwości ruchu. W więzieniu na ulicy Łąckiego niezbrane były choćby najkrótsze spacery więźniów, w przeciągu 5 miesięcy pobytu nigdy nie wprowadzono mnie z celi na spacer. Przy otwartym oknie dreptałymi więc na tej przestrzeni, którą mieliśmy: niespełna kilku metrów kwadratowych. Ponieważ nie było żadnych mebli, możliwy był marsz w kółko, kilka półkroków, obrót i z powrotem — robiliśmy to codziennie dla utrzymania jako takiej sprawności.

Co dwa tygodnie prowadzono nas do łaźni, każdą celę osobno. Na codzień można było przemyć oczy wodą z kubka, który dawano rano. Ja wykorzystywałem do mycia poranną ciepłą herbatę, prosząc o większą jej ilość. Po kilkunastu dniach okazało się, że wszyscy w celi mamy już wszy na ciele. Było tego pełno w całym więzieniu i dlatego dzień łaźni był także dniem dezynfekcji. Braliśmy ze sobą naszą używaną odzież itp., umieszczaną następnie w specjalnym kotle z parą. Rzeczy wychodziły z tego zniszczone, wszy przeżywały. W łaźni znajdowały się ciepłe prysznicze i fryzjer, który golił nas i strzygł. Tymczasem przeprowadzano dezynfekcję celi. Wróciliśmy z łaźni jak z wycieczki, zapalaliśmy papierosy i czystowali jedzeniem z paczek.

Po dwóch tygodniach strażnik zapytał: „czy jest ktoś na literę Ż?”.

— Otrzymałem pierwszą paczkę, składała się z samej żywności. Wiedziałem już, że rodzina jest na miejscu i że będę miał pomoc. Kwitując odbiór napisałem prośbę o stare ubranie, koc, ręcznik i mydło. Następnym razem odebrałem letnie ubranie, w którym mnie aresztowano i które tak podrażniło pierwszego majora spotkanego na ulicy Pelczyńskiej. Zacząłem się upodabniać do zwykłego aresztanta, miałem swój worek, a w nim niezbędne rzeczy. Tymczasem pewnej nocy, znowu szeptem, tym szczególnie szeptem służby więziennej na Łąckiego, wywołano mnie na śledztwo; było to już kilka tygodni po aresztowaniu.

Prowadzono mnie różnymi korytarzami, otwierały się i zamykały za mną różne kraty, wreszcie znalazłem się w długim i wąskim gabinecie. Na jego końcu stał poprzeczny stół, leżał na nim jedynie ręczny karabin maszynowy z okrągłym magazynkiem, wymierzony w moją stronę. Za stołem siedział oficer, przed nim były jeszcze dwa puste stoły, tworząc jak gdyby wielką literę T. W kącie obok wejścia stało proste krzesło, na którym kazano mi usiąść.

Śledczy chwilę patrzył na mnie, wydobył z szuflady arkusz czystego papieru, przedstawił się, niewyraźnie wymawiając nazwisko — brzmiało coś jak Kondratiew — i powiedział: „Jesteście oskarżeni o zdradę ojczyzny i to grupowo, opowiedzcie dokładnie, jak do tego doszło”. Przypatrzyłem mu się przez chwilę, zanim jeszcze zaczął mówić, i uderzyłem go, że wyglądał na człowieka, który się boi. Ciągle spoglądał na swój automat, jakby w obawie, że nie zdąży wystrzelić, gdy ja rzucę się na niego.

Czekając na śledztwo w celi ułożyłem sobie schemat moich zeznań. Wiedziałem już, że NKWD ma pełną wiedzę o pracach Delegatury i że informacje przekazał im, co uznałem za niemal pewne, sam Delegat. Ponieważ ujawniliśmy się, zgodnie z decyzją podjętą i akceptowaną przez Delegaturę na kraj, bezsensowne było zaprzeczanie naszej działalności w czasach hitlerowskich. Było oczywiste, że wielu jej form już nie będzie można kontynuować. Chodziło więc przede wszystkim o ochronę ludzi, nie ujawnianie nazwisk — ponieważ działaliśmy w konspiracji zdecydowałem się powoływać nieustannie właśnie na zasadę podziemia, to jest ukrywanie prawdziwych nazwisk. Miałem też zamiar uparcie twierdzić, że właśnie pełnione przeze mnie funkcje sędziego Sądu Specjalnego i szyfranta w istocie zapasowego wymagały szczególnej konspiracji i że miałem wręcz polecenie minimalizowania kontaktów, utrzymując je jedynie z delegatem i jego bliskim współpracownikiem Zygmuntem Danowskim, po wojnie znanym tłumaczem literatury skandyńskiej. W ostatnich dniach przed swoim aresztowaniem przy końcu lipca 1944 był on adiutantem Komendanta obszaru. Cała ta konstrukcja była wiarygodna i do tego pozwalała mi ochronić innych ludzi; pytany o znajomych wymieniałem tych, o których wiedziałem, że albo zginęli, albo są na emigracji. Wiedziałem także, że wielosłowie jest cechą radzieckiego systemu i że bardzo je lubią w NKWD, licząc, że z opowieści więźnia uzyskają jakieś istotne informacje i poznają aresztowanego bliżej. Prócz tego wiedziałem, że zwierzchnicy oczekują od śledczego protokołu przesłuchania i na ogół im zapis ten jest dłuższy, tym lepszy. Jeśli nie będzie miał takiego protokołu, dostanie naganę i odbije to sobie na mnie.

Postanowiłem też wykorzystać moją wiedzę i doświadczenie prawnicze, zdobyte w latach 1939-1941, co pozwalało mi w pewnym sensie rozmawiać ze śledczym fachowo.

Pierwszy seans trwał krótko, ograniczył się do zapisania mojego życiorysu, studiów, źródeł utrzymania i okoliczności, w jakich znalazłem się w Delegaturze Okręgu Lwowskiego. Sędzia zapisywał spokojnie, ale zaznaczył, że to tylko początek.

Tymczasem w celi 78 a przybywało lokatorów. Odszedł inżynier i pojawili się nowi Ukraińcy. Zostałem sam na sam z sześcioma nacjonalistami schwytanymi przez NKWD w całej Małopolsce; niektórych zabrano wprost z lasu. Gwałtownie pogarszały się w celi warunki życia: siedmiu dorosłych mężczyzn na małej przestrzeni — wydawało się po prostu niemożliwe, aby mogli się zmieścić. Spać musieliśmy teraz w poprzek wąskiej celi, nie mogąc wyprostować nóg, trzeba było wprowadzić samym ścisły reżim korzystania z kubła, nasze spacery upodobiły się do upiornej karykatury słynnego obrazu van Gogha. Zamiast małego podwórza, ściany małej celi. Z odejściem

Polaka, inżyniera, ostro zarysował się też dla mnie szczególnie problem: nieuniknionego, ciasnego współżycia z nacjonalistami ukraińskimi, z których niewątpliwie niejedyn miał krew polską na rękach. Łączyl nas teraz wspólny wróg, łączył wspólny interes przeżycia i przeciwstawienia się bezwzględemu reżimowi.

Udało mi się jednak stosunki z Ukraińcami ułożyć dobrze. Nigdy nie podejmowaliśmy dyskusji politycznej, nie mówiliśmy o naszych krwawych konfliktach. Było to jakby chwilowe zawieszenie broni wymuszone przez sytuację. Pomogła mi znajomość języka ukraińskiego. Gdy moi towarzysze w czasie spacerów w kółko śpiewali półgłosem swe rzewne partyzanckie pieśni, nuciłem z konieczności wraz z nimi, bo w taki takt chodziliśmy. Na Nowy Rok składaliśmy sobie życzenia spełnienia marzeń, choć wiedziałem, że oni życzą sobie we Lwowie niezależnej, nacjonalistycznej Ukrainy, a oni wiedzieli, że ja życzę sobie odzyskania polskiego Lwowa i Małopolski Wschodniej. Myślę, że sprawę współżycia ułatwiała też pochodzenie moich współlokatorów. Byli to przeważnie chłopci, wciągnięci do organizacji nacjonalistycznych przez emisariuszy z miasta, studenta wszystkim studentów. W ich opowieściach właśnie postać studenta pojawiała się regularnie; on ich uświadczał narodowo, on organizował, on informował, obiecywał zwycięstwo, on często w ostatniej chwili zniknął, zostawiając ich własnemu losowi. Wszyscy jednak byli przekonani, że walczą w słusznej sprawie i że prędzej czy później zbudują swe niezależne państwo: „Wilnuju Ukrainu”. Wszyscy też mówili ze mną po polsku, choć z silnym akcentem. Byli ogłuszeni, wyrwani ze swego środowiska i pełni trosk o to, co się dzieje w ich gospodarstwie, z ich rodzinami — chłopci właściwie o niczym innym mówić nie mogli.

Pamiętam młodego jeszcze, trzydziestoparoletniego Ukraińca ze wsi spod Lwowa, małowównego, bitego w śledztwie, gdyż złapany z karabinem w lesie nie tylko długo odmawiał wszelkich zeznań, ale w ogóle słabo rozumiał, co do niego mówi rosyjski śledczy, oczywiście bez żadnego tłumacza. Chłop ten niekiedy przez cały dzień nie zamienił z nami ani słowa, posłusznie wypełniał swe obowiązki w celi, maszerował w kółko, wynosił kubeł; codziennie rano natomiast, gdy tylko była chwila milczenia, wzdychał i mówił cicho, jakby tylko do siebie: „dzisiaj w nocy znów byłem w domu”. Zostawił tam młodą żonę z kilkorgiem małych dzieci i karłowate gospodarstwo rolne, wymagające nieustannej harówki mężczyzny.

Barwną postacią wśród ukraińskich więźniów, tą, która najbardziej utkwiła mi w pamięci, był człowiek już stary i bywały, o pokolenie starszy od wszystkich innych. Nazywał się Maksym Daniłowicz Jupin i pochodził z okolic Bóbrki, miasta powiatowego w województwie lwowskim. Służył jeszcze w armii austriackiej w czasie I wojny światowej i był wtedy żandarmem wojskowym. Patrołował ulice miast i miasteczek, konwojował dezertersów, jak się dało ścigał haracz z drobnych kupców i rzemieślników, pamiętał swych austriackich przełożonych i wojskową gwarę niemiecko-polsko-ukraińską. Po 1918 wrócił do rodzinnej wsi na gospodarstwo i zaczął namiętnie kłusować w lasach, pańskich i państwowych. Prowadził pasjonującą grę z władzami o posiadanie broni bez zezwolenia, ukrywał ją w lesie, i z gajowymi, którzy strzegli zwierzyń. Opowiadał o swoich przygodach z chęcią i swadą, lubił zwłaszcza wspominać domy publiczne i prostytutki czasu I wojny. Miał przy tym duże poczucie humoru. Narzekał, że dał się mimo swego wieku i doświadczenia namówić na udział w nacjonalistycznej partyzance, nie wierzył już w jej powodzenie; drażniło to młodych, wciąż pełnych nadziei Ukraińców z naszej celi. Miał nadzieję, że ze względu na wiek, przyznanie się do winy i skrucę otrzyma niższy wyrok.

Jedynym inteligentem ukraińskim, którego zastałem już w celi, był działacz związany z cerkwią greckokatolicką. Ten z kolei opowiadał stale o metropolie Szeptyckim, jego zasługach, roli, wadze, jak mówił, dla całej Ukrainy. Obawiał się o los arcybiskupa, przypominając, że władze carskie w czasie I wojny światowej po przejściowym zajęciu Lwowa wywozły Szeptyckiego w głąb Rosji i więziły w klasztorze w Szułdalu. Mówił też o słabym zdrowiu bardzo starego już władcy. On pierwszy zorientował się, że niezwykle bicie dzwonów w mieście, jakie z początkiem listopada 1944 roku usłyszeliśmy w celi, oznaczało

pogrzeb Szeptyckiego. Wprawdzie nie pozwalano nam otrzymywać w paczkach żadnych gazet czy czasopism, nie mówiąc już o książkach, ale zezwólano na podarty na małe kwadraciki papier gazetowy, dla skręcania papierosów. Było to dla mnie ważne źródło informacji. Zawsze prosiłem moich towarzyszy, aby przed wypaleniem dali mi przeczytać te kawałki gazet i znajdowałem w nich różne wiadomości ze świata.

Pewnego dnia lektura ta przyniosła mi nieoczekiwany i ważny plan. Znalazłem bowiem przedrukowaną przez lwowską prasę radziecką krótką wzmiankę z Lublina o działalności politycznej tamtejszych, jak to określano, „polskich patriotów”. Wzmianka podawała jako przykład spotkanie w którymś z lubelskich kin i nazwała mówcę: A. Ostrowski. Nie sądziłem, abym się mógł mylić: w Lublinie, już po drugiej stronie barykady, działał były Delegat, aresztowany 30 lipca we Lwowie.

W śledztwie nigdy nie zapytano o Ostrowskiego, mimo że sam wymieniałem jego nazwisko i funkcję, podkreślając, że sam się ujawnił władzom radzieckim.

Zastanawiałem się, co mogło go skłonić do takiego kroku, a raczej kroków. Nie było to bowiem, używając porównania z bohaterem powieści Galsworthy'ego, tylko przyjęcie islamu pod groźbą rewolweru dla ratowania życia. Była to decyzja zrobienia na tym kariery.

Kiedy po latach we Wrocławiu, w rozmowie z moim przyjacielem Stanisławem Hubertem poruszyliśmy ten temat, mówiąc zresztą o całej grupie ludzi związanych z lwowską Delegaturą, która w 1944 roku taką właśnie wybrała drogę, Hubert powiedział mi: „Cóż chcesz, mieli niewyżyte bilety sleepingowe”. Rzeczywiście, większość z nich z mniejszym lub większym sukcesem zaczęła się następnie w służbie dyplomatycznej.

Tymczasem ożywiły się moje kontakty z sąsiednią celą. Okazało się, że przy półotwartym oknie stojąc na kaloryferze można swobodnie zamienić parę słów, a nawet coś podać z ręki do ręki. Dziewczeta chętnie rozmawiały, dawały nam nawet żywność twierdząc, że mają jej dosyć, ostrzegały przed nagłą rewizją, informowały, co się dzieje w więzieniu. Miały te wiadomości, ponieważ strażnicy wysługiwali się nimi przy sprzątaniu korytarza. Były wśród nich Ukrainki z naszych terenów, były dziewczęta z radzieckiej Ukrainy. Polek w tym czasie nie było.

Ostrzeżenie w więzieniu miało ważne znaczenie, gdyż od czasu do czasu spadały na nas nieoczekiwane rewizje. Wyprowadzano wtedy nagle wszystkich z celi, ustawiano na korytarzu twarzą do ściany i dokonywano skrupulatnego przeszukiwania — i celi, i więźniów. Mimo bowiem całej surowości reżimu, udawało się niekiedy przemycić niedozwolone przedmioty: igłę, kawałek olówka, ułamek zostyletki, a nawet mały nożyk. Ja sam zdobyłem taki, przypadkowo zostawiony przez kogoś na podłodze w łazni: kilkucentymetrowe ostrze zawinięte w szmatkę. Przeniosłem go szczęśliwie do celi i służył mi kilka tygodni, a przepadł w czasie jednej z nagłych rewizji.

W październiku zabrano na sąd jednego z Ukraińców. Na jego miejsce pojawił się nowy, chłop z okolicy Brzeżan; był na pierwszy rzut oka, jak na człowieka ze wsi, jakiś okrągły i dziwnie smutny. Okazało się, że od lat choruje na ciężką gruźlicę, lecz się jedząc dużo masła, bo tak podobno kazał mu lekarz. Kiedy jednak jeden ze współwięźniów, który właśnie otrzymał w paczce masło, chciał się z nim podzielić, chłop stanowczo odmówił. „Mogę jeść masło tylko od własnej krwi” — powtarzał przy każdym posiłku. Za kilkanaście dni dostał paczkę z dużą ilością domowego masła; powiedzieliśmy mu, aby się z nami nim nie dzielił. Gdy w styczniu odchodziłem z celi, siedział jeszcze, obrzękły, kaszlał często; zdawałem sobie sprawę, że zdołał zapewne zarazić nas wszystkich w celi gruźlicą.

Śledztwo przy końcu października zaostrzyło się. Wywoływano mnie częściej i ton śledczego stał się agresywny. Żądał, abym przyznał się do zdrady ojczyzny i wydał swoich nieujawnionych współników. Odpowiadałem, że nie zaprzeczam mojej działalności w Delegaturze, potwierdzam ją i wyjaśniam jej motywy, nie mogę jednak zgodzić się z kwalifikacją prawną, gdyż nie jestem obywatelem radzieckim. Usłyszałem znowu, że wszyscy mieszkańcy Lwowa są od 1939 roku obywatelami ZSRR i to co robiłem, to właśnie zdrada.

Pewnej nocy śledczy poinformował mnie o upadku powstania w Warszawie, jak to określił — „antyradzieckiego”, i o kapitulacji Bora-Komorowskiego przed Niemcami. Widział w tym potwierdzenie zarzutu, że w rzeczywistości całe polskie podziemie kierowane z Londynu było wymierzone przeciwko ZSRR i pomagało Niemcom. Staralem się zachować bardzo spokojnie, ale śledczy podnosił głos i groził mi najsurowszym wyrokiem. Wciąż podkreślał, że dopuściłem się najcięższej zbrodni, jaką może popełnić obywatel. Przesłuchania trwały godzinami i wracalem do celi wyczerpany.

Pewnej nocy, gdy nikt z nas nie oczekiwał śledztwa, gdyż było właśnie święto radzieckie, 7 listopada, rocznica rewolucji, nagle wyprowadzono mnie z celi. Cekał na mnie inny niż uprzednio śledczy, co gorsza, od razu zauważyłem, że jest podпиты. Zaprowadził mnie nie do zwykłego gabinetu, gdzie byłem przesłuchiwany, lecz do piwnicy, do oddzielnego zakratowanego pomieszczenia. Usiadł za stołem, wyciągnął rewolwer i groził mi oraz przeklinając zażądał, abym przyznał się natychmiast, z kim kontaktuję się nielegalnie w więzieniu i przez kogo przesyłam do miasta informacje. Zacząłem temu zaprzeczać twierdząc, że to jakieś nieporozumienie, ale nie na wiele to się zdało. Usłyszałem kolejną serię niezwykle ordynarnych wyzwisk i rozkaz, abym natychmiast zdjął marynarkę. W piwnicy był silny chłód, na dworze zima, śledczy był w zimowym, żołnierskim płaszczu. Ponieważ w dalszym ciągu nie przynawałem się do niczego, w 15 minut stałem przed stołem rozebrany do krótkich slipów, bosy. Po chwili usłyszałem kolejny rozkaz: „Wychodź!” Widocznie wysłuchany oficer nałożył czapkę i wciąż z rewolwerem w ręce wyprowadził mnie z piwnicy. Przeszedłem z nim obok grupy strażników — widziałem, że patrzą na nas ze zdumieniem — i wyprowadził mnie na podwórze więzienia.

Było to to samo podwórze, na którym stałem w lipcu 1941 roku, oglądając setki świeżo ekshumowanych zwłok więźniów zamordowanych na Łąckiego przez wycofujące się NKWD. W czasach, gdy więzienie służyło hitlerowcom, ktoś z nich wpadł na makabryczny pomysł i kazał wybrukować podwórze, bardzo starannie, płytami z żydowskiego cmentarza. Był mróz, prószył drobny śnieg, śledczy stanął i kazał mi, rozebranemu i bosemu, chodzić przed nim tam i z powrotem, dopóki, jak powiedział, nie powiem wszystkiego. Za jakieś pół godziny, o ile mogłem się w tym stanie zorientować, oficer krzyknął na mnie, abym szedł za nim. Weszliśmy do budynku; oddał mi ubranie i odprowadził do celi.

Moi towarzysze, zaniepokojeni, rozcierali mnie długo, nie rozumiejąc, co właściwie się stało... Z wielkim niepokojem czekałem następnego dnia. Minęło jednak kilka spokojnych dni zanim znowu wezwano mnie na śledztwo, tym razem rutynowe. Okazało się, że nastąpiła zmiana, przesłuchiwał mnie nowy oficer (nie zapamiętałem nawet jego nazwiska). Wszystko zaczynał od początku, cierpliwie i powoli. Odpowiadałem według schematu, jakiego trzymałem się twardo, on równie cierpliwie zapisywał.

Za jakieś dwa tygodnie po nocy na płytach grobowych dostałem ataku gorączki, krótkiego, ale silnego. Odtąd zdrowie zaczyna mi sprawiać kłopoty, trzymam się raczej psychicznie. Jest to ważne, gdyż sytuacja w celi, w której jestem jedynym Polakiem, wyraźnie pogarsza się. Moja rodzina, zwłaszcza matka, stara mi się jak może pomóc, dzięki czemu mam dosyć wartościowego jedzenia. Niewiele straciłem wagi, ale fizycznie osłabłem. Częstouję moich towarzyszy, ale nie mogę nakarmić sześciu ludzi. Tylko część z nich otrzymuje, i to rzadko, pomoc; zaczynają chudnąć i marnieją w oczach. Gdyby się zdecydowali odebrać mi jedzenie, nie dałbym im rady. Wiedziałem, że teraz wiele zależy od mojej determinacji i postawy. Ukraińcy myśleli zresztą, że jestem ważnym więźniem i mogą się poskarżyć władzom. W rzeczywistości było inaczej, mój pierwszy śledczy nieraz pytał, czy Ukraińcy biją mnie w celi i wiedziałem, że nie miałby nic przeciwko temu.

Kiedy przyszedł atak gorączki, powiedziałem o tym dziewczynie z sąsiedniej celi, z którą najczęściej rozmawiałem. Była ze Wschodniej Ukrainy, została w 1941 roku we Lwowie, gdzie ją aresztowano. Na następny dzień, nieoczekiwanie, podała mi przez kratę lekarstwa na gorączkę. Okazało się, że była pielęgniarką i wyprosiła lekarstwo u strażników. Miała bardzo miły głos; nigdy jej jednak nie zobaczyłem.

Podalem jej mój adres, gdyż sądziła, że będzie zwolniona. Prosiłem, aby odwiedziła moją rodzinę. Została odesłana w głąb ZSRR, pisała jeszcze czas jakiś do mojej matki i siostry. Nazywała się Maria Hordenko.

Wtedy też przeżyłem najgorszą noc w więzieniu na Łąckiego. Po północy, z nieznanых powodów strażnicy weszli do celi dziewcząt i zaczęli je katować. Słyszeliśmy zduszone krzyki i płacz, bieganinę na korytarzu. Leżałem jak zwykle skurczony na podłodze, kiedy strażnicy otworzyli i naszą celę, sprawdzając co robimy. Nie można jednak było zrobić niczego.

Z początkiem grudnia, nieoczekiwanie, zaraz niemal po kolejnym przesłuchaniu, wezwano mnie znowu na śledztwo. Spotkałem nieznanego oficera, tym razem jakby zupełnie innego: był bardzo grzeczny, wręcz uprzejmy. Przedstawił mi się jako pracownik naukowy, historyk z fachu, którego tylko wojna zmusiła do pracy w NKWD. Zaczął ogólną rozmowę, pytał o moje poglądy, o znajomych. Podalem mu te same co poprzednio nazwiska ludzi z emigracji. Sam obszernie mówił o perspektywach okresu powojennego w Europie. Twierdził, że wojna dobiega końca i że prawdziwym zwycięzcą wyjdzie z niej ZSRR i on ustali porządek na naszym kontynencie. Powiedział nawet, co mnie zdziwiło, że obojętnie, czy będzie wówczas rządził Stalin czy ktoś inny, powojenny okres będzie pod znakiem dominacji radzieckiej i to określi przyszłość Polski i Polaków. Pisał coś w rodzaju protokołu z tej rozmowy, a na koniec powiedział: „nie wiem, czy i kiedy będzie wasz proces, rozumiecie chyba dobrze, że o tym nie decydujemy tu, we Lwowie, ale rozstrzygnie się to w Moskwie”.

Po tej rozmowie kilka tygodni nikt się mną nie interesował. Obchodziliśmy w celi Nowy Rok, 1945. Otrzymałem świąteczną paczkę, moi Ukraińcy też dostali więcej niż zwykle. Nastrój był więc dobry — składaliśmy sobie życzenia. Wymieniłem też życzenia z dziewczynami zza ściany; trzymały się dzielnie.

W pierwszych dniach stycznia wywołano mnie ponownie. Tym razem dowiedziałem się, że śledztwo jest zakończone, wina moja udowodniona i że wkrótce stanę przed Wojennym Trybunałem.

## Proces lwowskiej Delegatury Rządu

Jak zwykle w więzieniu, dokonało się to nieoczekiwanie: rankiem 17 stycznia 1945 roku wyprowadzono mnie z celi. Przypuszczałem, że idę znowu na śledztwo, wiedziałem przecież, że w sprawach politycznych nie kończy się ono nigdy. Okazało się jednak, że rozpoczyna się sąd. Znalazłem się w ciemnej sali: przy stole siedziało trzech oficerów w mundurach, za oświetlenie służyły świece wetknięte w butelki. Było jeszcze ciemno, ale więzienie i sąd pracowały zawsze według czasu moskiewskiego; w zimie było to szczególnie dokuczliwe. W sali znalazła się, w ciemnych rzędach ławek, grupa osób, wśród których od razu rozpoznałem swych kolegów i znajomych z Delegatury.

Major, przewodniczący sądu, o ile pamiętam nazywał się Andriejew, któremu towarzyszyło dwóch innych sędziów (major i podpułkownik), otworzył rozprawę. Oświadczył, że stoi przed Trybunałem Wojskowym Lwowskiego Okręgu Wojskowego i że będziemy sądeni jako kontrrewolucyjna grupa nazywająca się Delegaturą Rządu. Na rozprawie nie będzie obrońców, ale nie będzie też prokuratora, a więc wszystko jest od tej strony w porządku. Jest natomiast na sali tłumacz, gdyż mamy prawo zeznawać w języku ojczystym. Tłumaczką okazała się młoda dziewczyna, z akcentu Ukrainka. Tłumaczyła nasze wypowiedzi na rosyjski z błędami i lukami, tak, że trzeba było często powtarzać jej zdania. Na sali, gdy oswoiłem się z mrokiem, doliczyłem się 20 więźniów, w tym dwóch kobiet. Części z tych osób nie znałem w ogóle, ani osobiście, ani z pseudonimów, które podano w akcie oskarżenia.

Przed rozpoczęciem właściwej części rozprawy przewodniczący Trybunału niespodziewanie oświadczył, że ma dla nas ważną informację. Podniósł ze stołu jakiś papier i zaczął czytać, starając się nadać lekturze uroczysty ton. Komunikat informował o dalszych postępach wielkiej radzieckiej ofensywy i zajęciu Warszawy. Sens tego nieoczekiwanego wstępu był dla mnie oczywisty: miał on nam udowodnić, że Polska i jej sprawa w ręku Moskwy, rozstrzygnie wszystko Armia Czerwona i że

to właśnie decyzja o procesie lwowskiej Delegatury Rządu jest częścią polityki wobec Polski.

Wiedziałem już z losów moich współwięźniów, że rozprawy sądowe na Łąckiego, w tym także grupowe, załatwiane są ekspresowo, w jeden dzień; więźniów zabierano z celi z rzeczami, gdyż po wyroku nie wracali już, przenoszono ich do innej części więzienia. Proces Delegatury trwał aż pięć dni. Przez cztery dni broniliśmy się sami przed stawianymi nam zarzutami, dawano nam swobodnie wypowiedzieć się, a następnie przewodniczący lub któryś z sędziów znowu powtarzał akt oskarżenia, uznając wszystkie jego punkty za w pełni udowodnione. Odwracając rzeczywistość i prawnomiędzynarodową sytuację akt oskarżenia zarzucał Delegaturze Rządu we Lwowie, że dążyła do zbrojnego oderwania części ziem od ZSRR. Spór, podobnie jak w śledztwie, które przeszedłem, dotyczył kilku kardynalnych spraw.

Po pierwsze — obywatelstwa. Tylko w stosunku do jednego z nas, Kazimierza Sobolewskiego, urodzonego i stale zamieszkałego w Sandomierzu, oskarżenie uznano, że nie jest on obywatelem radzieckim. Sądzone go jako cudzoziemca, który przyłączył się do grupy kontrrewolucyjnej walczącej przeciwko ZSRR. Wszyscy inni oskarżeni byli, jako obywatele radzieccy — o zdradę ojczyzny. Kwestionowaliśmy podobną prawną kwalifikację, powtarzając po kolei argument o stanie wojny, braku ostatecznych prawnomiędzynarodowych uregulowań, odmienności losów terytorium od losów obywateli, którzy chcą zatrzymać swe obywatelstwo. Powoływaliśmy się także na działalność niemiecko-radzieckiej komisji, która jesienią 1939 roku załatwiła niektórym ludziom pozwolenie wyjazdu z ZSRR, nie traktując ich, mimo formalnego przyłączenia Lwowa, jako obywateli sowieckich. Na wszystkie te i podobne argumenty przewodniczący Trybunału niezmiennie odpowiadał, że Zachodnia Ukraina jest na wieki przyłączona do ZSRR i wszyscy jej mieszkańcy są i będą traktowani jako obywatele radzieccy.

Drugi ogólny problem to charakter Delegatury, jej związek z rządem londyńskim i udział w antyhitlerowskiej koalicji aż do ostatniej chwili, walk lwowskiego AK z cofającymi się Niemcami. I tu schemat dyskusji był podobny; zarówno rząd londyński, jak i jego Delegaturę sąd traktował jako organa wroga wobec ZSRR, to znaczy pomagające Niemcom.

Wreszcie, trzecia ogólna sprawa: ujawnienie się Delegatury względnie jej ukrywanie się po wejściu Armii Czerwonej do miasta. Ujawnienie się było przez sąd traktowane jako manewr, mający ukryć prawdziwe zamiary, wroga wobec Armii Czerwonej. Tu zresztą sprawa wyglądała różnie, gdyż po pierwszych aresztowaniach część sądzonych przez Trybunał rzeczywiście ukrywała się. To były zarzuty w stosunku do wszystkich.

Poza tym stawiano zarzuty indywidualne, w moim przypadku — przyjęcia funkcji sędziego Sądu Specjalnego i szyfranta, co szczególnie miało świadczyć o moich wrogich zamiarach.

Niespodzianką było to, że w przerwach rozprawy mimo ciągłej obecności strażników nie przeszkadzano nam w rozmowach między sobą. Wysnułem z tego wniosek, że wyroki są już wydane i w rzeczywistości przebieg rozprawy nie ma większego znaczenia.

Już na pierwszej przerwie, w krótkiej rozmowie z Cz. Niezabitowskim, prokuratorem Sądu Specjalnego, i W. Grzędzielskim, dawnym kierownikiem lwowskiego BIP-u, których dobrze osobiście znałem, okazało się, że Delegatura jest rozbita, część uwięziona, a część, z Delegatem Adamem Ostrowskim jest w Lublinie, przeszła na stronę PKWN, co więcej, działa tam politycznie. Są tam też niektórzy reprezentanci stronnictw i partii przy Delegaturze. Moi rozmówcy wymienili nazwiska P. Ogrodzińskiego i M. Fiderer. Potwierdziło to moje przypuszczenie oparte na tekście przypadkowego skrawka gazety, który wpadł mi w ręce w celi. Inni nasi towarzysze, później aresztowani, opowiadali o tragedii powstania, niewoli Bora-Komorowskiego, zniszczeniu stolicy, o masowych aresztowaniach we Lwowie, o zupełnym braku pomocy ze strony naszych sojuszników, osamotnieniu rządu w Londynie.

Jeszcze w czasie trwania rozprawy przekonałem się, że w skład naszej grupy, oskarżonej jako lwowska Delegatura Rządu, weszli różni ludzie, rozmaicie, choć wszyscy, zaangażowani w konspirację. Chodziło wi-

docznie o to, aby stworzyć wrażenie procesu dużej i niebezpiecznej grupy; możliwe, że miejscowe władze chciały się w ten sposób wykazać przed swą centralą.

Przysłuchując się przebiegowi rozprawy zauważyłem, że moi współtowarzysze spoza ścisłego grona kierowniczego obrali różne linie obrony. Niektórzy uparcie zaprzeczali jakimkolwiek związkowi z Delegaturą, twierdząc, że nie ma na to żadnych dowodów, a oskarżenie oparte jest na nieporozumieniu. Tak właśnie zachowywał się mój dawny kolega, jeszcze od Kistryna, a następnie z X gimnazjum, Andrzej Kornicki. Rzeczywiście, na śledztwie niczego mu udowodnić nie mogli. Bardzo opanowany i spokojny, powtarzał wciąż, że niczego nie wie, zabrano go przypadkowo i oczekuje uniewinnienia. Wszystko było tylko w sferze podejrzeń i przypuszczeń, na co też wskazał w swym ostatnim słowie. Inni, nie znani mi zupełnie, zwłaszcza kobiety, przyznawali się tylko do kontaktów z pojedynczymi ludźmi, zaprzeczając jakoby ich czyni miały coś wspólnego z samą Delegaturą, a tym bardziej z walką przeciwko ZSRR.

Grupa najbardziej zaangażowanych z W. Swirskim, W. Grzędzielskim i Cz. Niezabitowskim nie tylko nie zaprzeczła swej działalności w Delegaturze, lecz podkreślała, że podejmowała ją świadomie, dla walki z hitlerowską okupacją.

Taką też linię wybrałem sam. Kontynuując to, co mówiłem od razu po aresztowaniu na ulicy Pelczyńskiej i co powtarzałem miesiącami w śledztwie, tu na sali dodałem jeszcze jeden argument: wskazałem na ogromne, bezinteresowne poparcie społeczeństwa polskiego Lwowa, które reprezentowaliśmy, przedstawiłem wysiłki Delegatury dla obrony tego społeczeństwa przed okrutną okupacją hitlerowską i w tym kontekście wskazałem na funkcję Sądu Specjalnego, który był jedyną tego rodzaju instancją ścigającą tych, którzy służyli wrogowi, i to wspólnym — Polski jak i ZSRR. Odrzuciłem zarzuty o rzekomej walce przeciwko Armii Czerwonej, której pomagaliśmy, gdy się zbliżała i weszła do miasta, za co nam nawet wtedy dziękowało dowództwo radzieckie. Odrzucałem zarzuty o ukrywaniu się, wskazałem, że zostałem we własnym domu i przy własnym nazwisku, i spotykałem się z przedstawicielami władz radzieckich, interweniując w sprawie aresztowanych. Mówiłem po polsku i musiałem wielokrotnie poprawić tłumaczkę, która nie mogła dać sobie rady.

Nie miałem żadnych złudzeń co do wyniku naszego procesu. Brałem nawet pod uwagę możliwość spektakularnego wymierzenia nam najwyższego wymiaru kary, choć przypuszczałem, że zostanie ona następnie zamieniona na 10 lat więzienia; była wtedy w sądach radzieckich taka praktyka.

Nasi trzymali się wszyscy dobrze, nawet najstarsi wiekiem. Śledztwa mieli różne, najcięższe W. Grzędzielski, który w Delegaturze odpowiadał w ostatnim czasie za sprawy bezpieczeństwa i starał się do końca osłaniać Delegata nie przypuszczając, że ten przeszedł na drugą stronę barykady. Ciężkie śledztwo miał także M. Pokryszko, który kierował biurem legalizacji, przygotowywaniem fałszywych dokumentów. Obu ich bito i katowano.

Nie przewidziałem jednak wymiaru kar, jaki nam przygotowano: był on, jak na owe czasy, wyjątkowy.

Wyrok odczytano nam rankiem 21 stycznia; już nie wróciliśmy do swoich cel. Wcześniej moi ukraińscy współwięźniowie dziwili się ogromnie, że proces trwa tak długo. Rozstaliśmy się przyjaźnie i nawet z pewnym szczególnym smutkiem, jaki towarzyszy więziennemu rozłakom. Przeżyliśmy razem kilka dramatycznych dla każdego z nas miesięcy, poznaliśmy wspólnie mechanizm więzienny, po wyroku każdego czekało nieznanne, a tego więzień boi się najbardziej.

Wyroki były surowe. Trybunał uznał winę wszystkich bez wyjątku za udowodnioną, a w uzasadnieniu podkreślał, że nie tylko walczyliśmy w czasach hitlerowskiej okupacji przeciwko ZSRR, ale że po wejściu Armii Czerwonej kontynuowaliśmy walkę „uchodząc w głębokie podziemie”.

Czterech otrzymało 20 lat więzienia. Byli to:

— Władysław Grzędzielski, przed wojną wicestarosta w Turce, w Delegaturze w ostatnim czasie odpowiedzialny za bezpieczeństwo, uprzednio za BIP, mój bliski, serdeczny znajomy. Nie przeżył obozu.

— Władysław Świrski, dr nauk ekonomicznych, specjalista zagadnień rolnych, jeden z najbardziej zasłużonych wydawców lwowskiego podziemia. Wydawał swój biuletyn pt. „Wytrwamy” od 1940 roku aż do chwili aresztowania. Znał znakomicie język rosyjski i zeznawał, jedyny, właśnie po rosyjsku, co niektórzy mieli mu za złe. Należał do polskich organizacji niepodległościowych jeszcze przed 1918 rokiem, w Kijowie. Serdeczny mój przyjaciel przeżył obóz, po 1956 roku powrócił do kraju, osiedlił się we Wrocławiu, mimo wieku pomagał mi w terenowych badaniach socjologicznych.

— Czesław Niezabitowski, prokurator Sądu Specjalnego, przeżył obóz, powrócił po 1955 roku do kraju.

— Kazimierz Wachsmann, dowódca tzw. Straży Samorządowej przy Delegaturze, brał udział w akcji „Burza”, wrócił do kraju w 1955 roku i osiedlił się w Gliwicach.

Dwóch oskarżonych otrzymało po 18 lat więzienia, jednego z nich nie znałem, drugi to:

— Kazimierz Sobolewski, lekarz z Sandomierza, działacz Komitetu Obrony Społecznej przy Delegaturze, spędziłem z nim długie lata w jednym obozie, po 1955 roku wrócił do kraju i rodzinnego miasta.

Dwóch oskarżonych otrzymało 15 lat więzienia. Jednym z nich był młody człowiek, fryzjer z zawodu, wykonawca wyroków Sądu Specjalnego. Nie znałem jego nazwiska, ani nic nie wiem o jego losach. Drugim, który otrzymał wyrok 15 lat, byłem ja.

Reszta członków naszej grupy otrzymała standardowy w tamtych czasach wyrok — 10 lat więzienia. Byli wśród nich:

— Andrzej Kornicki, o którym już wspominałem, nie powrócił z obozu;

— Andrzej Niezabitowski, syn Czesława, powrócił po 1955;

— Stanisław Czuruk, syn profesora, kolegi mego ojca, powrócił po 1955 roku do kraju i osiedlił się w Zgorzelcu;

— Jerzy Piwoński, syn dyrektora lwowskiej gazowni, powrócił po 1955, osiedlił się we Wrocławiu;

— Marian Pokryszko, mój serdeczny kolega jeszcze ze studiów, udała mu się wyjątkowo śmiała ucieczka z obozu przejściowego, już po wyroku we Lwowie, osiedlił się we Wrocławiu;

Pozostałych uczestników procesu Delegatury nie znałem i losy ich są mi do dzisiaj niewiadome.

Dopiero po latach dowiedziałem się, że w dniu, w którym zapadły wyroki, 21 stycznia 1945, były Delegat Adam Ostrowski otrzymał w Lublinie nominację na podsekretarza stanu w Ministerstwie Administracji Publicznej w tzw. Rządzie Tymczasowym kierowanym przez Edwarda Osóbkę-Morawskiego.

Kazimierz Żygułski

## W przestrzeni

# Postmodernizm w Chełmie?

Jak powszechnie wiadomo wśród naszych architektów — czy na pewno? — Charles Jencks jest najbardziej dziś głośnym w świecie egzegetą, krytykiem i protagonistą architektury XX wieku. Oczywiście, dwa ostatnie określenia dotyczą odmiennych jej rozdziałów.

Jencks nie znosi architektury przytłaczającej człowieka, bezosobowej, wymyślonej z religijnym niemal respektem dla zasad ekonomii, funkcji i geometrii, pozbawionej ornamentu i lokowanej w urbanistycie strefowej. Jeśli ktoś mieszka — w Polsce, Francji, USA — w osiedlu wzniesionym w latach sześćdziesiątych lub w następnej dekadzie, niech wyjrzy przez okno, a niechybnie zobaczy to, czego nie lubi autor znanej i u nas publikacji „Architektura postmodernistyczna”, która wraz z kilkoma innymi książkami tego autora przyniosła mu sławę, pieniądze, no i sporo obelżywych opinii, sygnowanych przez zaprzysięgłych modernistów.

Natomiast upodobanie Jencks znajduje właśnie w postmodernizmie i w takich jego przodkach ideowych, jak późnorennesansowy klasycyzm Palladia, manieryzm czy secesja z Antonio Gaudim na czele.

Wiadomo też, że samo pojęcie postmodernizmu jest przedmiotem zażartych sporów wśród architektów, teoretyków i historyków. Niektórzy z nich twierdzą nawet, że nie istnieje „architektura postmodernistyczna”, a podsuwane nam pod oczy liczne jej przykłady, przedstawione np. w owej książce Jencksa, to groch z kapustą, albo wręcz świadectwo upadku sztuki budowania, rozumianej jako twórczość rozumna.

Osobiście chętniej daję posłuch Wojciechowi Koscińskiemu, który w posłowie do polskiego wydania pracy Jencksa (1987) wskazuje, że „inkryminowany” fenomen to: „Powrót do myślenia klasycznego, ludzka skala, powszechna zrozumiałość, dialog architekta z przyszłym użytkownikiem, regionalizm, dekoracja [...]. Postmodernizm jest jedną z naszych szans zdrowej odnowy budowania: jest zdrowotną pożywką dla inwestorów i twórców. Oczywiście w wydaniu serio: nie stać nas na dziwactwa zachodnich snobów”.

Jakby spojrzeć na sprawę, trudno przeczyć, że od pewnego czasu i w Polsce wznoszone są domy o cechach indywidualnych, zaprojektowane swobodnie, zwykle kryte wysokimi dachami, zdecydowa-

nie wyłamujące się z dawnych modułów prościutkiej geometrii i nie stroniące od dekoracji.

Takie czy podobne budynki spotykamy ostatnio i w Chełmie, np. w linii ulic: Obłomska — Narutowicza — Kopernika. Ten zespół mieszkalny, ustawiony na planie litery C, wyróżnia się w pejzażu śródmieścia i nazywa się „Baszta”, co zrozumiałe, albowiem jego centralny segment, zwieńczony dachem szalasowym (kopułą?), jako żywo przypomina basztę. Niekonwencjonalnie przedstawia się też elewacja przy ul. Obłomskiej, rytmizowana półkolistymi „wieżami”, które kryją przedłużenia klatek schodowych trzech kondygnacji, wspinając się jednak ponad dachy tylko z powodów estetycznych, dekoracyjnych — bo przecie żadnej innej funkcji tam nie pełnią.

Architekturę „Baszty” zaprojektował Władysław Sadurski, człowiek młody, urodzony w 1954 roku w Lublinie, acz rodzinie związany potem z czymś mniejszym od tego miasta. Średnią szkołę budowlaną ukończył przecież w tym naszym „Rzymie Wschodu” (bo położonym na siedmiu wzgórzach, jak Roma), dyplom architekta uzyskał w Politechnice Wrocławskiej (1979), następnie osiadł w Lublinie (stypendium fundowane), gdzie wykonywał m. in. projekty budownictwa wiejskiego. Do Chełma przyjechał w 1984 roku, ponieważ tutaj otrzymał mieszkanie — typu M-3, które dokładnie wypełnia wraz z żoną i dziećmi, co oczywiście nie pozostaje w żadnym związku z projektowaniem przezeń domów posiadających m.in. mieszkania trzydzielno-

we, o powierzchni użytkowej 105 m kwadratowych. Takie coś będzie można sprawdzić osobiście lub obejrzeć (kwestia zasobności portfela) w narożniku ulic: Łącznej i Krótkiej, niedaleko hotelu „Kame-  
na”, gdzie już chyba w lipcu spółdzielnia nauczycielska „Bakalarz” rozpocznie wznoszenie zespołu „Taras”, autorstwa Sadurskiego. Zróżnicowana wielkość mieszkań, odmienne ich typy, wysokie dachy, dbałość o urozmaiconą kompozycję elewacji — oto niektóre tylko cechy tego projektu.

Przez kilka lat Sadurski pracował w „Inwestprojekcie”, potem w spółdzielni projektowej, aż w 1989 roku utworzył własną Pracownię Autorską „Arctur”. Jej nazwa, owszem, jak to dzisiaj wypada, choć akurat trochę inaczej, bo nie bez sensu. Natomiast sam metraż pomieszczenia — jakby skromniejszy: 7,5 m kwadratowego, a na tym dwie osoby.

Pytany o postmodernizm, o relacje między funkcją i formą, o celowość stosowania ornamentu, Sadurski tak odpowiada:

— Próbuję kojarzyć funkcję z formą, ale tę pierwszą uznaję za ważniejszą. Obca mi jest „sztuka dla sztuki”. Architektura to nie choinka; jej dekorowanie ma nawet urok, lecz w pewnych uzasadnionych granicach, poza którymi zamienia się w żarty, takie sobie dowcipasy. Troszczyć się głównie o to, aby moje projekty miały indywidualność. W osiedlu przy cukrowni krasnostawskiej, a także w budynku przy ulicy Krótkiej proporcje niektórych fragmentów brył opracowałem na zasadzie „złotego podziału”. Zresztą, już bezpośrednio po studiach starałem się



Chełm „blokowy” na zdjęciu L. Radwańskiego

indywidualizować projektowane przez siebie obiekty, uciekałem od katalogowej typizacji. Wysokie dachy wprowadziłem wtedy na szkołę (adaptacja) w Tereszpolu, na budynki PGR-u w Koroszczynie i chyba trochę też inwencji wykazałem w projektowaniu kościołów w Sadurkach, Żalinie i Wólce Okopskiej, które powstały w różnych latach. Albo osiedle „Koniczynka” koło fabryki obuwia, moje pierwsze zadanie, jakie wykonałem w chełmskim biurze „Inwestprojektu” — tu także dachy poszły w górę, chyba po raz pierwszy w tzw. nowym budownictwie miasta, ale tylko na desce, bo realizacja osiedla odwlekała się w czasie i z przewidzianych tam 350 mieszkań ledwie 50 dotąd ukończono. No cóż, pieniędzy brakuje...

Dodajmy, że według projektu Sadurskiego postawiono (1990) budynek przy ul. Lwowskiej 11: dziesięć segmentów, mieszkania, lokale handlowe na parterze (no i naruszenie praw autorskich w niektórych częściach obiektu). Według opracowania „Arcturu” wzniesione też będą „plomby” przy ulicach Obłońskiej i Krzywej.

Czy można mówić o postmodernizmie w Chełmie?

Jedno nie ulega wątpliwości: że w mieście pojawiła się nowa generacja architektów, których idee i realizacje niewątpliwie wzbogacają krajobraz Chełma. W tej grupie oprócz Sadurskiego znajdują się: Wojciech Palka, Marek Zajdek, absolwenci Politechniki Krakowskiej i projektant Jan Osik po studium w Lublinie. Byłby jeszcze Andrzej Krzemień, gdyby nie wyprowadził się znad Uherki.

Ireneusz J. Kamiński



*Fragment budynku przy ul. Lwowskiej 11*



*Chełm zindywidualizowany czyli zespół mieszkaniowy „Baszta”, projektu arch. Władysława Sadurskiego*

# Jezior wiele — wody mało

Marek Turczyński

Trudno w jednym, krótkim artykule omówić ogrom problemów wiążących się z przekształcaniem i zagrożeniami środowiska wodnego Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego. Zasygnalizowana więc będzie tu kwestia, przed jaką coraz częściej stajemy w okresie nowo tworzącej się rzeczywistości. Rzeczywistości, która nie otrząsnęła się jeszcze z filozofii traktowania przyrody jako dobra wolnego, czyli wartości pozaekonomicznej. Przypomnijmy, że Polska pod względem zasobów wodnych zaliczana jest do najuboższych krajów Europy. Wskaźnik odpływu z 1 km kwadrat. powierzchni kraju plasuje nas na 22 miejscu, a wskaźnik ilości wody przypadającej na 1 mieszkańca — na miejscu 20 wśród 27 porównywanych państw europejskich. Woda, a konkretnie jej brak, okazać się może w niedługiej przyszłości podstawową barierą rozwoju kraju. Dlatego też powinno się chronić każdą, nawet najdrobniejszą jej część, a przede wszystkim bardzo racjonalnie nią gospodarować.

W tym miejscu należy zaznaczyć, o paradoksie, że na obszarze Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego zasobów wodnych jest mniej niż w przeważającej części kraju! Dlaczego?

Po pierwsze — występują tu niekorzystne warunki naturalne warunkujące jej ubóstwo. Należą do nich: niewielkie sumy rocznych opadów — około 550 mm, wysokie wartości odparowującej wody — 450-550 mm rocznie, płytkie zaleganie utworów nieprzepuszczalnych (iłó, mułków). Jeśli zbilansujemy ilości wody dostarczanej przez opad z ilością wody wyparowanej, to okazuje się, że jedynie 100 mm opadu zasila rzeki, zbiorniki wodne i wody podziemne. Przeliczając tę warstwę wody na odpływ, otrzymujemy informację, że z jednego kilometra kwadratowego powierzchni Pojezierza odpływają tylko 3 litry szczytne (l/s). Średni odpływ dla Polski wynosi 5,5 l/s z kilometra kwadratowego. Mniej zasobne w wodę są na terenie kraju jedynie Kujawy — około 2 l/s z km kw. Ale również na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim możemy wydzielić obszary o mniejszej zasobności w wodę niż podana powyżej wartość średnia. Na przykład dorzecze górnej Tyśmienicy z odpływem 2,4 l/s z km kw. stawiane jest w rzędzie najmniej wodnych terenów w Polsce.

Paradoksalna sytuacja występowania gęstej tkanki wód powierzchniowych wiąże się z bliskim zaleganiem pod powierzchnią terenu warstw nieprzepuszczalnych. Utrzymują one wodę na niewielkich głębokościach, a jedynie w obszarach bardziej wyniosłych zalega ona głębiej niż 2 m. Płytkie występowanie wody objawiające się dużą liczbą jezior, zbiorników retencyjnych, stawów, rzek i kanałów ma swoje konsekwencje w jej niewielkich ilościach, silnym reagowaniu na wpływy klimatu i działalności gospodarczej oraz łatwością jej zanieczyszczenia. Tak więc woda, najidealniejszy motor napędzający całość przyrody stanowi tu zarazem najdelikatniejszą jej część, bardzo łatwą do wytrącenia z obiegu.

Historię oddziaływania człowieka na wody Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego można pokrótce zamknąć w czterech okresach. Pierwszy z nich to stan pierwotnej przyrody. Obieg wody jest kierowany prawami natury. Woda utrzymuje lasy, torfowiska, zasila rzeki i jeziora. Przez człowieka jest wykorzystywana

w nikłym stopniu, gdyż kraina ta przez długie wieki odstrasza swą niedostępnością.

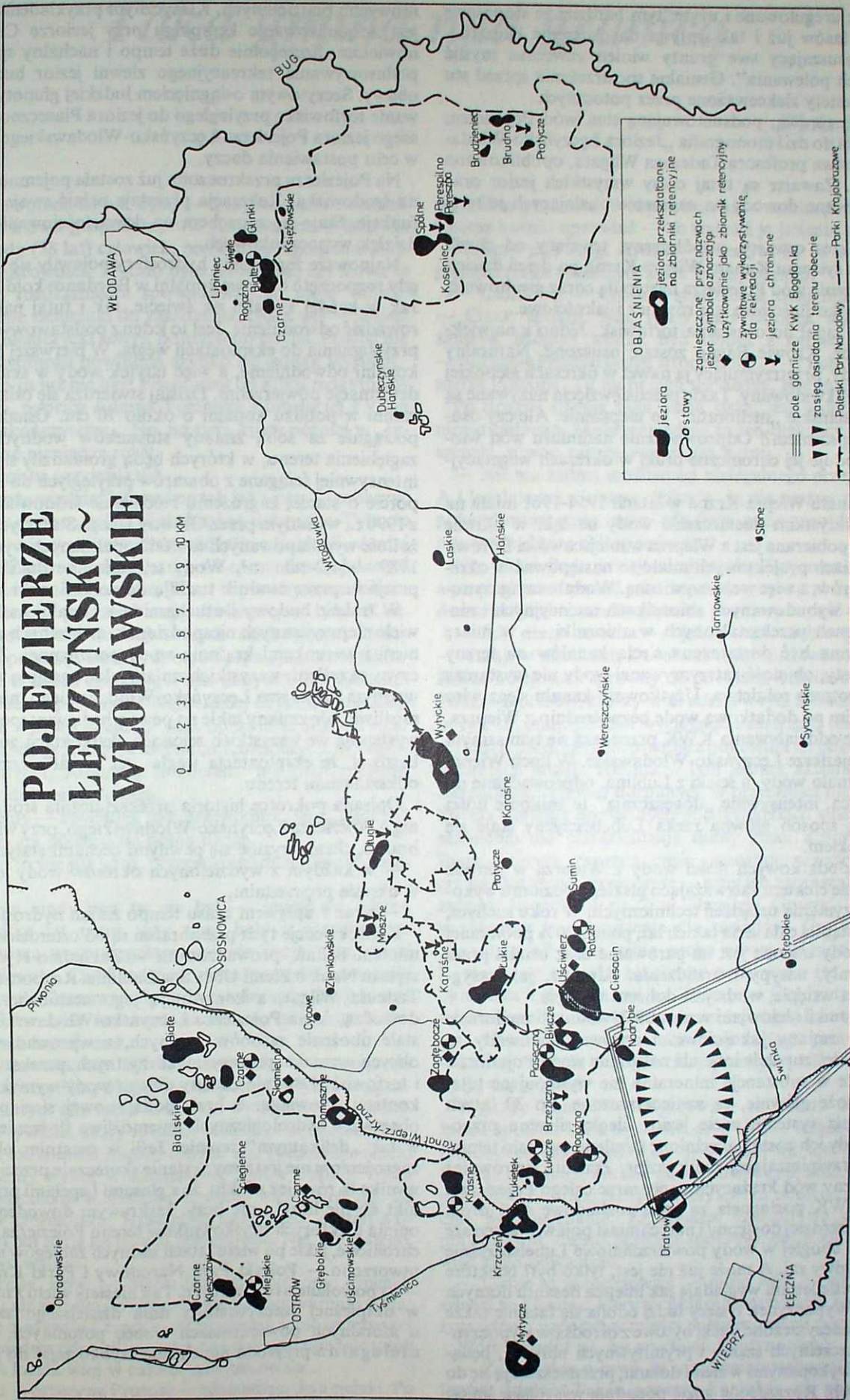
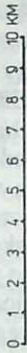
W drugim okresie zarysowują się pierwsze przeobrażenia niekorzystne dla stosunków wodnych. Wacław Nałkowski w 1918 roku tak opisuje działalność człowieka na tych ziemiach: „Polesianie; tym mianem oznaczamy mieszkańców lesistej i błotnistej Krainy Wielkich Dolin i jej zatok południowych, jakkolwiek dzisiaj wobec wyniszczenia lasów w zachodniej części tego pasa, nazwa ta jest odpowiednia dla mieszkańców wschodniej jego części (Podlasianie, Poleszacy), byli to pierwotnie ludzie leśni par excellence, żyjący z łowiectwa, rybołówstwa rzeczno oraz przemysłu leśnego (dotąd jeszcze na Polesiu: *lud po puszczech się mało sieje, a jeno lasem się zabawia*), chodzący z powodu błotnistej gruntu w chodakach (dotąd na Podlasiu i Polesiu), szukający na osady miejsc wynioślejszych wśród błot, walczący z wylewami rzek, leniwie tu w niskich brzegach płynących, kopiący kanały dla osuszenia błot, wypalający lasy, wędrujący po drzewach górolesiem, jak zwrotnikowi mieszkańcy lasów mangrowiowych; sypiący przez błota groble z ziemi i kłód drzewnych *jak to bobrów leśne plemię, co z nim wespół trzyma ziemię*. W miarę wyniszczania lasów i osuszania błot człowiek leśny staje się coraz bardziej rolnikiem.”

Analiza przytoczonego tekstu dowodzi intensyfikowania się działań mających wpływ na osuszenie terenu, a tym samym przeobrażających pierwotne zasoby wodne poprzez: wycinanie lasu, odprowadzanie wody poprzez kanały i tworzenie pierwszych budowli hydrotechnicznych.

Okres trzeci, przypadający w przybliżeniu na koniec XIX w. i początki naszego stulecia, to czas gwałtowniejszych ingerencji człowieka w hydrosferę. Po znacznych przetrzebieniach lasów, gdy okazuje się iż otrzymane tą drogą grunty pod uprawę są niewystarczająco bogate (głównie piaski) zaczyna się faza uzyskiwania powierzchni łąkowych poprzez odprowadzenie wody z torfowisk i bagien. I tu wykorzystajmy inną dawną relację, Jana Rostworowskiego, zamieszczoną w „Pamiętnikach Fizyograficznych” z 1882 roku. Rostworowski, właściciel jeziora Łukie, obecnie największego jeziora Poleskiego Parku Narodowego, obmyśla plan spuszczenia tego jeziora, czyniąc wiele cennych dla hydrologa notatek. Możemy się z nich dowiedzieć przede wszystkim o tym, że wcześniej spuszczone jezioro Wielkie pod wsią Lejno. (Dziś jest w tym miejscu podmokła łąka). Dowiadujemy się nadto, że wszelkie pomysły budowy kanału łączącego Bug z Wieprzem wiązały się z osuszeniem terenów. Autor zauważa, że „osuszenie tak znacznych przestrzeni mogłoby niezmiernie powiększyć bogactwo okolicy, lecz musi ono być prowadzone wspólnymi siłami”. Ale parę wierszy dalej postawa Rostworowskiego zmienia się diametralnie: „należy bowiem nie zapominać, że okolica o której mowa, lubo mokra, nie jest nisko położona, owszem spady są znaczne, lecz zatamowane. Dziś gdy zbytek wilgoci dokuca, każdy chciałby się pozbyć wody, niepomnąc, że osuszenie torfowiska, zamiast grubego, może nie dać żadnego siana, że lekkie grunty stać się mogą wydmami, gdy wody okoliczne przestaną je odświeżać swą wilgocią. Wody zatem nasze nie powinny być



# POJEZIERZE ŁĘCZYŃSKO- WŁODAWSKIE



**OBJAŚNIENIA**

- jeziora
- stawy
- jeziora przekształcone na zbiorniki retencyjne
- zamieszczone przy nazwach jezior symbole oznaczają użytkowanie jako zbiornik retencyjny
- zwiastuje wykorzystywanie dla rekreacji
- jeziora chronione
- pale górnicze KWK Bogdanka
- zasięg osiadania terenu obecnie
- Parki Narodowe
- Parki Krajobrazowe

stracone, lecz uregulowane i użyte; tym bardziej że stopniowe karczowanie lasów już i tak wpływa na osuszenie klimatu... Gospodarz osuszający swe grunty winien zawczasu myśleć o środkach ich polewania". Genialne spostrzeżenia sprzed stu lat zostały niestety zlekceważone przez potomnych.

Naukową rozprawą, podsumowującą stan wód Pojezierza, jest niedościgną do dziś monografia „Jeziora Łęczyńsko-Włodawskie”, autorstwa profesora Tadeusza Wilgata, opublikowana w 1954 roku. Zawarte są tutaj opisy wszystkich jezior oraz przytoczone liczne dowody na osuszenie okalających je terenów.

Wreszcie okres czwarty, współczesny, trwający od chwili uruchomienia systemu Kanału Wieprz-Krzna po dzień dzisiejszy. Przeobrażenia wód Pojezierza następują coraz gwałtowniej i są one nie tylko ilościowe, ale również i jakościowe...

Nie stygnie zapał do osuszania torfowisk. Jedno z największych w Polsce, Krowie Bagno zostaje osuszone. Naturalny rezerwar wody, przetrzymujący ją nawet w okresach głębokiej suszy zostaje zlikwidowany. Takie przedsięwzięcia nazywane są melioracją. Łacińskie „melioratio” to ulepszenie. Ale czy osuszenie jest ulepszeniem?! Odprowadzenie nadmiaru wód wiosennych powoduje jej chroniczne braki w okresach wegetacyjnych.

Budowa Kanału Wieprz-Krzna w latach 1954-1961 miała na celu przede wszystkim dostarczenie wody na łąki w okresie letnim. Woda pobierana jest z Wieprza w miejscowości Borowica. W założeniach projektowych miało to następować w okresach jej namiarów, a więc wczesną wiosną. Woda — magazynowana w nowo wybudowanych zbiornikach retencyjnych i niektórych jeziorach przekształconych w zbiorniki — w miarę potrzeb powinna być dostarczana siecią kanałów na tereny łąkowe. Niestety, objętość zatrzymywanej wody nie wystarcza na pokrycie potrzeb rolnictwa. Użytkownik kanału sięga więc w okresie letnim po dodatkową wodę bezpośrednio z Wieprza. Konsekwencje oddziaływania KWK przenoszą się tym samym także poza Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie. W lipcu Wieprz zawiera i tak mało wody, a ścieki z Lublina, odprowadzane do niego Bystrzycą, intensywnie „dogęszczają” te znikome ilości wody. W ten sposób główna rzeka Lubelszczyzny staje się martwym ściekiem.

Pobieranie dodatkowych ilości wody z Wieprza w okresie letnim jest także efektem zatrzaskującym niskiego poziomu wykonawstwa i utrzymania urządzeń technicznych. W roku suchym, a ostatnio wystąpiła cała seria takich lat, ponad 30% pobieranej do Kanału wody tracone jest na parowanie oraz ucieka przez nieszczelne wały, nasypy i urządzenia. Ale cóż, jak zasygnalizowano na wstępie, woda jest dobrem wolnym.

Poza zmianami ilościowymi w zasobach wodnych melioracje spowodowały zmiany jakościowe. Doprowadzane wody są przede wszystkim zupełnie inne niż naturalne wody Pojezierza. Są one bogate w substancje mineralne nie występujące tutaj a także, a może głównie, są zanieczyszczone. Po 30 latach funkcjonowania systemu wiele jezior uległo silnemu przeobrażeniu. Wody ich zostały użyźnione i szalenie wzrosło tempo eutrofizacji przyspieszającej zanik jezior. Zmienia się również skład chemiczny wód krążących w obszarze całego Pojezierza.

Budowa KWK pociągnęła za sobą rozbudowę sieci dróg. Teren stał się bardziej dostępny i natychmiast pojawiły się rzesze turystów. Na ubogiej w wody powierzchniowe Lubelszczyźnie jest tu prawdziwy raj. A może już nie jest, tylko był? Niektóre jeziora w okresie letnim wyglądają jak miejsca desantu licznych batalionów. Wypoczynek tysięcy ludzi odbija się fatalnie także w wodzie. Nieoczyszczone ścieki bytowe z osódek wycypynkowych, nieszczelnych szamb i prymitywnych ubikacji, będących jedynie wykopanymi w ziemi dołami, przemieszczają się do wód jeziornych. Rozrzucone gdzie popadnie wysypiska śmieci stają się poważnymi ogniskami zanieczyszczeń wód powierzch-

niowych i podziemnych. Klasycznym przykładem niechlujstwa jest zorganizowanie kempingu przy jeziorze Czarnym Sosnowickim. Szczególnie duże tempo i nachalny sposób zagospodarowywania rekreacyjnego zlewni jezior budzi poważne obawy. Szczytowym osiągnięciem ludzkiej głupoty jest zasypywanie torfowiska przyległego do jeziora Piaseczno, najczystszej tego jeziora Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego, skalą płoną w celu postawienia daczki.

Na Pojezierzu przekroczona już została pojemność rekreacyjna środowiska. Rekreacja przestaje pełnić swoje podstawowe funkcje. Staje się sposobem na dowartościowanie posiadaczy działek wypoczynkowych.

Najnowsze zagrożenia hydrosfery pojawiły się w roku 1975, gdy rozpoczęto budowę kopalni w Bogdancie koło Puchaczowa. Jak w każdej kopalni na świecie, tak i tutaj należało przeprowadzić odwodnienie. Jest to jeden z podstawowych wymogów przystąpienia do eksploatacji węgla. W pierwszej fazie budowy kopalni odwodnienie, a więc ubytek wody w skale, powoduje deformacje powierzchni. Dzisiaj stwierdza się osiadanie powierzchni w pobliżu kopalni o około 70 cm. Osiadanie terenów pociągające za sobą zmiany stosunków wodnych. Powstaną zagłębienia terenu, w których będą gromadziły się wody coraz intensywniej ściągane z obszarów przyległych do nich. W „Raporcie o stanie, zagrożeniu i ochronie środowiska w Polsce” z 1990 r., wydanym przez Główny Urząd Statystyczny, podano, że ilość wypompowanych tu wód kopalnianych wyniosła w roku 1989 — 4,2 mln m<sup>3</sup>. Wody te, zaliczane do słonawych, po przejściu przez osadnik trafiają do rzeki Świnki.

W trakcie budowy i uruchamiania kopalni natknięto się na wiele nieprzyjemnych niespodzianek, związanych z występowaniem i warunkami krążenia wody podziemnej. Z tej to przyczyny określenie wszystkich zmian, jakie nastąpią w środowisku wodnym Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego, nie jest obecnie możliwe. Ale zmiany takie na pewno będą występowały, tak jak występują we wszystkich rejonach eksploatacji górniczej. Tym bardziej, że eksploatacja węgla „na zawal” wzmocni procesy odszczalania terenu.

Opisana pokrótce historia przekształcania środowiska wodnego Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego, przy wielości przeobrażeń, charakteryzuje się pewnymi cechami stałymi:

— w każdym z wydzielonych okresów wody jest mniej niż w okresie poprzednim,

— wraz z upływem czasu tempo zmian hydrosfery narasta.

Konsekwencje tych przeobrażeń są od czterdziestu lat przedmiotem badań, prowadzonych w Zakładzie Hydrografii Instytutu Nauk o Ziemi UMCS w Lublinie. Rozpoczął je profesor Tadeusz Wilgat, a kontynuują jego uczniowie. Badania te dowodzą, że na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim następuje stałe ubożenie zasobów wodnych, a wprowadzanie tu wód obcych wznaga procesy niekorzystnych przekształceń jezior i torfowisk. Ostatnie zmiany obiegu wody wymykają się spod kontroli człowieka, a brak podstawowej sieci posterunków obserwacji hydrologicznych uniemożliwia śledzenie tych zmian w tak „delikatnym” terenie. Jeśli w ostatnim okresie wielu zagrożeniom nie jesteśmy w stanie skutecznie przeciwdziałać, to wynika to również z faktu, że z głosami i apelami przyrodników nikt się nie liczył i nie liczy. Jaskrawym dowodem na to jest opinia niektórych użytkowników terenu Pojezierza, że obszary chronione, jakie po wielu latach usilnych zabiegów niedawno tu utworzono — Poleski Park Narodowy i Parki Krajobrazowe — są powołane nielegalnie. Tak niestety wielu z nas myśli, bo w drapieżnej rzeczywistości dnia dzisiejszego zapominamy o moralnych powinnościach wobec potomnych. Oby tylko nielegalna przyroda nie chciała szybko zejść do podziemia.

# Taka gmina nad granicą

Piotr Janowski

— Wszelka swołocz tu już była! — przywitał mnie Leszek Prucnal, jeden z dwu gospodarzy wsi Kolemczyce. Właściwie — ostatni młody (38 lat) człowiek, prowadzący gospodarstwo rolne w tej miejscowości. Trudno było stwierdzić, czy słowa te były wyrazem rozdrażnienia spowodowanego moją wizytą. Wybierał właśnie ziemniaki do zasadzenia, ojciec zaś — Bolesław Prucnal, kolemczycki sołtys, pojechał do młyna. Powód nie nazbyt sympatycznego powitania szybko się jednak wyjaśnił.

— Panie, kto tu już nie był? Począwszy od kilku redaktorów z różnych pism, poprzez Adama Tomanka z lubelskiej TV, na wiceministrze skończywszy... No, na tym, który później w „Igloopolu” ciężkie pieniądze robił.

— I po co oni tu przyjeżdżali?

— Kto to może wiedzieć? Zapewne tak jak i pan — zobaczyć to niesamowite miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc. Tyle, że nic z ich wizyt nie wynikało. Przyjeżdżali, odjeżdżali, a wieś powoli ginęła. Żaden z dziennikarzy nie spowodował jakiegos zainteresowania ze strony władz. Teraz to już chyba za późno.

Prucnalowi trzeba przyznać rację. Kolemczyce, które Konstanty Prożogo zalicza do najstarszych miejscowości doliny Bugu, z wolna przestają istnieć. Spośród pięciu jeszcze zamieszkałych objeść, w trzech egzystują ludzie dożywający swych dni. Różne są tego stanu przyczyny. Najbardziej chyba zawinił Bug. Jego coroczne wylewy odcinały wieś od świata. Jeszcze teraz — na początku maja, jadąc w kierunku Kolemczyc z dorohuskim weterynarzem, Adamem Benderem, nie mamy żadnej pewności, czy dotrzemy do celu.

— Dojedziemy — stwierdza mój przewodnik, gdy „maluch” zjeżdża z szosy na piaszczystą polną drogę.

— Skąd pan to wie już teraz, przecież nigdzie nie widać śladu wioski.

— Widać, że nigdy pan tu nie był — śmieje się lekarz. — Jeszcze kilka lat temu, gdy zimy były z prawdziwego zdarzenia, wiosną woda sięgała prawie do szosy. Nie, samej wioski nie zalewało. Część ludzi na okres powodzi przenosiła się, inni zostawali. Czasem trzeba było przyjechać tu do jakiegos zwierzęcia. Samochód zostawał na szosie, a ja do łódki, i płynęliśmy ten kawałek.

Wcale ów kawałek nie był taki malutki — wracając do Dorohuska zmierzaliśmy długość polnej drogi. Wyszło, bagatela — 4 kilometry... Nie tylko ludzie nie wytrzymywali corocznego naporu żywiołu, który zabierał wszystko, co napotkał po drodze. Taki los spotkał między innymi stary cmentarz unicki (drugi, położony wyżej, w szczątkowej formie ocalał). Wielu spośród mieszkańców Kolemczyc opuściło wieś, osiedlając się niedaleko, w Dorohusku, Husynnem czy Turce. Zostali najtwardsi, lecz i oni zdają się powoli rezygnować. Nie, nie dlatego, że Bug znowu wylewa.

— To szkoda słów — stwierdza przygnębiony Prucnal. — Rzeka nas nie zmusiła do ucieczki, ale zmuszą warunki życia.

— Jeszcze niedawno Leszek — przypomina sobie weterynarz — wraz z sąsiadem odwozili co roku do punktu skupu tyle sztuk cieląt, że nie każda wieś w całości tyle hodowała...

— A teraz — przerywa Prucnal — zostawiłem dwa cielaki. Po co mam się męczyć, skoro nigdzie tego nie sprzedam. Z produk-

cją roślinną to samo. Weź pan buraki — zamknęli punkt skupu. Chcesz buraki uprawiać — to wywieź je jesienią do Rejowca.

Idziemy nad Bug. Trudno uwierzyć, że ta cicha, leniwie płynąca rzeka zniszczyła życie wielu ludziom.

— Ładnie tu — zgodnie stwierdzają obaj moi rozmówcy. — Cisza, spokój. Nic, tylko jakiś ośrodek wypoczynkowy założyć. Mógłby jednak być kłopot z kąpielą. Widzi pan — pokazuje Prucnal drugą stronę Bugu. — O tam, ta wieża; tam siedzą i pilnują. Tu na brzegu też siedzą, tyle że ich nie widać.

Po drugiej stronie taka sama cisza, jest w niej jednak coś nienaturalnego. Może powoduje to ten biegnący wzdłuż rzeki szeroki, równo zabronowany pas ziemi.

— Nie ma żadnej możliwości nielegalnego przejścia granicy. A i legalnie też nielatwo. Szkoda, że nie można z Ukraincami pohandlować przez rzekę. Miałbym gdzie sprzedać te kartofle czy zboże, które zbiorę jesienią.

Nie widać śladu jakiegos niechęci do Rosjan czy Ukrainców, a przecież przed ponad czterdziestu laty rozegrał się tu straszliwy dramat. Rzezie i mordy głęboko powinny zapaść w pamięci.

— Jak długo można — jakby sam siebie pyta Bender. — Tutaj, w okolicach Dorohuska, zamordowano mi dziadka. Różne koleje losu sprawiły, że po latach wróciłem na te tereny. Pokazali mi ludzi, którzy brali udział w tym mordzie. Żyją do tej pory i co, mam pistolet wyciągnąć i zastrzelić ich?!

Ludzie przekazują więc sobie z pokolenia na pokolenie wiedzę o tamtych latach. Nie ma w tym jednak akcentu nienawiści. Świadomość krzywd doznanych w przeszłości nie neguje możliwości istnienia normalnych międzyludzkich stosunków. Mieszkańcom nie przeszkadzają tłumy gości z prawego brzegu Bugu, których znaczna część pozostaje przecież na terenie gminy Dorohusk. Przeciwnie — sami ich zapraszają. Wystarczy zajrzeć do pokoju nr 2 w Urzędzie Gminy. Tam właśnie wystawiane są zaproszenia dla sąsiadów. Częste są sytuacje „wyrabiania” przez jedną osobę nawet dziesięciu zaproszeń. Z reguły w rubryki blankietu wpisywani są: „kuzyn” lub „kuzynka”. Zdaniem wójta, Zbigniewa Goldy, tych zaproszeń z terenu gminy wysłała się już nie dziesiątki, ale tysiące.

— Ukrainców u nas — mówi — jest ciągle pełno. Dosłownie w każdej minucie u kogoś tutaj przebywa kilka osób. Wyjeżdżają także i nasi.

Wyjazdy Polaków podyktowane są często sentymentem. Wielu spośród nich wywodzi się z okolic leżącego naprzeciw Dorohuska Jagodzina. Jak opowiadał mi kiedyś Eugeniusz Lejman ze Świerż, właśnie do Jagodzina przesiedlono po wojnie połowę jego wioski. Jedynym kryterium obowiązującym wówczas było wyznanie. Za Bugiem znaleźli się więc wszyscy prawosławni, często przecież spokrewnieni z katolikami. Jest więc kogo odwiedzać.

— Ludzie są zainteresowani — mówi wójt — takim rozwojem sytuacji na Ukrainie, który sprzyjałby nawiązywaniu bardziej ścisłych kontaktów i współpracy między społecznościami pogranicza.

Wójt zamyslił się, by po chwili kontynuować:

— Zdaję sobie sprawę, że samo zainteresowanie to mało, że trzeba działać. Także poprzez kontakty na szczeblu władz lokalnych. Próbujemy jakoś to wykorzystywać.

Zbigniew Golda nie chce się chwalić, ale to właśnie on zorganizował wyjazd na cmentarz w Rymaczach, gdzie pochowani leżą bliscy wielu spośród mieszkańców gminy. Wiele osób po raz pierwszy mogło w dzień zaduszny zapalić świeczkę na grobie rodziców czy dziadków. W chwili gdy rozmawiamy, przez sąsiedni pokój przewija się tłum ludzi. Przyszli, by zapisać się na wyjazd do Rymacz; pojedą porządkować zaniedbany cmentarz. Strona ukraińska ma zbudować wokół niego ogrodzenie, w zamian otrzyma cement. Ot, taki sobie przykład współpracy. Wiadomo także, że 11 maja do Rymacz wyprawi się kilkusetosobowa grupa Polaków. Tym razem pojedą świętować. Słynny przed wojną w tych stronach odpust na św. Izydora ma szansę przywrócenia do łask. Ukraińcy zobowiązali się do przygotowania małego pikniku.

— Stosunkowo często wyjeżdżam do Jagodzina, bądź Lubomla. Byłem tam nawet wczoraj. Rozmawiałem z mieszkańcami i przedstawicielami władz. Nie stwarzają jakichkolwiek trudności, przeciwnie — sami są zainteresowani nawiązaniem ścisłej współpracy gospodarczej, kulturalnej i rozwojem wymiany turystycznej.

Nikt jednak nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, co trwałego z tego wyniknie. Sytuacja w jakiej znalazł się cały ZSRR nienastraja optymistycznie. Na samej zaś Ukrainie stanął pierwszy (ale czy ostatni?) pomnik Stepana Bandery, wreszcie Ukraińcy wśród herbów „swoich” miast umieścili także herby Chełma i Włodawy. Budzi to niepokój po naszej stronie Bugu, ale bardzo powściągliwie jest komentowane:

— Bóg jeden wie, czy oni rzeczywiście myślą o takiej Ukrainie, która obejmować by miała także nasze ziemie. Jeśli tak... Zdaniem wójta, na Ukrainie wyczuwa się taki stan umysłów,

jak u nas w 1989 roku. Widać wolę do przejścia „własnych spraw we własne ręce”.

Nie przypadkowo wójta pasjonuje tak bardzo sytuacja na Ukrainie. Od jej rozwoju zależy bowiem może przyszłość całej gminy. Zauważmy — gminy, którą w niedalekiej przyszłości spotkać może to, co już spotkało Kolemczycze. Od kilku już lat Dorohusk jest w krajowej czołówce pod względem areалу znajdującego się w Państwowym Funduszu Ziemi. Liczba hektarów PFZ oscyluje bez przerwy w granicach 4000. Powierzchnia ta nie wzrasta na razie wyłącznie dzięki zmianie ustawy regulującej kwestię rolniczych rent i emerytur. Brak do niej przepisów wykonawczych. Chętnych znalazłoby się wielu — wyjaśnia pani Helena Świdarska z Urzędu Gminy.

— Zasadniczy cios zadał nam owczy pęd do parcelacji PGR-ów i Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych, jaki zapanał w 1982 roku. Cztery jednostki znajdujące się w naszej gminie przekazały do PFZ aż 1200 hektarów. Chłopi, na których przecież życzenie to się stało, wzięli zaledwie 350, a i to większość po roku czy dwóch latach wróciła do nas z powrotem.

Ziemia, którą gospodaruje PFZ jest szalenie rozdrobniona, stąd też trudno o nabywców. Owszem, ludzie kupują ziemię w Świerżach, Dorohusku, Okopach, jednak przeciętna wielkość sprzedanej działki waha się w granicach 1,5 ha. Natomiast idąc w górę Bugu, ziemi niechcianej spotyka się coraz więcej — począwszy od Kolemczyc przez Mościska, Ladeniska i Zanowinie. Polska wieś starzeje się, to fakt znany od dawna, ale szczególnie jaskrawo widać to właśnie tutaj. Siedząc w sekretariacie wójta, mam okazję przypatrzeć się ludziom załatwiających w urzędzie swoje sprawy. Bardzo rzadko korytarzem przechodzi człowiek młody. W większości są to ludzie w okoli-



Takie „obiekty” w krajobrazie przygranicznej wsi Kolemczycze należą do pospolitych

cach pięćdziesiątki i starsi. Sytuacja staje się więc paradoksalna — gmina jest ciągle rolnicza, ale rolników w niej coraz mniej.

— W samym Dorohusku nabierałoby się kilkadziesiąt hektarów niechcianej ziemi. Kto ją zresztą ma brać, skoro większość mieszkańców to chłoporobotnicy traktujący gospodarstwo jako dodatkową formę dochodów. Dostyć oczywiste wydaje się więc, że gmina Dorohusk możliwości rozwoju poszukiwać musi gdzie indziej.

Realne szanse otworzyły się wraz z uruchomieniem w ubiegłym roku przejścia granicznego. Ale bez spokoju na Ukrainie — podkreślają w Dorohusku — nie będzie możliwa realizacja wielu zamierzeń inwestycyjnych.

— Przygotowujemy daleko idącą rozbudowę infrastruktury wokół przejścia. Powstanie hotel, stacja benzynowa, baza gastronomiczna. Już teraz wyłączyliśmy w planie przestrzennego zagospodarowania gminy ponad 120 hektarów ziemi pod projektowaną strefę wolnocłową.

Ten ostatni projekt — rzecz jasna w przypadku zrealizowania — może stać się przyczyną, która całkowicie odmieni życie gminy Dorohusk.

— Zaczniemy od początku — mówi wójt. — Procedura załatwiania tej sprawy trwa od lipca 1990 r. Już teraz napływają do nas oferty zainwestowania w budowę zakładów produkujących przetwory rolno-spożywcze. Od masarni i ubojni począwszy, aż do produkcji zdrowej żywności skończywszy.

Są także chętni do uruchomienia działalności w branży tekstylnej, a nawet wikliniarstwa. Ewentualne utworzenie kilku zakładów pracy, rozwiązałoby szereg problemów, z którymi boryka się gmina. Tutaj także odczuwalne są skutki sytuacji ekonomicznej kraju. Coraz więcej jest bezrobotnych, gmina i jej mieszkańcy ubożeją. Uprzemysłowienie tego terenu dałoby ludziom szansę na znalezienie pracy. Także tym z Ladenisk,

Mościsk, Brzeźna, Ostrowa czy Kolemczyc. Na razie realizowane są w Dorohusku rzeczy mniejszej wagi — w pobliżu stacji kolejowej powstał bazar.

Zaskakująco być może zabrzmia stwierdzenie, że szybszej realizacji większych zamierzeń nie sprzyja... demokracja. Demagogiczne spory przenoszą się ze szczebla ogólnopolskiego na szczebel gminy. Z trudem udawało się wyłowić z dyskusji radnych jakiegokolwiek racjonalne argumenty. Bez racji odrzucony też został plan szczegółowego zagospodarowania gminy, co stawia pod znakiem zapytania przyjęty wcześniej plan ogólny. Tym samym przesuwa się w czasie realizacja strefy wolnocłowej.

— Prawie codziennie z różnych rejonów Polski dzwonią do nas ludzie, pytając o możliwości zakupu gospodarstwa — informuje Helena Świdarska.

Może więc wreszcie gmina Dorohusk przebije „ścianę wschodnią”, korzystając z historycznej koniunktury i demokracji opartej na zdrowym chłopskim rozumie, a jeśli takiego nie starczy — choćby na bateryjnym kalkulatorku...

Po całodziennej harówce, w zapadłych nad Bugiem Kolemczycach rodzina Prucnałów sadowi się wieczorem przed kolorowym telewizorem.

— W końcu, u nas nawet lepiej — śmieje się Leszek Prucnal. — Mamy cztery programy i to międzynarodowe, bo dwa z nich przylatują tutaj zza Buga.

Piotr Janowski



POPIERAJMY PRZEMYSŁ SWOJSKI!!!

**SPROBÓJCIE!**  
a przekonacie się, że Wódki Rejowieckie są najlepsze!

Gorzelnia, rektyfikacja i fabryka wódek  
**JÓZEFATA BUDNEGO**

wyrabia następujące gatunki wódek:

**Rejowczanka**  
**Wyborna**  
**Stołowa**  
**Zytniówka**

Wyroby Rejowieckiej fabryki w bardzo szybkim czasie zyskały sobie powszechne uznanie znawców swojemi pierwszorzędnymi właściwościami. Dlatego też dziś każdy, kto zna się cośkolwiek na smaku wódki, pije tylko Rejowczankę.

**Swój do swego po swoje!!**

## *Iluzje pod okupacją*

Andrzej Piwowarczyk

Kino w czasie okupacji hitlerowskiej w Chełmie? Było — to oczywiście. Jest garść materiałów, na podstawie których można ustalić nieco faktów. Trochę wiadomości z kroniki miejskiej w „Chelmer Nachrichten — Wiadomości chełmskie”, tygodniku Ortskommandantur — Komendy Placu Wehrmachtu. Pierwszy numer nosi datę 22 października 1939 r., a więc ukazał się dwa tygodnie po wejściu Niemców do miasta, na podstawie skorygowanej ugody Ribbentrop — Mołotow. Kilka afiszów kinowych ocalonych ze spuścizny po Drukarni „Zwierciadło”. Wreszcie, także ocalone szczęśliwie 2 księgi zamówień, w których zanotowano zamówienie na te i inne druki do końca roku 1940. Wielki żal, że tylko tyle.

Przed wojną utrwalił się tu zwyczaj, jeśli nie obowiązek, ogłaszania zmian repertuaru i informowania publiczności własnymi afiszami, drukowanymi bezpośrednio przed każdą premierą. Drukowano także własne bilety do kin. Z kwietnia 1940 r. pochodzi zamówienie biletów na miejsca od pierwszego do trzeciego i łoża w cenach od 80 groszy do zł 2,40. Natomiast afisze, w zależności od formatu, wielkości tekstu i rodzaju papieru, kosztowały kina w tym czasie od 10 do 18 złotych za przeciętny nakład do 50 egzemplarzy. Była to więc wartość kilkunastu biletów. Są te afisze źródłem pewnym, lecz małym, wręcz skąpym w wiadomości: nazwa kina, tytuł filmu polski lub niemiecki, data — ale nie będzie już chyba innych właściwszych i pełniejszych materiałów do zagadnienia frapującego poznawczo. Jest ono tym bardziej godne uwagi, ponieważ — jak się wydaje — w niewielu miastach, szczególnie mniejszych, są szanse uzupełnienia czymkolwiek wiedzy o kinie z czasów pogardy.

Nie ma też żadnych przekazów o publiczności polskiej — na ile reagowała na hasło „tylko świnie siedzą w kinie”, wymyślone bodaj w Warszawie, i publiczności z czasowych gospodarzy miasta, Niemców i Ukraińców.

Te ograniczone wiadomości są wszakże przyczynkiem do obrazu kultury czasu wojny i to na prowincji, gdzie bardziej niż w większych ośrodkach wyzuto Polaków z dostępu do książki, prasy, radia... Temat tamtego kina był trudny i dla naszych filmoznawców, bo prawdopodobnie z powodu owego hasła nie wypadało stwierdzać, że Polacy do kin jednak wtedy chodzili. Tym niemniej kiedyś musiał wypłynąć. W 1987 r. krakowski Dyskusyjny Klub Filmowy „Kinematograf” zorganizował seminarium na temat życia filmowego i kin w czasie wojny i okupacji. Materiałem były przede wszystkim informacje dotyczące Krakowa i częściowo Warszawy. Powstała z nich książka Jerzego Semilskiego i Jerzego Toeplitza „Owoc zakazany” (Kraków 1987). Jest ona w sporej mierze zestawieniem repertuaru kin polskich w Generalnej Guberni, bardzo pomocnym i tutaj.

Oba kina chełmskie, które we wrześniu miały rozpocząć jedenasty sezon — inaugurowano je w 1929 r. — ocalały i były nienaruszone. Miejskie, w budynku Magistratu, ostatni dzierżawca nazwał „Scala”. Właścicielka drugiego kina, przy ul. Pierackiego 16 (obecnie Mickiewicza), Paulina Donajkova po remoncie i rozbudowie swego warsztatu pracy w lecie 1939 r. przemianowała je na „Bałtyk”.

Miejsc na widowniach było 400 w pierwszym i 600 w drugim kinie. Ceny biletów ustalono na 55, 70, 90 groszy i zł 1,10 oraz odpowiednio 30, 35, 45 i 55 fenigów. Jak już wspomniano, za kilka miesięcy bilety miały podrożeć.

W początkowym okresie, a trwał on do końca grudnia, zarząd wojskowy nie segregował widzów i Niemcom wolno było na widowniach mieszać się z Polakami. Potem, prawie trzy miesiące, kina były nieczynne z powodu trudności zimowych: w „Scali” ponadto zepsuła się instalacja. Wznowily pracę w końcu marca 1940 r.: „Scala” jako kino dla Polaków, większy „Bałtyk” — dla okupantów. Były to już porządki nakazane przez hitlerowski urząd do spraw oświaty i propagandy (Amt für Volksaufklärung und Propaganda). Wkrótce zrobiono rozsadę: „Bałtyk” udostępniono Polakom, a kino miejskie odebrano polskiemu dzierżawcy, wyremontowano, wyposażono w nową aparaturę projekcyjną i od czerwca 1940 r. stało się ono, do końca okupacji, kinem „Nur für Deutsche und Urainer”. Nad wejściem z narożnika ul. Lubelskiej wymalowano napis gotykiem „Deutsche Lichtspiele — Scala”. W lipcu 1944 r. nazwa ta została zanotowana w kadrach frontowej kroniki filmowej operatorów radzieckich i Czołówki Filmowej Wojska Polskiego.

Możliwe jest, że w tym pierwszym okresie do końca 1939 r. Polacy związani z kinami w Chełmie żywili nadzieje na jakąś normalność życia i pracy. Kazimierz Czernicki, w międzywojniu uprawiający z zamiłowaniem grządkę kinową w swoim tygodniku „Zwierciadło” i potem w „Kronice Nadbużańskiej”, otrzymał kartę wolnego wstępu do „Bałtyku”. Ten kartonik stawia pytanie, czy nie spod jego pióra wyszło kilka notatek w „Chelmer Nachrichten”.

Jest więc możliwe odtworzenie listy filmów pokazanych na ekranach obu chełmskich kin, najprawdopodobniej kompletnej, jednak z brakami w rubrykach używanych w opisach filmograficznych. W kilku informacjach w „Chelmer Nachrichten” poza tytułem mówi się najwyżej o czym jest film, mówi z naiwną zresztą prostotą. Na przykład *Zemsta kangura*: „to wspaniały film osnuty na tle życia kangurów w Australii... doskonała i żywa gra artystów oraz bohatera filmu kangura Oata... obraz obfituje w przepiękne zdjęcia z przyrody... treść bardzo bogata”.

„Owoc zakazany” nie zna *Zemsty kangura*; zasadnym jest przypuszczenie, że był to film amerykański. Takie różnice między filmografią z „Owocu”, a chełmską rzeczywistością kinową dotyczą także innych tytułów ze „Scali” i „Bałtyku”. Ważne, że taka australijska egzotyka była doskonałą rozrywką i okazją do oderwania się od gnębiącej codzienności, a o to przede wszystkim chodziło. Nie należy oczywiście zapominać, że wszystkie obrazy były akceptowane z punktu widzenia nazistowskich celów i wartości — akceptowane początkowo może przez lokalną administrację wojskową, potem przez centralny urząd podległy Hansowi Frankowi w Krakowie. Mogło to dotyczyć także obrazów przeznaczonych dla Niemców, choć sporo było takich, które mieli tylko oni w swoim Lichtspiele.

Wydaje mi się, że warto tutaj zwrócić uwagę na pewien zbieg okoliczności, czy raczej tytułów. Od 10 maja 1940 r. w „Lichtspiele Baltik” Niemcy z dumą oglądali buńczuczne pełnometrażowe sprawozdanie p.t. *Feldzug in Polen* (Kampania w Polsce). Natomiast w „Scali” dawano w tym samym czasie lwowską kryzysowo-optymistyczną komedię ze Szczepkiem i Tońciem *Będzie lepiej...* Niezamierzony zbieg okoliczności, niezamierzony komizm, niezamierzony komizm, niezamierzona przekora? Kto wie, w maju 1940 r. i takie zestawienia były wymowne.

# DEUTSCHE LICHTSPIELE VERLEGT

von Kino »Baltik«, Pierackistr. 16, nach

## KINO „SCALA“

CHELM, LUBELSKASTR. 65 (RATHAUS).

Eintritt nur für Deutsche und Ukrainer!

Ab 20. Juni 1940 die modernste  
Ton - Apparatur der Welt in Betrieb-

Die Deutsche „Klangfilm - Euronette“.

Im Lichtspielhaus kühler und ange-  
nehmer Aufenthalt.

Polen Eintritt verboten.

PROGRAMMANZEIGEN FOLGEN.



„Bałtyk”, jako pierwszy wznowił projekcje około 20 października, obrazem *Złotowłosa* — miał on być premierą sezonu we wrześniu, choć nie wiadomo czy wtedy otwarto kina. W tej sytuacji zrozumiałe jest przypuszczenie, że jakiś czas korzystano z przedwojennych zapasów taśm. Następnie był *Wielki walc* — byłoby to dzieło Francuza Juliana Duviviera, nakręcone w Ameryce w 1938 r., pokazujące romantycznie parę wążków z życia Jana Straussa?

W „Scali” pierwszą okupacyjną premierą była *Jesebel* Wiliama Wylera, potem dano *Zemstę kangura* i *Atak o świecie*. Oto jego omówienie w „Chelmer Nachrichten”: „piękny film przyjaźni, brawury, poświęcenia się i miłości... akcja osnuta na tle życia kolonialnego wojsk angielskich i ciągłych buntów arabskich w pustyni żywo toczy się przed oczami widzów”. Przecież to istny poprzednik współczesnego ekranowego *Lawrence’a z Arabii*, zapewne amerykańskiej produkcji, bo niczego angielskiego — jak wynika z sumy w „Owocu” — na ekranach wtedy nie tolerowano.

Pierwszego filmu mówionego po niemiecku na chełmskim ekranie należy się domyślać w obrazie z ostatnich dni listopada w „Scali” i z reklamy w „Chelmer Nachrichten”: „wspaniały film dźwiękowy osnuty na tle życia artystów malarzy w Paryżu p.t. *Maria Baszkirczew*. W rolach głównych Hanz Jarej, Szöhe Szakal i Maria Balcerkiewicz. Treść bardzo bogata i urozmaicona. Film grany w języku niemieckim, zaopatrzony w polskie napisy”. Niemiecka wersja tej referencji wyraźniej akcentuje język: „erstmalig in Deutscher Sprache erscheint” — ze słówkiem „zaleca się” dla swoich czytelników i widzów.

Które z listy polskich filmów akceptowanych przez okupanta przewinęły się przez chełmskie ekrany w omawianym okresie? Wystarczy je wyliczyć — wnioski należą do zainteresowanych. W grudniu 1939 r. dano w „Bałtyku”: *Fredek uszczęśliwia świat*, *Serce matki*, *Prawo do szczęścia*. W 1940 r. kolejno od kwietnia do końca maja w „Scali” wyświetlano: *Zapomniana melodia*, *O czym się nie mówi* (z 1939 r.), *Granica*, *Będzie lepiej*, *Strachy*, *Książętko*. Potem znów w „Bałtyku”: *Profesor Wilczur*, *Serce matki*, *Kłamstwo Krystyny* i powtórnie *Będzie lepiej*. Na Boże Narodzenie i Sylwestra był *Żołnierz królowej Madagaskaru*.

Reszta filmów to oczywiście nie polskie, z nielicznymi wyjątkami — niemieckie. Oto tytuły po kolei wyświetlane do końca roku 1939 w obu kinach: *Złotowłosa*, *Jesebel*, *Wielki walc*, *Zemsta kangura*, *Atak o świecie*, *Pieśń słońca*, *Maria Baszkirczew*, *Kaprys markizy Pompadour*, *Wiedeń szaleje*, *Dwa urwisy* (z Patem i Patachonem — amerykański), *Korsarze* (także amerykański, zaległy, z zapowiadanych na wrzesień), *Szept miłości*, *Niezwycciężeni Robinsonowie*.

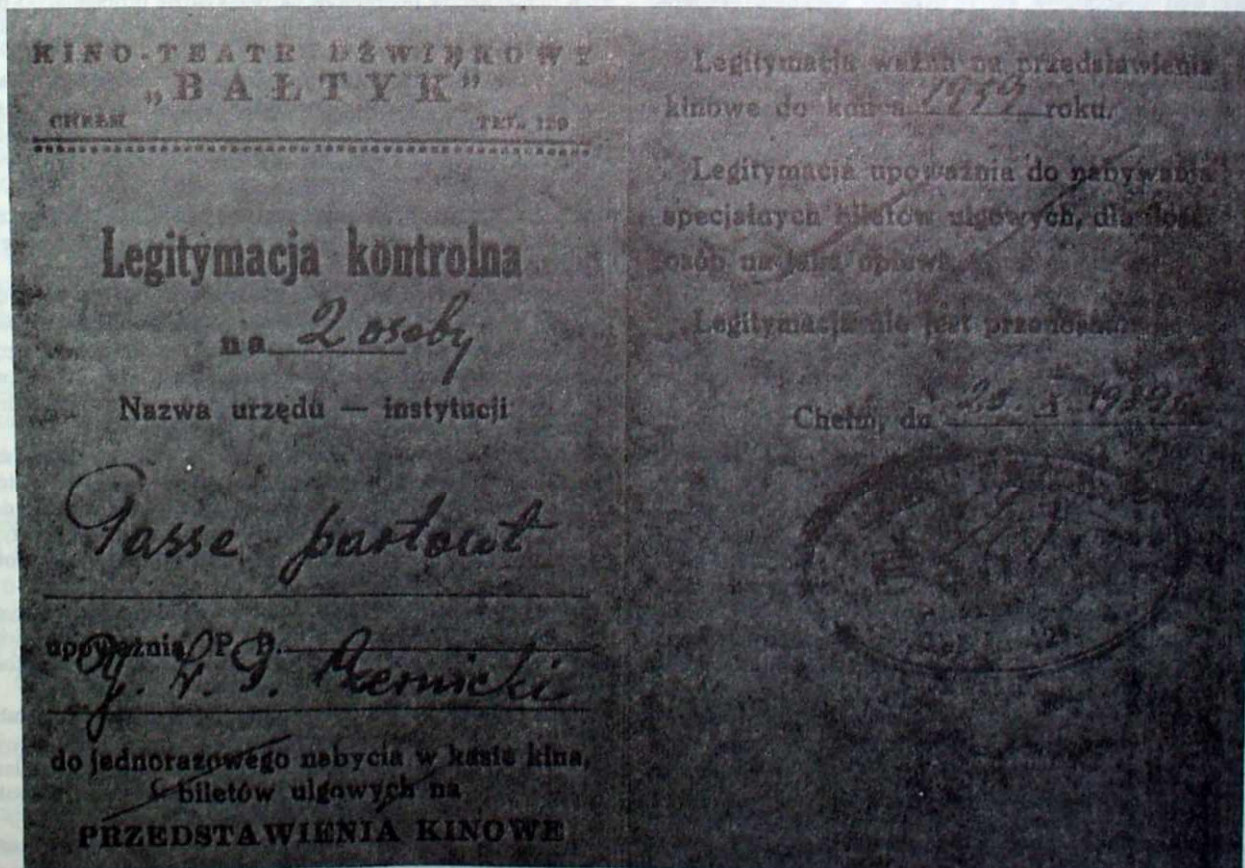
Od wiosny 1940 r. polscy kinomani mieli taką ofertę: *Wstręciuch*, *Szyfr 413*, *Naręczona z przypadku*, *Zew dżungli*, *Uliczni muzykanci*, *Prawo kobiety*, *W cieniu krzyża* (amerykański, reż. de Mille, supergigant z fabułą z czasów Nerona, był w sierpniu 1939 r.), *W pogoni za szczęściem*, *Marnotrawna córka*, *Renata w kwartecie*, *13 krzesel*, *Córka znachora*, *Zatarte ślady*, *Mocny człowiek*, *Jej pierwsze przeżycie*, *Szalona Claudette*, *Córka pocztmistrza*, *Kongo Express*, *Jutro będę aresztowany*, *Bel Ami*, *Komisarz Forst*, *Niebezpieczna gra*, *Tajemnicza nieznajoma*, *Czar lasu*, *Gwiazda nad Rio*.

Za niemieckimi tytułami są też takie obrazy, które udostępniano i polskiej widowni. Około połowy niżej wymienionych nie ma w „Owocu zakazanym”, z czego wniosek, że Niemcy mieli jednak dla siebie obszerniejszą pulę tytułów. Oto one:

*Das unsterbliche Herz*, *Sein bester Freund*, *Gewitter im Mai*, *In letzter Minute*, *Kampf mit der Drachen*, *Ehe in Dosen*, *Feldzug in Polen*, *Der Mustergatte*, *Express Kongo*, *Johannisfeuer*, *Das Abenteuer geht weiter*, *Eine Nacht in Mai*, *Maja zwischen zwei Ehen*, *Anton der Letzte*, *Ich bin Sebastian Ott*, *Nanette*, *Unsterblicher Walzer*, *D. III. 88*, *Drei Vagabunden*, *Geheimniszeichen Lb — 17*, *Diskretion — Ehrensache*, *Die Frau ohne Vergangenheit*, *Morgen werde ich verhaftet*, *Meine Tante — deine Tante*, *Fortsetzung folgt*, *Der Postmeister*, *Kennwort Machin*, *Der Tag nach der Scheidung*, *Casanova heiratet*, *Einer zuviel am Bord*, *Schüsse in Kabine 7*, *Männer vor der Ehe*, *Sommer — Sonne — Erika*, *Barcarole*, *Was wird hier gespielt*.

Pytanie retoryczne: czy Niemcom w 1940 r. w Chełmie wolno było obejrzeć *Będzie lepiej* i *W cieniu krzyża*?

Andrzej Piwowarczyk



# Socjolog na pograniczu

Kończący się wiek, chyba jak żaden inny w ponad tysiącletnich dziejach państwowości polskiej, obfitował w przełomowe wydarzenia. Potwierdzeniem tego jest przede wszystkim dwukrotne odzyskiwanie niepodległości i także dwukrotne zmiany ustrojowe.

W tych doniosłych momentach historycznych niezwykle istotne dla Polski było odzyskanie dawnych ziem, wielokrotnie zmieniających swą przynależność. Skomplikowanemu procesowi ustalania granic naszego kraju towarzyszyły trudne do rozstrzygnięcia kwestie etniczne, które z największą ostrością występują oczywiście na terenach przygranicznych z sąsiednimi krajami, czyli na kresach, często zwanych też pograniczem.

Z doświadczeń historycznych wynika, że im państwo zajmuje większy obszar, tym jego społeczeństwo bywa mniej jednorodne narodowościowo. Najlepiej znanym nam tego przykładem jest Polska. W okresie międzywojennym jej terytorium liczące 388 390 km<sup>2</sup> zamieszkiwała w 70% ludność rdzennie polska, a pozostała część stanowiła wieloetniczna mniejszość narodowa. Należeli do niej głównie Ukraińcy, Białorusini, Niemcy i Litwini, osiedleni w zasadzie na kresach, oraz rozprzestrzenieni po całym kraju Żydzi, Czesi i Rosjanie. Obecnie na znacznie mniejszym obszarze, bo wynoszącym 312 520 km<sup>2</sup>, mniejszość narodowa liczy około 3%. Określenie składu narodowościowego każdego społeczeństwa państwowego, w tym i naszego, bywa zwykle dyskusyjne i prawnie przybliżone, bowiem samoidentyfikacja narodowa niektórych osób, zwłaszcza zamieszkałych na kresach, ulega sporym wahaniom. Zależnie od koniunktury gospodarczej sąsiadujących państw maleje lub wzrasta liczebność mniejszości narodowej albo przynajmniej tych mieszkańców, którzy wskazują podwójną tożsamość etniczną.

Ostatnio można nawet mieć wrażenie, że w Polsce pojawiła się kolejna fala mniejszości narodowych, bowiem coraz głośniejszą są artykułowane jej rozmaite interesy i problemy. Dotyczy to w poważnej mierze pogranicza wschodniego, którym z rosnącym powodzeniem publikacyjnym zajmuje się przede wszystkim białostocki ośrodek naukowy, zwłaszcza reprezentujący go historycy i socjologowie.

Jednym z jego przedstawicieli najwierniejszych problematyce zamieszkałych na kresach wschodnich mniejszości narodowych jest Andrzej Sadowski — główny twórca białostockiego środowiska socjologicznego. Osobliwą syntezą i podsumowaniem ponad dwudziestoletnich jego badań jest rozprawa *Spoleczne problemy wschodniego pogranicza*, która zasługuje na wysokie uznanie i omówienie w niniejszym kwartalniku jako jednym z nielicznych w kraju preferującym problematykę kresów wschodnich.

Zasługą autora omawianej pracy, godną podkreślenia z metodologicznego i społecznego punktu widzenia, jest reanimowanie i ponowne popularyzowanie w polskiej socjologii pogranicza jako terenu badań. Zamieszkuje go z reguły ludność zróżnicowana etnicznie, dwujęzyczna i o podwójnej mentalności narodowej, zwanej graniczną. Problematyką tej kategorii mieszkańców naszego kraju do niedawna badacze mogli się zajmować w ograniczonym zakresie.

Ta ponad trzystustronicowa publikacja, z wielu względów wartościowa i interesująca, składa się z dziesięciu objętościowo istotnie zróżnicowanych rozdziałów, np. czwarty stanowi trzecią jej część, a niektóre są kilkunastostronicowe. Większość z nich ma ponadto podrozdziały, w tym i takie, które są większe niż niektóre rozdziały. Całość rozważań opiera się na solidnej bazie źródłowej. Świadczą o tym zasobne przypisy, pełniące także rolę bibliografii, i aneks. Zawiera on tabele obrazujące wyniki głosowania z 4 czerwca 1989 roku na senatorów w woj. białostockim z podziałem na etnicznie zróżnicowane rejony i tekst obszernego kwestionariusza wywiadu, którym w końcu lat osiemdziesiątych objęto 620 respondentów z gminy Narew i Nowy Dwór.

O metodologiczno-teoretycznych walorach rozprawy A. Sadowskiego najwymowniej świadczą dwa początkowe jej rozdziały. Pierwszy przedstawia pogranicze jako kategorię badawczą i teren badań o problematyce ponętnej dla socjologa empiryka. Drugi natomiast ukazuje bazę źródłową wykorzystaną w rozprawie oraz jej założenia teoretyczno-metodologiczne, w tym metody gromadzenia i analizy danych dotyczących mieszkańców pogranicza wschodniego. Zamieszkuje go ludność skazana na koegzystencję, niekiedy nawet z członkami rodzin i najbliższymi sąsiadami o odmiennej tożsamości narodowej, religijnej i kulturowej. Ta specyfika istotnego zróżnicowania wymaga od badacza rezygnacji, na ile tylko jest to realne, z ujawniania własnego systemu wartości i samoidentyfikacji narodowej, co w praktyce, jak podkreśla A. Sadowski (s. 14-15), jest skomplikowane. Mimo świadomości tego zjawiska i towarzyszącej mu pułapki, zapewne wbrew intencjom i własnej woli, autor ten sam niekiedy w nią wpada. W analizie niektórych kwestii przyjmuje on rolę rzecznika interesów mniejszości narodowej dominującej na Białostocczyźnie spośród innych, które do niedawna także odczuwały ograniczenia w kulturowaniu swojej kultury, religii i tradycji etnicznej.

Najbardziej interesujący, i to nie tylko dla wąskiego kręgu profesjonalnych badaczy, ale i dla „masowego” czytelnika, wydaje się być rozdział trzeci, mówiący o przejawach codziennego współżycia Polaków i Białorusinów zamieszkałych na wschodnim pograniczu, wykraczającym poza granice woj. białostockiego. W tym kluczowym i najobszerniejszym, bo prawie stustronicowym rozdziale autor na początku jakby ponownie podkreśla metodologiczne osobliwości badań socjologicznych mieszkańców pogranicza na przykładzie problematyki białoruskiej, wobec której emocjonalnie pozostaje on obojętny, tak jak i jego respondenci oraz inni informatorzy.

Analizuje on tu tak istotne kwestie jak konsekwencje i praktyczne znaczenie przynależności narodowościowej mieszkańców pogranicza w ostatnich dziesięcioleciach, autodefinicje tej przynależności oraz różnorodne przejawy koegzystencji Białorusinów i Polaków wyrażające się między innymi w obchodzeniu świąt religijnych, zawieraniu i funkcjonowaniu małżeństw etnicznie mieszanych itp. Omawia także autor w tym rozdziale zjawisko stereotypów narodowościowych oraz procesy asymilacyjno-integracyjne obu tych zbiorowości etnicznych.

Rozdział czwarty, piąty i szósty tematycznie są niemal jednorodne, bo dotyczą w zasadzie świadomości społecznej mieszkańców badanego pogranicza. Wyrażają oni opinie i poglądy o warunkach egzystencji i pracy w środowisku lokalnym, ujawniają własny system wartości i uwarunkowania realizacji celów życiowych oraz czynniki różnicujące świadomość społeczną jednostek i różnych grup.

Kolejny rozdział, czyli ósmy podobnie jak i następny mogłyby stanowić samoistne opracowania, choć bliskie są wiodącej tematyce rozprawy. Ukazują one procesy migracyjne ludności wiejskiej do miast oraz etniczno-wyznaniowe uwarunkowania zachowań wyborczych mieszkańców woj. białostockiego na przykładzie ostatnich wyborów do parlamentu z czerwca 1989 roku.

Próbę całościowego podsumowania i uogólnień wypływających z zawartych w publikacji rozważań oraz nagromadzonych doświadczeń badawczych ujął autor w rozdziale dziewiątym, jako merytorycznie ostatnim, bo następny jest już aneksem.

Nie mogę nie wspomnieć, że recenzowana praca mogłaby być redakcyjnie lepiej opracowana bez pośpiechu. Jej problematyka jest rzeczywiście istotna i aktualna, dlatego mimo niskiego nakładu, bo tylko 250 egzemplarzy, zasługuje na spopularyzowanie w społecznościach etnicznych zamieszkałych na Kresach Wschodnich.

**Stanisław Kosiński**

Andrzej Sadowski, „Spoleczne problemy wschodniego pogranicza”, Białystok 1991, s. 307, n. 250 egz.

# Wspomnienia wygnanej

„O ile Warszawa była i pozostała moją miłością, Lublin — stał się moim przeznaczeniem”. Tymi słowami wyjaśnia Krystyna Modrzewska, dlaczego do książki wspomnieniowej wybrała ze swej biografii rozdziały związane z miastem nad Bystrzycą — czasy uczniowskie i studenckie oraz lata pracy naukowo-dydaktycznej. Córka lekarza pochodzenia żydowskiego, wraz z rodziną przyjechała ze stolicy do Lublina w 1929 r. jako dziesięcioletnia dziewczyna i przebywała tu do 1940 r. Wróciła w 1944 r., by podjąć studia w UMCS, trwające do 1948 r. Po ośmioletniej rozłące z „miastem swego przeznaczenia” zamieszkała w nim ponownie, już jako antropolog i lekarz, wiążąc się z macierzystą uczelnią oraz z Instytutem Medycyny Pracy i Higieny Wsi. Lublin i Polskę opuściła na stałe w 1969 r.

Wszelkie wspomnienia, nawet gdy autor jak najbardziej stara się zachować dystans wobec otoczenia i zdarzeń, są subiektywne. Krystyna Modrzewska pisząc o swym dzieciństwie wyznaje: „już wtedy umiałam widzieć tylko egocentrycznie”. I taka optyka wzmacnia się wraz z tokiem narracji. Zasięg odnotowywanych obserwacji zawęża się. Wspomnienia z lat szkolnych to opis Lublina międzywojennego, pełen drobiazgowych realiów i zwięzłych charakterystyk szerokiego kręgu ludzi: członków rodziny i ich znajomych, nauczycieli, koleżanek, postaci z ulicy i ze sklepów... Z upływem czasu, już w okresie pracy naukowej i dydaktycznej, pole widzenia ogranicza się do środowiska akademickiego czy instytutowego. Dlatego czytelnicy różną uwagą będą obdzielać poszczególne partie książki. Miłośnik czy nawet historyk dawnego Lublina będzie smakował faktograficzne szczegóły z centrum Lublina w latach trzydziestych, ktoś inny — z plotkarską ciekawością, irytacją lub aprobatą — skupi się na stronach odmalowujących bez sentymentów środowisko UMCS.

Można by posądzać Krystynę Modrzewską, że bierze odwet za szykany, które doprowadziły ją do opuszczenia uczelni i kraju w 1969 r. Ale autorka jest surowa w sądach również wtedy, gdy pisze o rodzinie, a w stosunku do siebie samej nie powstrzymuje się od obnażenia sfery własnej intymności.

Warto zatrzymać się jeszcze przy wzmiankowanej już źródłowej warstwie książki. Jej wartość dokumentalna jest nie do przecenienia. Kto dziś pamięta: taksówkarza (nr 1) Ciszewskiego, wędliny od Suchodoła, szewca Dąbrowskiego „w głębokiej suterenie domu, gdzie mieścił się kinoteatr „Stylowy”, okrągłe wafle firmy „Framboli” zwane „kaprysami”, kupca Konopkę na ul. Peowiaków sprzedającego pończochy fildekosowe, pana Konstantego Juszkę, intrologatora w podwórzu hotelu „Europejskiego”, który oprawione książki osobiście odnosił „po

fajrancie i przysiadł w gabinecie ojca na chwilę pogawędki i pofilozofowania. Zawsze godny, w wysokim sztywnym kołnierzyku z odgiętymi różkami, w meloniku...”?!  
Jeżeli ktoś podejmie się kiedyś napisania książki z gatunku „życie codzienne w...”, znajdzie tu nigdzie indziej nie zanotowane przyczynki i anegdoty. I to nie tylko z Lublina. Jak choćby ta o doktorze Górnickim z Lubartowa, który „stałe nosił maciejówkę i buty z cholewami”, a w gabinecie miał słoje z utrwalonymi w formalinie preparatami.

— Objaśniał nam:

— To jest wyrostek robaczkowy sędziego...

— Tutaj mam palec, wokół którego chłop okręcił lejce i konie poniosły.

— Tu jest śrut z kawałkiem poślodka kłusownika..., ale dłubanina...

— W tamtych słoikach jest po pół kilo wyrwanych zębów...”.

Krystyna Modrzewska utrwala też sytuacje tragiczne. Są to spostrzeżenia osoby wrażliwej, lecz potrafiącej wyrazić swe odczucia bez egzaltacji i patosu.

„10 lutego 1940 roku przybył do Lublina transport jeńców wojennych, szeregowych i podoficerów — Żydów [...]. W nocy, która była wyjątkowo mroźna, pognano jeńców w kierunku Białej Podlaskiej, gdzie był podobno jakiś obóz jeniecki. Żaden z nich do niego nie doszedł. Następnego ranka jadący do miast chłopci zbierali porzucane wzdłuż drogi skostniałe zwłoki w polskich mundurach. Zapelnili się nimi kostnice wszystkich lubelskich szpitali. Byłam w jednej z nich. Pamiętam tamtych dziewięciu. Dotykałam ich rąk, które wydawały odgłos suchego drewna. Grudki śniegu wokół wylotu kul zachowały żywy czerwony kolor...”.

Gdyby żył Józef Kasperek, uzupełniłby swą kronikę wydarzeń w okupowanym Lublinie tym nie odnotowanym dotychczas dramatem. Z jednej strony faktografia, z drugiej — przeżycie dwudziestoletniej dziewczyny przekazane lapidarną prozą jakby ze stronic Izaaka Babla.

Krystyna Modrzewska opuściła Lublin w następstwie antysemickich szykan „pomarcowych”. Przy czytaniu finału jej wspomnień przypomina się wykreowana przez Andrzeja Szczypiorskiego Irma Seidenmann, przeżywająca w paryskiej samotności gorycz wygnania.

mk.

# Od Konfucjusza do Kotarbińskiego...

...czyli spojrzenie na najstarszą i współczesną refleksję nad moralnością proponują autorzy *Słownika etycznego*, który ukazał się w 1990 roku nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Słownik jest piątą z kolei pozycją wydaną w serii opatrzonej symbolem *Wartości*. Został on opracowany, tak jak pozostałe książki tej serii, w ramach prac badawczych Resortowego Programu Badań Podstawowych Ministerstwa Edukacji Narodowej *Wartości i wartościowania w strukturze filozofii, w poznaniu naukowym i w praktyce społecznej*.

Idea *Słownika*, jako pierwszej tego typu publikacji w Polsce, narodziła się w Zakładzie Historii Myśli Społecznej Wydziału Filozofii i Socjologii UMCS i tam też ostatecznie została zrealizowana przy współudziale Komitetu Głównego Olimpiady Filozoficznej oraz pracowników z ośrodków uniwersyteckich Warszawy, Krakowa i Torunia.

W efekcie kilkudziesięciu autorów starało się przekazać w siedmiuset hasłach osobowych, rzeczowych i problemowych obraz przebogatej tradycji i stan dzisiejszego namysłu nad istotą dobra i zła, nad tym co słuszne, sprawiedliwe i godne; nad doskonałością i ułomnością ludzkiej natury, kryteriami moralnego wyboru, sensem życia, źródłem norm moralnych, miejscem moralności wśród innych systemów normatywnych regulujących życie społeczne oraz nad całym zespołem problemów traktujących o moralności jako dyscyplinie wyznaczającej stosunek człowieka do samego siebie, do innych ludzi oraz — w przypadku moralności wypływającej z określonej doktryny religijnej — stosunek człowieka do Boga.

Redaktor *Słownika* prof. Stanisław Jedynek podkreśla we *Wstępie*, że publikacja ta w szczególności przeznaczona jest „[...] dla nauczycieli i uczniów różnego typu szkół, jako materiał pomocniczy do zajęć z propedeutyki filozofii, etyki i religioznawstwa [...], dla studentów szkół wyższych i uczniów, uczestników olimpiady wiedzy filozoficznej”, gdyż obejmuje swym zakresem „główne kategorie i pojęcia etyki, a także [...] sylwetki najważniejszych badaczy i szkół filozoficznych podejmujących problemy filozofii moralności.”

Generalnie jednak „*Słownik* jest przeznaczony dla wszystkich tych, którzy interesują się problematyką etyczną i chcieliby swoje wiadomości w tym względzie poszerzyć, sprawdzić czy utrwalić.” Przywołanie bowiem postaci żyjącego w VI w. p.n.e. chińskiego mędrca Konfucjusza i zmarłego w 1981 r. twórcy etyki niezależnej, Tadeusza Kotarbińskiego, symbolizuje w tym wypadku odwieczność i niezbywalność funkcjonowania w różnych kulturach refleksji nad zjawiskiem moralności. *Słownik* prezentuje bowiem istotę koncepcji etycznych nie tylko takich myślicieli, jak Sokrates, Platon, Arystoteles, św. Augustyn, św. Tomasz z Akwinu, Kant, Hegel,

Nietzsche czy Sartre, ale i współczesnych nam (np. A. Sacharowa, A. Solżenicyna, K. Wojtyła i innych), odzwierciedlających w swych poglądach i kształtujących poprzez niedzisiejszą kondycję moralną świata

Z tych też względów zwrócono uwagę na normatywny charakter największych doktryn religijnych: chrześcijaństwa, islamu (arabska etyka), buddyzmu, hinduizmu (indyjska etyka), judaizmu (żydowska etyka), daoizmu i innych oraz na etyczne aspekty niektórych współczesnych nurtów filozoficznych, np. egzystencjalizmu, marksizmu, personalizmu, tomizmu, pragmatyzmu. W innych hasłach problemowych skupiono się na prezentacji moralnych dylematów, jakie niesie ze sobą rozwój współczesnej nauki i techniki.

Ze zrozumiałych powodów autorzy *Słownika*, omawiając poglądy znaczących teoretyków moralności, stosunkowo dużo uwagi poświęcili polskim myślicielom. Nie sposób w tym miejscu nie podkreślić, iż znajdujemy wśród nich postaci związane miejscem urodzenia bądź działalnością z Lubelszczyzną i najbliższymi jej regionami. Mam tu na myśli m.in. urodzonych w Lublinie: czołowego ideologa Narodowej Demokracji, zwolennika tzw. etyki narodowego egoizmu Zygmunta Balickiego, psychologa i pedagoga Jana Wł. Dawida, etyka katolickiego Adama Jacka Woronieckiego; urodzonego w Maziarni (Chełmskie) wybitnego pisarza młodopolskiego, krytyka i filozofa Stanisława Brzozowskiego oraz pochodzącego z Rudy koło Chełma dziewiętnastowiecznego filozofa Henryka M. Kamieńskiego, socjologa o światowej sławie Kazimierza Kelles-Krauzy urodzonego w Szczepieszynie, psychologa i filozofa Władysława Witwickiego urodzonego w Lubaczowie; tworzącego w Surhowie (koło Krasnegostawu) głównego przedstawiciela polskiej romantycznej filozofii narodowej Augusta Cieszkowskiego; urodzonego w Prawdzie Łukowskiej socjalistę Jana Hempla; pochodzących z Podlasia: filozofa romantycznego Bronisława F. Trentowskiego (Stoczek) i pozytywistę Aleksandra Świętochowskiego (Opole) oraz urodzonego w Brześciu nad Bugiem historyka i pedagoga Stefana Rudniańskiego; a także filozofów związanych przez wiele lat z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim — Karola Wojtyłę i Tadeusza Stycznia.

Warto o tym pamiętać, nie tylko — jak sądzę — podczas lektury *Słownika etycznego*.

Lech Zdybel

# Figi były nieprzyzwoite

Ostatnio Muzeum Regionalne PTTK w Puławach zaprosiło publiczność do obejrzenia ekspozycji *Styl — moda okresu międzywojennego*.<sup>1</sup>

Wystawa jest pokazem ubiorów i akcesoriów z ubiorem związanych, zaprezentowanych wśród mebli, sprzętów, drobnych przedmiotów osobistych aranżujących fragmenty wnętrz mieszkalnych. Pokazano tu, pochodzące z niezamożnych środowisk mieszczańskich i ziemiańskich, stroje wizytowe, domowe, bieliznę, obuwie i różnorodny dodatki: galanterię i biżuterię. Obok tego, obraz tendencji stylu i mody tamtych czasów przedstawiają krajowe i zagraniczne publikacje żurnalowe. W inny wątek przeszłości wprowadza widza segment, który umownie można nazwać „wystawą w wystawie”, pokazujący różne elementy ubiorów w układach odtwarzających sposób prezentacji strojów w witrynach przedwojennych magazynów i na ówczesnych wystawach przemysłowych.

Ekspozycję urządzono więc w konwencji leżącej na pograniczu muzeum wnętrz i archaizacji typu ensemble. Jak pokazują doświadczenia muzealnictwa, jest to forma odpowiednia i najbardziej skuteczna dla szerokiej popularyzacji wiedzy o przeszłości, zwłaszcza gdy jest to przeszłość niedawna, nie waloryzowana artyzmem czy zamierczością ekspozycji. Elementy dramaturgii i narracji, które taka konwencja wprowadza, powodują, że zdecydowana większość zwiedzających nie pozostaje obojętna wobec pokazu.

Wystawa puławska jest wydarzeniem wartym zauważenia. W naszym regionie jest to zaledwie druga retrospekcja wątków kultury materialnej środowisk mieszczańskich i ziemiańskich dwudziestolecia międzywojennego. Pierwszą przedstawiło Muzeum Wsi Lubelskiej w 1989 r. wystawą *Coraz krótsza pamięć*, która spotkała się z żywym odbiorem, wyraźnie wskazującym na rosnące zainteresowanie tym przedmiotem (wystawę odtworzono we wnętrzu Skansenu w kwietniu b.r.). Setki różnorodnych przedmiotów, układających się we fragmenty wnętrz: sklepowych, usługowych, mieszkalnych, dały tam szansę poznania kilku mało znanych wątków z codziennego życia dwudziestolecia międzywojennego. Młodszym pokoleniom pozwoliły na próbę konfrontacji wiedzy i wyobrażeń na temat przeszłości naszego regionu, jego wytwórczości, obyczajowości, stylu życia. Miejmy nadzieję, że wystawa puławska nie jest ostatnią, która spełni podobną rolę.

Jaka jest więc ta miniona przeszłość ujęta w perspektywie przedmiotów wybranych dla wystawy? Jakie elementy pokazanych zjawisk budują nam wizję stylu i mody niezamożnego mieszkańca Lubelszczyzny przed 1939 r.? Prezentowane wyroby pochodzą ze środowisk, gdzie ubiór odgrywał istotną rolę podkreślając status społeczny. Musiał on być zawsze odpowiedni do zajmowanej pozycji. Warto zauważyć, że adresowany do takich środowisk, napisany w latach trzydziestych poradnik sztuki dobrego ubierania się pouczał, że strój powinien też być dopasowany do panujących obyczajów, zaś obyczaje te wymagały, by odrzucać ekspresję kaprysów mody, unikać jej wybryków, dziwactw i przyjmować z niej to, co ogólnie przyjęte. Nietrudno spostrzec, że większość zaprezentowanych ubiorów i akcesoriów ma charakter peryferyjny wobec mód, stylów, tendencji w sztukach dekoracyjnych i użytkowych. Zjawiska tu pokazane mieszczą się w nurcie kontynuacji tradycji i przywiązania do form spokojnych i sprawdzonych. Nie znajdujemy tu stroju, bądź elementu garderoby charakteryzującego się świeżością i fantazją propozycji żurnalowych.

Jakkolwiek wystawa jest tylko fragmentarycznym pokazem tego, co wówczas noszono, daje ona dość wierny obraz stylu panującego we wspomnianych środowiskach. Dawne damy — konsumentki ówczesnej wytwórczości wspominają, iż to, co istotnie określało charakter ich garderoby, rzadko odpowiadało aktualnej modzie. Więcej, zapewniają, że zwykle nie przywiązywały do mody zbyt wielkiej wagi. Ubiór miał być

elegancki, skromny, wygodny, zawsze praktyczny, przy tym z dobrego materiału i wykonany przez doskonałego rzemieślnika. Istotne było tzw. długie trwanie fasonu kreacji i formy dodatków — klasyczny krój pozwalał nosić ubiór przez kilka sezonów.

Konfrontując przedstawione fakty z naszymi wyobrażeniami, mimo woli rozglądamy się za strojem naznaczonym kaprysem jednego sezonu, odwagą awangardowego pomysłu, który mógłby zbulwersować ówczesne autorytety moralne czy instytucje społeczne strzegące dobrych obyczajów, jak to bywało w wielkomiejskich ośrodkach, np. w połowie lat dwudziestych, gdy pojawiły się suknie odsłaniające kolana. Tu natomiast oglądając np. kolekcję bielizny, chcąc nie chcąc przypominamy sobie pouczenia wspomnianego poradnika, że zbyt długie ramiączka halki są nieskromne, że majteczki-figi nieprzyzwoite.

Ale miłośnicy i znawcy dawnych ubiorów łatwo też dostrzegą, że pokaz ten prezentuje obraz dobrych tradycji ówczesnej wytwórczości i handlu. Krawiectwo, które umiało uszyć ubiór odpowiedni do figury i jego szcze-gół wypracować z cierpliwą starannością, dziś budzącą uznanie użytkownika masowej konfekcji. Handel zdolny wyszukać i dostarczyć klientom wszystko, co jest potrzebne i co może się podobać.

Lucja Kondratowicz

<sup>1</sup> Otwarta 22 marca, wystawa czynna była jeszcze w czerwcu br., a więc w okresie, kiedy ten numer „Kamień” skierowano do druku. (red.)



## Lubelska szkoła lojalności

Redaktor Piątkowski, dyrektor Spółki Wydawniczej „Centrum” został pozwany do sądu przez Izabellę Wlazłowską, dziennikarkę, którą zwolnił z pracy. To jest proces o rozumienie dziennikarstwa — powiedział w przerwie rozprawy, toczącej się 23 maja przed Sądem Rejonowym w Lublinie.

Izabella Wlazłowska zaskarżyła zwolnienie z pracy jako nieprawne z przyczyn formalnych. W sądzie rzecz urosła do procesu o prawo dziennikarza do własnego zdania i publikowania tekstów poza macierzystą redakcją.

Głównym powodem zwolnienia — twierdziła na rozprawie adwokat Jadwiga Piątkowska, żona pozwanego, była nielojalność red. Wlazłowskiej wobec pracodawcy, a lojalność to pierwszy obowiązek dziennikarza.

Piątkowski utrzymuje, że Wlazłowska nie realizowała wystarczająco dokładnie „linii programowej” pisma [...].

Aby udowodnić sądowi niekompetencję Wlazłowskiej red. Piątkowski postarał się o zaświadczenie z przebiegu jej studiów. Dziennikarka studiowała na wydziale prawa UMCS. Stosowny kwit opisujący szczegółowo, czego red. Wlazłowska nie zaliczyła wystawił znajomy red. Piątkowskiego [...].

Wlazłowska przedstawiła spis wyróżnień i nagród jakie otrzymała za twórczość dziennikarską, w tym za reportaże sądowe.

Drugim głównym argumentem przeciw Wlazłowskiej miał być fakt, że bez zgody Piątkowskiego publikowała teksty w „Dzienniku Lubelskim”. Dziennikarka twierdzi, że wiązywała się dobrze ze swoich obowiązków redakcyjnych, a w wolnym czasie dorabiała do bardzo niskiej pensji w „Dzienniku”. Tezę tę potwierdziła Ewa Czerwińska, redaktor naczelny „Gazety Domowej”.

Prawie wszystkie teksty wydrukowane w „Dzienniku” Wlazłowska napisała będąc na urlopie, dlatego uważa, że nie uchybiła swoim obowiązkom wobec macierzystej redak-

cji. Praktykę taką, powołany na świadka red. Styrzula (kiedyś „Sztandar Ludu”, potem „Relacje”, dziś „Dziennik”) uznał za niemoralną, gdyż „pracownik na urlopie powinien odpoczywać, a nie pracować” [...].

**Jacek Łęski jr.**

Od „Rozmaitości”: Wyrokiem Sądu Rejonowego w Lublinie red. Izabella Wlazłowska — niegdyś bardzo czynna na łamach „Tygodnika Zamojskiego” — przegrała jednak sprawę. Cdn? Tak, w sądzie II instancji!

## Pierwsza dekada

Janek Przeszczepanek zwany „Cienką Struną” rozparł się wygodnie na krzeselku perkusisty.

— No to teraz im pokażę — powiedział do siebie cicho, a potem nagle skoczył do góry, porwał gitarę i zagrał takiego rokendrola, że aż szyby zadrżały.

— Śmiałościę się z Przeszczepanka! — wołał Janek, biorąc wciąż nowe, coraz ostrzejsze akordy. — Przeżywaliście go „Głuchym Pudłem” i „Cienką Struną”? No to teraz zobaczcie!

— Tato, przestałbyś się już wygłupiać — w drzwiach od garażu stanęła córka artysty, Weronika. Krytycznym spojrzeniem obrzuciła stojące w garażu wzmacniacze, syntezatory, głośniki, generatory dźwięku oraz wiszący na ścianie portret Ludwika Krocka.

Przeszczepanek usiadł z powrotem przy perkusji. Pot zrosił jego siwe włosy, a poziom adrenaliny we krwi zbliżył się do poziomu cholesterolu.

— Dobrze, już dobrze — burknął.

Kiedy za Weroniką zamknęły się drzwi, jej ojciec oddał się rozmyśleniom. Na kogo ta jego córka wyrosła?! Studiuje dwa kierunki równocześnie, czyta jakieś skomplikowane książki, a z gazet — jedynie „Przegląd Filozoficzny”. Nieraz całymi dniami rozmawia przez telefon i to po angielsku. Nie, trzeba ją spisać na straty. Nie ma nawet ćwierci duszy artystycznej. Nie pije, nie pali, ubiera się też tak jakoś... A jakiej muzyki

ślucha! Afrykańskie bębny, indiańskie piszczałki, eskimoskie fujarki z wydrążonych ości.

I pomyśleć, że kiedyś podobały jej się „Żółte terminarze”, „Goniać hipopotamy” i „Puste oferty”, które przy kompletach publiczności śpiewał jej sławny ojciec.

Kiedy Krok zaproponował Przeszczepankowi posadę w Dużym Pałacu, w tzw. środowisku zrobił się szum. „Kto?! — krzychała warszawka — Przeszczepanek?! Przecież on ledwie odróżnia surrealizm od morfinizmu, a z klasyków zna wyłącznie wczesnego Marka Twaina. To, co ostatnio skomponował, jest żenujące: „Ballada o leżeniu na styropianie”, „Twist na cześć Ludwika K.”, „Gdzie się podziały strajki głodowe”.

W krakówku w ogóle nikt nie wiedział, o kogo chodzi.

— Czy to z tych Przeszczepaneków — filologów klasycznych? — pytał na Rynku artysta artystę.

— Iiii... — odpowiadał inny artysta — to bigbitowiec [...].

**Magda Cień**

Od „Rozmaitości”: „Lubelską szkołę lojalności” (w istotnych fragmentach) przedrukowano z „Gazety w Lublinie” (dod. „Gazety Wyborczej”) 1991 nr 79, a odcinek (121) „Przerwanej dekady” — z „Trybuny” 1991 nr 109. Równoczesne wykorzystanie publikacji z takich dzienników miało na celu podkreślenie, że „Rozmaitości kresowe” są absolutnie apolityczne i całkowicie bezpartyjne. Redaktor rubryki klnie się w żywe oczy, że jej zajęcza linia będzie rozwijana i w przyszłości owinie się z uszanowaniem także wokół artykułów z prasy narodowej, wznaniowej, ukraińskiej, a nawet kobiecej i dziecięcej. Na koniec wyjaśnia się, że „Rozmaitości” to nie folwark redakcji i każdy z PT Czytelników ma tutaj pole do popisu, jeśli oczywiście jest człowiekiem myślącym i bystrym, eo ipso — nie wystawiającym na widok publiczny swojej odwagi cywilnej. Jej notowania znów — po krótkotrwałym niżu — poszły w górę, zwłaszcza wśród ludu, co zauważył sam Czesław Miłosz na łamach „Gazety Wyborczej”. A rzeczy

i przymioty cenne należy szanować, traktować niczym jajco ugotowane w cudownym źródleku, które wytrysnęło niedawno w Chełmie. Gdzie, w jakim konkretnie miejscu? Nie ma naiwnych, odpowiemy dopiero po okazaniu w redakcji pokwitowania wpłaty na konto Fundacji „Kamena”:

PKO O/Chełm 11514-66992-132-3.

## Jeszcze raz „Hotel Kamena”

Pierwszy tegoroczny numer „Kamena” ukazał się z opóźnieniem, w czym nie było winy redakcji, która

swoje obowiązki wykonała w odpowiednim terminie. Los wmanewrował nas jednak w modelową sytuację pilnego ucznia, który dbrze rozwiązał w domu zadanie matematyczne z szczęcioma niewiadomymi, ale nie może pochwalić się publicznie swoją sprawnością umysłową, ponieważ „pani od rachunków” odwołała właśnie lekcję z powodu choroby. Chwalić Pana, opóźnienie to zdeformowało tylko jedną, podaną przez nas informację — niestety, dotyczącą hotelu „Kamena” (s. 52), z którym przecież na różne sposoby staramy się zaprzyjaźnić, znajdując zresztą zrozumienie i wzajemność u dyrekcji

całego przedsiębiorstwa, i wśród personelu hotelowej restauracji. Oświadczamy zatem, że wspomniane przez nas uprzednio „niejakie kłopoty finansowe” gościnnego interesu należą do przeszłości; od pewnego czasu firma osiąga bardzo korzystne wyniki ekonomiczne. Wystarczy powiedzieć, że tzw. obłożenie łóżek hotelowych przekracza ostatnio 98%!

Wszystkim pracownikom „Kamena” życzymy nieustającej pomysłowości na tak obiecująco rozpoczętej, nowej drodze życia, prowadzącej niechybnie do prywatyzacji interesu.

K.



Intencje „Kamena” miała dobre, plany — szerokie, lecz na ogłoszoną przez redakcję wystawę „Fotografii Kresowej” wpłynęło tak niewiele prac — za słaba reklama?, mocna konkurencja innych ośrodków?, wyczerpanie się zbiorów prywatnych? — że nie pozostaje nam nic innego, jak tylko opublikowanie tych zdjęć które otrzymaliśmy. Oto jedno z nich, przedstawiające absolwentów kursu krawieckiego we Lwowie. Młody mężczyzna, stojący jako pierwszy z lewej (od widza), to STEFAN JONA, który kilka lat później z żoną Bronisławą z Goździejewskich zamieszkał w Łodzi, a następnie (1956) osiadł w Andrychowie, gdzie długo pracował w tamtejszych zakładach przemysłu bawełnianego (AZPB), prywatnie dorabiając do pensji krawiectwem „ciężkim”, damskim i męskim. Tamże doczekał się emerytury i zmarł w 1983 r. jako człowiek ogólnie szanowany. Pozostałych osób nie udało się zidentyfikować

## Lwowiacy i ich miasto

Wystawa *Lwowiacy i ich miasto*, zorganizowana z rozmachem w Warszawskiej „Zachęcie” i otwarta w marcu br., była niewątpliwie ważnym wydarzeniem, dostrzeżonym i docenionym, tak jak na to w pełni zasługiwała. We mnie jednak obudziła pewne smutne refleksje, z którymi, nie bez wahań, pragnę się podzielić.

Otóż wystawa miała być, w założeniu, plonem konkursu fotograficznego, ogłoszonego m.in. także przez „Przekrój”. Termin nadsyłania prac przedłużano, co by sugerowało, że organizatorom zależało na otrzymaniu jak największej ich liczby. Tymczasem pani komisarz wystawy w audycji telewizyjnej szerze przyznała, że „konkurs był właściwie niepotrzebny, bo do ostatniej chwili znoszono nam różne materiały”. (W warunkach konkursu ogłoszonych przez „Przekrój” nie było mowy o innych materiałach, niż fotograficzne). Również z dość ogólnikowego podziękowania, wyrażonego uczestnikom konkursu na otwarciu wystawy, można było odnieść wrażenie, że tak naprawdę to cała ta impreza mogłaby się bez nich obejść.

O Lwowie mówi się i pisze od pewnego czasu bardzo dużo, na ogół w jednym tonie, „sentymentalno-facjonalnym”, przy czym o swoich wspomnieniach mówią na ogół wciąż ci sami, skądinąd bardzo sympatyczni starsi panowie. Wiedzą i pamiętają dużo — ale czy to jest wszystko?

W czasie premierowego zwiedzania wystawy zaobserwowałam takie scenki: jakiś pan zwoluje towarzyszącą mu rodzinę — „wypatrzył” siebie w gronie absolwentów Wydziału Weterynaryjnego, nie na swoim zdjęciu. Inna starsza pani mówi: „ta dziewczynka z białą kokardą, to ja, tylko co ma znaczyc podpis „Po ślubie”?, rzeczywiście bez sensu w tym kontekście. Czy nie można więc było zorganizować spotkania osób uwiecznionych na eksponowanych fotografiach — jeśli przekraczało to możliwości organizatorów wystawy, to może coś takiego powinno zorganizować Towarzystwo Miłośników Lwowa?

Pan prezes Janicki słusznie zauważył, jak wielką zasługą jest uratowanie tylu dokumentów. Uważam, że należałoby je pełniej wykorzystać niż dla zorganizowania jednej wystawy fotograficznej; i nie wzbierać się przed przyjmowaniem materiałów, dla których na wystawie już miejsca nie było. To praca dla historyków (na wystawie był nawet jeden bardzo znany profesor historii), którą jak najwcześniej powinni podjąć.

Wystawa jednak odwoływała się przede wszystkim do emocji. Moje również poruszyła, choć nigdy we Lwowie nie byłam. W dowodzie osobistym w rubryce „miejsce urodzenia” mam wpisane „Zachodnia Ukraina — ZSRR”, ale nie jest to Lwów, nad czym wiele ubolewała moja matka, lwowianka od trzech pokoleń. Rzekę Bug przekroczyłam jeden raz w życiu, ze Wschodu, na Zachód, w wieku lat trzech, na odkrytej węglarce, a fakt ten i związane z nim okoliczności całkiem dobrze pamiętam. Nie pamiętam, co było wcześniej, ale pewnie coś strasznego, skoro długo mówiono o mnie „perepúdzana” (akcent na „u”), co po ukraińsku znaczy „przerazona”.

„Inter arma silent Musae”. Niekoniecznie. W moim prywatnym księgozbiore numerem 1 oznaczona jest książeczka — bajka dla dzieci pt. „Liskowe wierszyki”. Miejsce i rok wydania: Lwów 1943. Na niej dedykacja: „mojej maleńkiej Hucucie — Taty Bronek, z podróży do Stanisławowa. Monasterok, 30.X.1943 r.”. Była to rocznica ślubu moich rodziców. Mam wiele innych książek wydanych we Lwo-

wie, o Lwowie, lub oznakowanych pieczątką „Ze zbiorów Wawrzyńca Szulca — Lwów”. Mam roczniki „Iskier”, „Plonu”, „IKC-a”, „Filomaty”. Moja matka, Kazimiera Fryderyka Stworzyńska, ukończyła Wydział Filozofii, w zakresie historii, na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie i знаła wartość wszelkiego rodzaju dokumentów. Zresztą, prócz dokumentów i fotografii rodzice nic „stamtąd” nie przywieźli. Z kilkuset wybrałam 33, sporządzając zestaw odpowiadający warunkom ogłoszonego konkursu. Ucieszyłam się widząc reprodukcję jednego z nich w „Przekroju”, ale ucieszyłabym się jeszcze bardziej, gdyby zdjęcie „Ikarii” (bo o nim mowa), wraz z innymi ilustrującymi życie akademickie Lwowa znalazło się w monografii poświęconej Uniwersytetowi Jana Kazimierza, albo jeszcze szerzej — życiu kulturalnemu Lwowa. Mam m.in. indeksy akademickie moich rodziców (ojciec, absolwent Wydziału Przyrodniczego, z dumą pokazywał mi podpisy profesorów Banacha, Ajdukiewicza, Kotarbińskiego), mam świadectwo maturalne mojej matki z Gimnazjum im. Królowej Jadwigi, jedyne państwowe gimnazjum dla dziewcząt we Lwowie. Mam wiele innych leopoldiańców.

Wychowana w atmosferze wspomnień i nostalgii (matka była tak konsekwentnie wierna swemu Miastu, że nie chciała podpisać zrzeczenia się prawa własności do swego domu pozostawionego we Lwowie), ze wzruszeniem i ciekawością jechałam do „Zachęty”, z nadzieją, że być może poznam fenomen tego dumnego miasta („Leopolis semper fidelis”), to były pierwsze poznane przeze mnie słowa łacińskie, no bo później studiowałam filologię klasyczną, tak bardzo ukochanego przez swoich mieszkańców-obywateli, jak o sobie mówili.

W „Zachęcie” zobaczyłam jeszcze kilka innych zdjęć z mojego albumu, i byłby to powód do radości, gdyby nie to, że ich ekspozycja, za sprawą pewnej nonaszalancji organizatorów wystawy, sprawiła przykreś widocznym na nich osobom (zdjęcia sprawiają wrażenie, że należą do zestawów nadesłanych przez dwie różne osoby z Warszawy, a podpisy w ogóle do nich nie pasują). Nie wiem, czym się kierowali organizatorzy wybierając te akurat zdjęcia (amatorskie, raczej brzydkie i nic nie mówiące bez podpisu, ale — uważam — wyjaśnienie należy się „dziewczynie z białą kokardą” (włowiace, odznaczona honorową odznaką maistra Wrocławia, za długoletnią pracę w sądownictwie i opiekę nad dziećmi z rodzin zdemoralizowanych). Otóż „dziewczynkę z białą kokardą” wychowała towarzysząca jej na fotografii pani, dla mnie „babciu” Władysława Grzybowa, też dumna lwowianka, ma więc na grobie we Wrocławiu napis „Obywatelka miasta Lwowa” (ja pamiętam jej wspaniałe strudle, i szcuppaka po żydowsku...). Jej mężem był Daniel Grzyb, budowniczy miasta Lwowa taki miał tytuł (zdjęcie raczej nieciekawe). Ojciec „dziewczynki z białą kokardą”, a mój dziadek Roman Stworzyński (wytworny pan z wypomadowanymi wąsami, w żakiecie — zdjęcie z renowowanego zakładu fotograficznego), był urzędnikiem magistratu lwowskiego, odpowiedzialnym za miejskie wodociągi.

Fakty te są być może mało ważne i ciekawe tylko dla najbliższej rodziny. Myślę jednak, że mogą mieć znaczenie także dla historii Lwowa. Otóż tak się złożyło, że w ubiegłym roku we Wiedniu, ktoś niezbyt zżyliwy Polakom pokazał mi wydaną tam książkę (tytułu nie pamiętam, ale nie sądzę, by warto ją było upowszechnić) — wspaniałą, kolorowy album fotograficzny poświęcony miastom dawnej monarchii austro-węgierskiej, m.in. w Galicji, Bośni i Hercegowi-

nie. To co my nazywamy zaborem, tam jest przedstawione jako misja cywilizacyjna. Obejrzeć można zdjęcia Krakowa, Czerniowiec, Lwowa. O Lwowie można przeczytać, że był najbrudniejszym miastem w Galicji, a domy miał pozabawione „wygód”. Zamiast się oburzać, powołałam się na swoich dziadków — tego, co nadzorował budowę domów (z „wygodami”) i tego, co pilnował wodociągów.

Coś w tym jednak musiało być, skoro lwowiacy, gdy mieli do wyboru budowę wodociągów, czy budowę teatru, wybrali teatr. Fakt, że w Poznaniu istniał także Teatr Wielki (i to za czasów Bierdajewa znakomity) był jedną rzeczą, która mogła pocieszyć moją matkę, pamiętającą wspaniałą operę Przemysła, gdy w roku 1948 zamieszkaliśmy w grodzie Przemysła. Tęskniła jednak za tamtym miastem okrutnie i sprawiłam jej największą przyjemność ofiarowując nowe wydanie „Zegara słonecznego” z dedykacją autora, Jana Parandowskiego, sąsiada z ulicy Domsa. Trochę żałuję, że w oczach organizatorów wystawy nie znalazła uznania piękna fotografia małej dziewczynki (wybrałam ją także dlatego, że odtinięta jest na niej pieczęć znanego we Lwowie fotografa — podobno to się miało w konkursie liczyć — i rok 1912). Dziewczynka siedzi na futrzaku, ubrana jest w białą haftowaną sukienkę, ma skarpetki i śliczne pantofelki, a na szyi złotą „bożę” z wygrawerowaną datą: 5.III.1910 r., cacko sztuki jubilerskiej, bo Lwów miał też znakomitych złotników. Wpatrywałam się z zachwytem w tę fotografię w czasach mego biednego powojennego dzieciństwa. „Bożę” noszę od wielkiego święta. Pojechałam z nią do Warszawy 5.III.1991 r. na otwarcie wystawy *Lwowiacy i ich miasto*. I poczułam się jeszcze bardziej „bezpriorna”.

Z wyrazami poważania

dr Wita Szulc  
Poznań

## „Ekopartner”

Upzejmie informujemy, że ukazał się nowy, wyspecjalizowany, szczególnie przydatny dla zakładów pracy i urzędów miesięcznik poświęcony ochronie i kształtowaniu środowiska przyrodniczego. „EKOPARTNER” stawia sobie za cel służenie praktycznymi i odpowiedzianymi publikacjami oraz radami, które pomocne byłyby w rozwiązywaniu realnych problemów ekologicznych w zakładach pracy i gminach. Pragnie również fachowo popularyzować wiedzę ekologiczną i sozotechniczną, zwłaszcza poprzez prezentowanie obiektywnych opracowań i opinii, zarówno krajowych, jak i zagranicznych. Różnorodna część informacyjna ma umożliwić Czytelnikowi wielokierunkową i aktualną orientację w sprawach ekologii.

Cena jednego egzemplarza miesięcznika wynosi 15000 zł, objętość 40-44 strony, format A4.

Pierwszy i drugi połączony numer „EKOPARTNERA” (kwiecień — maj 1991 r.) liczy 84 strony; cena 25 000 zł.

„EKOPARTNER” rozprowadzany będzie przez wytypowane punkty sprzedaży oraz na zamówienia. Zamówienia (np. kwartalne, półroczne, roczne) prosimy przesyłać pod adresem redakcji. Wpłaty wynikające z dokonanych zamówień prosimy przekazywać na konto: Państwowy Bank Kredytowy III O/Warszawa ul. Jasna 8 nr 370015-8468-132-3.

Redakcja „Ekopartnera”: ul. Malawskiego 7, 00-976 Warszawa, skr. pocz. 71, tel. 48-22-17.



# Alpejskie polonica

Mieczysław Buczyński

Szkic zawiera wrażenia polonisty-slawisty, który miał okazję przebywać przez dwa tygodnie (4 — 17 maja br.) w trzech południowych krajach Austrii: w Karyntii, Salzburgu i Tyrolu oraz próbował znaleźć tam ślady polskości. Trudno nie wspomnieć tu, choćby krótko, o takich oczywistych faktach, znanych wprawdzie każdemu turyście, ale pozytywnie wyróżniających Austrię spośród wielu innych państw: o wyjątkowej urodzie Alp, o estetycznym i dostosowanym do krajobrazu budownictwie, o wręcz idealnej czystości, porządku i organizacji, o niezwykle udanym połączeniu wysokich wymagań i rygorów ekologicznych z doskonale rozwiniętym przemysłem turystycznym, o wysokim poziomie życia mieszkańców. Początkowo zaskakują też obserwatora niewielkie rozmiary miast (dla przykładu: Klagenfurt liczy około 80 tys. mieszkańców, Salzburg około 130 tys., Innsbruck około 120 tys.), ale osiedla południowoaustriackie leżą w kotlinach górskich i nie mogą się rozwijać pod względem terytorialnym.

Położenie geograficzne Austrii i jej historia złożyły się na to, że spory procent mieszkańców tego państwa stanowią Słowianie. W części południowej istnieją zwarte obszary, zamieszkałe przez Słowenów i Chorwatów, są tam dwujęzyczne szkoły, odpowiednie filologie (słoweńska i serbskochorwacka) na uniwersytetach. Już w czasach dawnej monarchii habsburskiej wielu Słowian chętnie osiedlało się w większych miastach austriackich (w Wiedniu szczególnie dużo Czechów i Słowaków). Książki telefoniczne Klagenfurtu, Salzburga i Innsbrucka zawierają po kilkaset nazwisk, będących niewątpliwie polskiego pochodzenia, np. Broda, Dombrowski, Dudzik, Gadocha, Gloss (Głos), Gonschorowski, Gura, Janushevsky, Kisielewsky, Kosiol (Kozioł), Laskowski, Mazurek, Mroz, Musiol (śląskie Musioł), Piekarcz, Posniak (Poźniak), Sloma (Śloma), Tschapka (Czapka), Taschina (Trzcina), Vrubl (Wróbel); w wymowie austriackiej wymowa jest tak silna, że samogłoski przed akcentem i po akcencie mogą ulegać redukcji, np. Meyr (z dawnego Meier), Zaba (Żaba). Właściwością nazwisk w krajach niemieckojęzycznych jest brak zróżnicowania nazwiska według rodzajów, zawsze dominuje forma męska (np. Hilde Kalinowski); w Austrii jednak spotkałem (co jest zjawiskiem rzadkim) ustalenie się formy żeńskiej jako podstawowej, np. Walter Bilka.

Niektórzy z polskich osiedleńców doszli do wysokiej pozycji społecznej i materialnej, jest wśród nich wielu artystów, lekarzy, trenerów, przemysłowców. Np. w miasteczku Wattens koło Innsbrucka mieści się firma Svarowski, znana na całym świecie z produkcji ekskluzywnej biżuterii sztucznej; turyści zachodni uważają za punkt honoru przywieszenie z Austrii, jako suweniru dla najbliższych, jakiegoś wyrobu Svarowskiego.

Polacy, przyznający się do swego pochodzenia, zrzeszają się w ramach organizacji znanych pod nazwami: Strzecha Polska i Towarzystwo Austriacko-Polskie. Ich poszczególne koła liczą od kilkudziesięciu do kilkuset czynnych członków, a najczęstszą formą działalności są spotkania, zwłaszcza tradycyjny opłatek wigilijny. Zdarzają się interesujące przypadki oddziaływania kultury polskiej na rdzennych Austriaków. Tak np. prezesem koła Towarzystwa Austriacko-Polskiego w Salzburgu jest od 22 lat biznesman austriacki, Ferdynand Neureiter, który nie tylko nauczył się mówić bezbłędnie po polsku i zgromadził spory księgozbiór polski, ale nawet zajął się naukowymi badaniami nad kaszubszczyzną; jego kaszubska biblioteka liczy kilkaset tomów, w tym wiele druków XIX-wiecznych i czasopism, napisał on nadto jedyną do

tej pory historię literatury kaszubskiej, wydaną w Gdańsku w 1981 roku.

W ogóle zainteresowanie Austriaków kulturą polską jest żywe i widoczne, a tradycje te sięgają wiele wieków wstecz. W Salzburgu w kościele na Klosterbergu znajduje się ołtarz Wita Stwosza. Mało znany jest fakt, że Stanisław Wyspiański, będąc w roku 1898 na kuracji w Hallu koło Innsbrucka, zlecił firmie „Tiroler Glasmalereianstalt” wykonanie ośmiu witraży, które później znalazły się w prezbiterium kościoła franciszkanów w Krakowie. W Salzburgu bawił przejazdem Fryderyk Chopin, który tak bardzo zainteresował się melodią dzwonów (Glockenspiel), iż specjalnie wdrapał się na górę, by ich dokładniej wysłuchać. W parku pałacowym Mirabell w Salzburgu znajduje się pomnik Mikołaja Kopernika, a uroki tego parku opisywał w wierszach krakowianin, Stanisław Jerzy Lec. Na zamówienie episkopatu salzburskiego, dla uczczenia 1200 rocznicy katedry w tym mieście, Krzysztof Penderecki napisał dwa swoje dzieła: „Czarną mszę” i „Te Deum”. Tradycje muzyczne w Salzburgu są zresztą skrupulatnie zachowywane. Jako rodzinne miasto Mozarta, urządza ono co roku w lipcu festiwal muzyki tego kompozytora, do którego pamięci nawiązują wszystkie niemal suweniry sprzedawane w tym regionie (nawet czekoladki, tzw. Mozartkugel). Na domu przy ul. Kamiennej (Steingasse) wisi tablica upamiętniająca zapomnianego już, tu urodzonego, kompozytora, Józefa Mohra, który w roku 1818 skomponował melodię do popularnej do dziś i znanej na całym świecie kołedy „Stille Nacht, heilige Nacht”. W jednym z teatrów salzburskich (Elisabethbuehne) grano w br. sztukę Gombrowicza.

W Innsbrucku propagatorką kultury polskiej jest lektorka języka polskiego z Instytutu Sławistyki tamtejszego uniwersytetu, dr Beata Pertl, Pawlakówna z domu. Przy współpracy z Instytutem Kultury Polskiej w Wiedniu zorganizowała ona wiele spotkań i imprez kulturalnych (malarskich, muzycznych, filmowych, literackich). W Innsbrucku znajduje się też słynna skocznia narciarska i stadion olimpijski, stąd też mogły być znane nazwiska sportowców polskich, występujących na organizowanych tu olimpiadach czy turniejach w skokach narciarskich. Lektoraty języka polskiego są organizowane na południu Austrii tylko na uniwersytetach w Salzburgu i Innsbrucku.

Oficjalne kontakty między miastami polskimi i austriackimi ograniczają się do rzadkich, kurtuazyjnych wizyt i wymian. Klagenfurt współpracuje z Rzeszowem, uniwersytet w Salzburgu z Uniwersytetem Jagiellońskim (bułgaryści), zaś uniwersytet w Innsbrucku z Uniwersytetem Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (dotychczas ekonomiści i prawnicy). W miastach tych żyje jeszcze pamięć I wojny światowej, kiedy to w roku 1915 wielu żołnierzy austriackich poległo w bitwie pod Gorlicami (upamiętniają to tablice pamiątkowe i nazwy ulic). Ostatnio w ramach polskiej reparytacyjnej zgłosił swoje prawa do browaru w Żywcu jego były właściciel, mieszkający w Salzburgu potomek bocznej linii Habsburgów.

Karyntia, Salzburg i Tyrol to najbardziej oddalone od Polski kraje austriackie, sąsiadujące z Jugosławią, Włochami i Niemcami i im też bliskie pod względem geograficznym, gospodarczym i kulturalnym. Mimo to jednak i tam również można natrafić na Polaków i ślady ich działalności, co usiłowano pokazać w artykule, kierując się dewizą Andrzeja Maksymiliana Fredry: „Cudze rzeczy wiedzieć ciekawość jest, a swoje potrzeba” (1658).

# Kronika wschodnia

\* W marcu z muzeum w Bondyrzu koło Krasnobrodu na Zamojszczyźnie skradziono broń muzealną wartości ok. 50 mln zł. Sprawcy zabrali: 5 karabinów, 2 rkm-y, 5 pistoletów i szablę. Po ewentualnych przeróbkach broń ta może stać się niebezpieczna.

\* 13 marca w Mińsku, z inicjatywy Ośrodka Badań Skarynozawczych, utworzone zostało Białoruskie Towarzystwo Miłośników Kultury Polskiej. Na zebraniu założycielskim obecni byli: konsul generalny RP w Mińsku — Tadeusz Myślik, prezes Związku Polaków na Białorusi — Ryszard Kacyń i Czesław Okinycz — poseł do Rady Najwyższej Litwy. Prezesem Towarzystwa został Janka Bryl — uczestnik kampanii wrześniowej i autor kilkunastu książek.

\* 18 marca odbyło się IV Walne Zgromadzenie Podlaskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, które podsumowało ostatni ponad dwuletni okres funkcjonowania tej organizacji. Przy tej okazji statut Towarzystwa „odchudzone” o połowę i zmieniono nazwę na Towarzystwo Miłośników Podlasia. Nowym prezesem został Grzegorz Michałowski.

\* 24 marca spotkali się na Walnym Zgromadzeniu członkowie Towarzystwa Muzycznego w Chełmie. Poddano analizie efekty pracy zarządu w oparciu o przedstawione sprawozdanie z rocznej działalności. Największe emocje wśród zebranych wzbudziła wcześniejsza decyzja o przekazaniu lokalu i wyposażenia na rzecz Społecznej Szkoły Muzycznej. Na kolejną kadencję prezesem zarządu Towarzystwa ponownie wybrano Teresę Magdziarz.

\* Tegoroczne Konfrontacje Filmowe odbywały się także w kinach naszego regionu i nie ominęły Lublina, Chełma, Świdnika, Zamościa i Tomaszowa Lubelskiego. Ze względu na dość ambitny zestaw zaproponowanych filmów, cieszyły się one umiarkowanym wzięciem u kinomanów.

\* W nawiązaniu do starej tradycji chrześcijańskiej, 24 marca odprawiona została Droga Krzyżowa w procesji ulicami Zamościa. Wierni nieśli na swoich ramionach potężny krzyż drewniany.

\* 3 kwietnia PAP poinformowała, że utworzony w 1817 roku Zakład Narodowy im. Ossolińskich „znajduje się w obliczu rozstrzygnięcia, które określi jego przyszły kształt”. Rozważana jest możliwość ponownego scalenia tej instytucji, aby przywrócić jej stan zgodny z testamentem założyciela. Pojawił się także zwolennicy prywatyzacji „Ossolineum”, które po połączeniu biblioteki z wydawnictwem przekształciłoby się np. w spółkę pracowniczą.

\* Na początku kwietnia, po 45 latach powrócił do Lwowa najwyższy zwierzchnik Kościoła greckokatolickiego, kardynał Myroslaw Lubaczewski, witany przez tysiące Ukraińców. Jego poprzednik, kardynał Jossyf Slipyj, został

aresztowany w 1945 r. przez władze radzieckie i skazany na wieloletnie więzienie. Później mieszkał w Rzymie, gdzie zmarł w 1984 r.

\* 9 kwietnia przestało istnieć Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. W jego miejsce powołano do życia Stowarzyszenie Polska — Związek Radziecki. Prezesem został prof. Andrzej Zawisłak.

\* Pomimo napiętej atmosfery społecznej wywołanej sporem o kościół oo. Karmelitów, 13 kwietnia odbył się w Przemyślu ingres władcy Iwana Martyniaka, ordynariusza diecezji przemyskiej obrządku bizantyjsko-ukraińskiego. Gościny na czas uroczystości udzieliła katedra rzymskokatolicka.

\* Największy niezależny dziennik ukraiński „Za wilnu Ukrainu” (Za wolną Ukrainę) opublikował „Słowo do wierzących”, którego autorem jest wiceprzewodniczący lwowskiej Rady Obwodowej, Mykoła Horyń. Autor zwraca się w nim do grekokatolików oraz prawosławnych z apelem, aby nie pozwolili wciągać się w konflikty religijne, które w ostatnim czasie wybuchają na ziemi lwowskiej. Jak pisze Mykoła Horyń, *droga do życia duchowego wiedzie nie przez określenie „prawosławny” lub „katolik”, ale poprzez myśli i działania, których ideą powinny być: chrześcijańska miłość bliźniego oraz dążenie do wybaczenia win i do pojednania.*

\* W Magazynie Tygodniowym „Polski Zbrojny” (nr 15 z br.) Jacek Wilczur ustosunkował się do „Uchwały Krajowego Prowydu Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów” z 22 czerwca 1990 r., którą opracowano na Zachodzie jako „materiał ściśle tajny, państwowej wagi”. Autor artykułu tak oto streszcza główne tezy dokumentu: „Zgodnie z tą wizją, samostna, potężna Ukraina wchodzi w ścisły alians z Niemcami, dzieli się z nimi strefami wpływów, doprowadza do kolejnego rozbioru Polski. Granica na Wiśle — mniej więcej tak jak zakładali twórcy paktu Mołotow-Ribbentrop. W ciągu 150 lat naród polski zniknie, zniknie na zawsze państwo polskie, zarzewie niepokoju w Europie”.

\* 13 kwietnia Teatr Studio „Budmo” z Kijowa zaprezentował we Wrocławiu spektakl „Duma o braciach nieczowskich” według poematu Liny Kostenko — najwybitniejszej poetki ukraińskiej ostatnich lat. Stało się to za sprawą Ośrodka Badań Twórczości Jerzego Grotowskiego i poszukiwań teatralno-kulturowych.

\* W Wilnie, przez kilka dni w połowie kwietnia trwał przegląd polskich filmów fabularnych. Szczególnie zainteresowanie wzbudziła „Kronika wypadków miłosnych” Andrzeja Wajdy w oparciu o prozę Tadeusza Konwickiego. Pokazano także m.in. „Wodzireja” Feliksa Falka, „Dreszcze” Wojciecha Marczewskiego i „Seksmisję” Juliusza Machulskiego.

\* 16 kwietnia przejechał przez Lublin (bez prawa zatrzymywania się), a dalej przez Chełm i Dorohusk na drugą stronę granicy, pierwszy pociąg ewakuacyjny z oddziałami Armii Radzieckiej. Podobnie było 24 i 26 kwietnia. Lokomotywy zmieniano w Zarzece koło Dębina, a przestawienie wagonów na szeroki tor odbyło się już za Bugiem.

\* Wielotysięczne manifestacje oraz fale strajków paraliżowały od połowy kwietnia Białoruś — najspokojniejszą dotychczas republikę radziecką. Opozycja domagała się spełnienia jej postulatów dotyczących podwyżek płac i spraw politycznych, z dymisją Gorbaczowa i wycofaniem KPZR z zakładów pracy włącznie.

\* 19 kwietnia odbyło się w Zamościu pierwsze spotkanie 11-osobowej grupy założycielskiej Stowarzyszenia Internowanych Zamojszczyzny. Obowiązki przewodniczącego zebrani powierzyli tymczasowo Markowi Splewińskiemu.

\* Od 22 do 28 kwietnia w Sejnach, Wigrach i okolicznych wsiach na Suwalszczyźnie trwały kolejne spotkania z cyklu „Pamięć Starowieku”. Zorganizowały je Fundacja „Pogranicze” oraz Ośrodek Pogranicze Sztuk Narodów Kultury w Sejnach. Na imprezę złożyły się działania teatralne, muzyczne, plastyczne, a także biesiady z udziałem rdzennej ludności pogranicza polsko-litewskiego, starowierców, Ukraińców i Białorusinów.

\* Dr Włodzimierz Mokry, jedyny ukraiński poseł w polskim Sejmie, skierował do Sądu Rejonowego w Białymstoku (III Wydział Karny) sprawę przeciwko Hieronimowi Wawrzyńskiemu, który w „Kurierze Podlaskim” z 27-29 lipca 1990 r. opublikował artykuł p.t. „Duch Bandery żyje”. Publikacja miała identyczną treść jak artykuł Edwarda Prusa opublikowany w katowickim tygodniku „Tak i Nie”. Autor pierwowzoru także został zaskarżony do sądu przez posła W. Mokrego, który twierdzi, że obydwie publikacje przyczyniają się do upowszechniania negatywnego stereotypu Ukraińców w celu poróżnienia ich z Polakami.

\* W dniach 22 — 31 kwietnia trwały w Chełmie i województwie Dni Wydawnictwa „Arkady”. W Muzeum Okręgowym zorganizowano wystawę i kiermasz „Z dorobku edytorskiego Arkady”. Otwarcie imprezy towarzyszyło spotkanie z publicznością prof. Wiktora Zina.

\* Siedem ikon przekazały w kwietniu polskie służby graniczne biskupowi lubelskiemu i chełmskiemu Kościoła prawosławnego Abłowi. Te dzieła sztuki zostały wcześniej przechwycone podczas próby przemytu do naszego kraju; obecnie znajdują się w monasterze w Jabłecznej.

\* Związek Ukraińców w Polsce zamieścił anonsy prasowe o organizowaniu w Polsce wycieczki „dzieciom czarnobylskim z Kijo-

wa". Apel kończy się prośbą do wszystkich ludzi dobrej woli o wsparcie finansowe akcji na podane konto (Bank Gdański, IV O/Warszawa, nr 300009-5467-132, Akcja „Dziociom Czarnobyla”).

\* Mszą w obrzędzie bizantyjsko-ukraińskim, celebrowaną przez biskupa grekokatolickiego Jana Martyniaka w kościele akademickim, rozpoczął się 22 kwietnia IV Tydzień Kultury Ukraińskiej w KUL. Na nabożeństwo „nie przyszedł żaden polski, rzymskokatolicki ksiądz. Nikt z władz uczelni nie pofatygował się, by powiedzieć słowo na otwarciu Tygodnia Kultury Ukraińskiej, organizowanego w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim” (W. Biały w „Gazecie w Lublinie” nr 74). Bezowocne też było szukanie w uczelni zapowiedzianej skromnymi afiszami wystawy fotograficznej „Ingres. Przemysł 13.04.1990” (błąd, powinno być 1991), przygotowanej przez Oresta Kantora i Andrzeja Stepana. Na dyskusji o stosunkach polsko-ukraińskich pojawiło się w wielkiej auli KUL bodaj 60 osób.

\* Od 24 kwietnia ukazuje się tygodnik pt. „Kronika Zamojska”. Będzie interesujące śledzić konkurowanie pisma z dobrze ułożonym na tamtejszym rynku prasowym „Tygodnikiem Zamojskim”. Rzecz w tym, że wieloletnim redaktorem naczelnym „TZ” był właśnie szef nowej „Kroniki”, który w tzw. międzyczasie zdążył też tak pokierować tygodniowym „Przeglądem Kresowym”, że pismo wyniosło się z Zamościa do Chełma, pod innym już kierownictwem, a obecnie (maj) zamieniło się w miesięcznik.

\* 1 maja zmarł w wieku 96 lat Juozas Urbysz, który był dla Litwinów symbolem niepodległości. Od 1938 r. do czerwca 1940 był on ministrem spraw zagranicznych Republiki Litewskiej. Później 13 lat spędził w sowieckich więzieniach. Na Litwę wrócił w 1956 r. Na czele państwowej komisji pogrzebowej stanął obecny minister spraw zagranicznych, Algirdas Saudargas.

\* W przeddzień 200-rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja, w kościele p.w. Rozesłania Apostołów w Chełmie odbył się uroczysty koncert muzyki klasycznej i religijnej. Wykonawcami byli: Krystyna Szostek-Radkova (mezzosopran), Joachim Grubich (organy), Lech Gąsior (skrzypce) i Anna Krzyżanowska (słowo). Koncert zorganizował Miejski Ośrodek Kultury w Chełmie, który cały dochód z imprezy przeznaczył na remont dachu zabytkowego kościoła.

\* Powstała w lutym 1990 r. „Gazeta Krasnostawska” popadła ostatnio w ciężki kryzys personalno-programowy, który 4 maja br. próbowano nawet rozwiązać sposobem fizycznym. Wezwana na pomoc policja zademonstrowała zdrowy rozsądek, nie opowiedziała się po żadnej ze stron sporu i opuściła redakcję, zalecając zważnionym wydawcom i dziennikarzom wizytę u prawnika.

\* 6 maja przebywał w woj. chełmskim sekretarz gen. Centralnego Komitetu Wykonawczego SdRP Leszek Miller. Podczas dwóch

otwartych zebrań spotkał się on z mieszkańcami Hańska i Chełma. W wystąpieniach prezentował założenia programu gospodarczego SdRP, jako alternatywę dla planu Balcerowicza.

\* 11 maja we wsi Rymacze po drugiej stronie Bugu odbyły się uroczystości odpustowe ku czci św. Izydora. Nabożeństwo odprawiono przed bramą zniszczonego i zamkniętego kościoła. Było to pierwsze tego typu święto w tych okolicach po 45 latach, reaktywowane za sprawą władz gminnych Dorohuska oraz wiernych z dawnej parafii Rymacze, którzy w większości mieszkają obecnie w woj. chełmskim. Ze strony polskiej w pielgrzymce odpustowej uczestniczyło ponad 500 osób.

\* Przez trzy tygodnie (do połowy maja br.) trwał w Sułcu na Roztoczu 14 plener artystyczny, zorganizowany wspólnie przez COMUK w Warszawie i WDK w Chełmie. Mottem tegorocznych spotkań były „kwitnące sady”. W plenerze wzięło udział 35 osób w tym 10 artystów z Armenii. Wystawa poplenerowa przewidziana jest na wrześień br.

\* Archiwum Wschodnie jeszcze raz zaapelowało o przekazywanie wszelkich dokumentów związanych z historią Ziemi Wschodnich II Rzeczypospolitej i losów Polaków w ZSRR po 7 września 1939 r. do Centrum Dokumentacji w Warszawie (ul. Krakowskie Przedmieście 25). Najcenniejsze dokumenty opublikuje miesięcznik „Karta”.

\* Muzeum Okręgowe w Radomiu przygotowało wystawę pt. „Kozaczyzna”, którą zaprezentowano w maju w Muzeum Archeologicznym w Warszawie. Najcenniejsze eksponaty stanowią efekt poszukiwań pod Beresteczkiem na Wołyniu. Obiekty z wykopalisk wzbogacone zostały obrazami o tematyce kresowej. Z Warszawy wystawa pojedzie do Lwowa.

\* Gazeta Lubelska „Dzień” zadłużyła się na prawie (ponad?) miliard złotych, ale ukazuje się nadal, tyle że z poręki nowego wydawcy, Edwarda Trykacza, zamożnego przedsiębiorcy z Lubartowa. Od 15 maja „Dzień” ma też nowego red. naczelnego, w osobie Bogdana Madeja (ur. 1934), działacza Porozumienia Centrum, prozaika, autora takich książek, jak m.in.: „Młodzi dorodzi ludzie” (1964, debiut), „Piękne Kalalie”, „Maść na szczyry”. Z redakcji zwolniono kilku dziennikarzy, w tym pełniącego dotąd obowiązki redaktora naczelnego. Dodajmy, że swego czasu B. Madej mieszkał w Chełmie, gdzie pracował jako „urzędnik w przemysle budowlanym”.

\* 17 maja odszedł na emeryturę inż. Andrzej Krzyształowicz, długoletni dyrektor stadniny koni w Janowie Podlaskim, pod którego okiem wyrosło aż dziewięć pokoleń słynnych w świecie „arabów”, tyle pięknych, co cennych. Na historycznej liście szefów tej stadniny, założonej w 1817 r. jako zakład państwowy, A. Krzyształowicz zajmuje pierwsze miejsce pod względem dyrektorskiego stażu, a może też pod każdym innym względem.

Podczas uroczystości pożegnalnych wytrawny hipolog zademonstrował na janowskiej Wygodzie 50 koni — na oczach publiczności, wśród której zauważono m. in. wiceministra i wicewojewodę (białkopodlaskiego).

\* Muzeum w Kozłowie (pałac, zbiory realizmu socjalistycznego, lubelski pomnik B. Bieruta w parku) powinno w tym roku „wygospodarować” sposobem własnym ponad półtora miliarda złotych, które dodane do nieco wyższej od tej kwoty dotacji państwowej pozwolą na utrzymanie placówki. Co prawda muzeum oblegane jest przez wycieczki, żywo zresztą zainteresowane sztuką realizmu socjalistycznego, ale jeśli najdroższy bilet wstępu do pałacu kosztuje 10 tys. złotych... Na marginesie: niedawno muzea uznano za zakłady budżetowe: ile zarobią własnym sumptem, tyle stracą na dotacji. Kto to wymyślił?!

\* 17 maja zmarł w Lublinie na zawał serca Janusz Olczak, prozaik i poeta, autor wielu książek, człowiek o wyrazistej osobowości, przyjacielsko usposobiony do świata. Był laureatem licznych nagród w konkursach literackich, m.in. za książki „Białe kołnierzyki” i „Baśń o Wielkim Marandzie”. Swego czasu publikował w „Kamieniu”. Odszedł w 50 roku życia (ur. 24 czerwca 1941 r. w Stołpcach nad Niemnem).

\* Lubelskie Towarzystwo Naukowe od lat pobudza i organizuje wysiłek badawczy różnych środowisk i osób wokół wielowątkowej, historycznej i współczesnej, problematyki, której generalne współrzędne i wektory kształtują najlepiej określa nazwa serii kolokwium: „MIĘDZY WSCHODEM I ZACHODEM”. Przedmiotem ostatniego z nich (18–21 czerwca) była „Historia Białorusi, Litwy, Polski i Ukrainy w ich wzajemnych relacjach”. Na obrady w Pałacu Czartoryskich (siedziba LTN po kosztownym i rzetelnym remoncie konserwatorskim w latach 70.) przybyło wielu wybitnych uczonych ze wspomnianych krajów, a ponadto pojedyncze osoby (historycy, filozof) z Kanady, Niemiec, USA. Było to bardzo pożyteczne, miejscami „gorące”, na pewno interesujące spotkanie — zakończone całodzienną wycieczką uczestników do miejsc i obiektów rozlokowanych na trasie: Lublin — Włodawa — Jableczna — Kodeń. (W następnym numerze kwartalnika obszerniej skomentujemy to VII kolokwium, publikując zarazem jeden z wygłoszonych referatów, życzliwie przekazany nam przez autora. Nie ukrywamy, że „Kamień” odniosła jeszcze inne, bardziej „przeliczone” korzyści z tej sprawnie zorganizowanej imprezy.

# Konserwacja zabytków w województwie chełmskim 1975-1989

Witosław Szczasny

Województwo chełmskie, w granicach ustanowionych po 1 czerwca 1975 roku, stanowi skrawek Rzeczypospolitej przylegający do wschodniej granicy państwa. Trzon historyczny województwa tworzy Ziemia Chełmska: zróżnicowana pod względem krajobrazowym i kulturowym, przechodząca w ciągu długotrwałego procesu dziejowego (od przełomu VIII i IX wieku) różne koleje losu. Różnorodność wpływów na dzisiejszy obraz tej ziemi najogólniej sprowadzić można do długotrwałego ścierania się tu wpływów Polski i Rusi (również, chociaż w znacznie mniejszym zakresie — Litwy). Często przebiegające tędy granice nie hamowały przenikania się wartości materialnej i niematerialnej kultury, co w połączeniu z silnymi wpływami reformacji, dziejami XVIII-XX-wiecznymi (m. in. wpływy austriackie i rosyjskie) oraz szerokim napływem ludności żydowskiej na te tereny ostatecznie ukształtowało oblicze kulturowe obecnego województwa chełmskiego. Te historyczne uwarunkowania stanowią, obok wielu innych, jeden z głównych problemów w pracy służby konserwatorskiej.

W płaszczyźnie ochrony krajobrazu kulturowego województwa odnotować należy: opracowanie w Wojewódzkim Biurze Planowania Przestrzennego, a następnie zatwierdzenie uchwałą ówczesnej Wojewódzkiej Rady Narodowej z dnia 26 maja 1977 roku planu zagospodarowania przestrzennego województwa oraz plany ogólne zagospodarowania przestrzennego wszystkich jednostek administracyjnych stopnia podstawowego.

Problematyka ochrony dziedzictwa kulturowego, zarówno w planie wojewódzkim, jak i w planach miast i gmin, była jednak traktowana raczej przyczynkowo. W zasadzie uwzględniono jedynie konieczność ochrony obiektów zabytkowych. Wynikało to przede wszystkim z faktu, że służba konserwatorska była wówczas (druga połowa lat 70. i początek lat 80.) niedostatecznie przygotowana w zakresie rozpoznania zasobów kulturowych oraz nie dysponowała wystarczającą dokumentacją naukową i techniczną. Dlatego też precyzyjne określenie zakresu ochrony konserwatorskiej sprawiało nam poważne trudności.

W trakcie aktualizowania planów ogólnych miast i gmin oraz realizacji planów szczegółowych (łącznie ok. 70), problematyka ochrony zabytków traktowana była już znacznie poważniej, o czym świadczyć może obligatoryjne kierowanie tych planów do uzgodnień ze służbą konserwatorską, co każdorazowo owocowało formułowaniem wytycznych i propozycji konserwatorskich (szczególnie istotne, że były i są one najczęściej bardzo poważnie traktowane przez autorów końcowych opracowań). O zasadniczej zmianie podejścia do spraw ochrony dziedzictwa kulturowego w województwie chełmskim świadczyć może również, opracowany w 1986 roku przez zespół autorski pod kierownictwem mgr inż. Marii Kubik, „Projekt założeń do regionalnego planu zagospodarowania przestrzennego województwa chełmskiego”. W rozdziale „Zasady polityki przestrzennej” zawarto specjalny podrozdział „Ochrona wartości kulturowych”, a w rozdziale „Wiodące kierunki polityki i gospodarki przestrzennej” w sferze społecznej kształtowania ładu przestrzennego za szczególnie istotne zadanie uznano zachowanie i ochronę wartości przyrodniczych i kulturowych oraz „niezbędne [...] konsekwentne kształtowanie nowych elementów zabudowy w nawiązaniu do naturalnych cech krajobrazu oraz regionalnej specyfiki tradycji architektonicznej [...]”. (Swoistą reakcją służby konserwatorskiej na tę dyspozycję „Projektu” było opracowanie przez mgr. Leszka Samockiego i mgr. Katarzynę Kuryło studium, w którym wyznaczono granice występowania architektury charakterystycznej dla subregionów województwa, stanowiące podstawę do określania wytycznych konserwator-

skich i projektowania architektury współczesnej). Do istotnych zadań polityki przestrzennej zaliczono m.in.:

— kontynuowanie rewaloryzacji zespołów staromiejskich w Chełmie, Krasnymstawie i Włodawie

— ochronę i rewaloryzację zespołów i obiektów zabytkowych zagrożonych degradacją.

Przyczyną tego nowego podejścia do problematyki ochrony dziedzictwa kulturowego było m.in. zrealizowanie na rzecz województwa studiów historyczno-urbanistycznych oraz opracowań monograficznych, znaczne zaawansowanie ewidencji zabytków architektury murywanej i drewnianej, zabytkowych parków i cmentarzy, miejsc pamięci narodowej oraz zaawansowanie prac AZP.

Na terenie województwa znajduje się 16 miejscowości, które posiadały lub aktualnie posiadają prawa miejskie. 11 spośród nich zachowało w różnym stopniu historyczne układy urbanistyczne. W przypadku: Chełma, Krasnegostawu, Włodawy, Dorohuska, Pawłowa, Sawina, Siedliszcza, Wojsławic, Orchówka, Różanki, Sosnowicy i Krańciszyna, na zlecenie Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków wykonane zostały studia historyczno-urbanistyczne.

Wynika z nich m.in. że Chełm, posiadający unikalną panoramę, ma wczesnośredniowieczny układ urbanistyczny z dominantą Górki Chełmskiej wraz z Kościołem Mariackim. Układ ten został jednakże bardzo zdegradowany zabudową żydowską i znacznie zniszczony w okresie I wojny światowej. Aktualne próby zabudowy plombowej śródmieścia, choć jednostkowo udane, wykazują w skali makro brak racjonalizacji (rozproszenie) oraz przypadkowość inwestorów.

W Krasnymstawie, mającym średniowieczny układ urbanistyczny, nie obserwuje się historycznych degradacji. Jednakże podjęta kilka lat temu renowacja starówki, choć przebiega z konserwatorskiego punktu widzenia prawidłowo, toczy się wolno, by nie powiedzieć ślamazarnie.

Za najbardziej zaniedbaną należy uznać sytuację we Włodawie, gdzie w starej części miasta (rynek) dokonano w latach 60. odbudowy pierzei północnej, która tak agresywnie zdominowała wygląd tej części miasta, że służba konserwatorska napotyka, w podjętych obecnie pracach restauracyjnych, na trudności z odtworzeniem charakteru całego rynku.

W stosunku do trzech dużych miast województwa można sformułować następujący pogląd. Otóż środki inwestycyjne w ostatnich 10-15 latach kierowane były w większości na rozwój nowego budownictwa, lokalizowanego poza zespołami zabytkowymi. Tymczasem w pierzejowej zabudowie tych miast istniały i istnieją nadal liczne ubytki, których uzupełnienie nową, właściwie zaprojektowaną zabudową pozwoliłoby na przywrócenie ładu przestrzennego w ośrodkach historycznych, a jednocześnie powiększyłoby zasoby mieszkaniowe po kosztach wcale nie wyższych, a często nawet niższych niż w terenach „dziewiczych”. Przykłady w Chełmie, choć jeszcze nieśmiało, uprawomocniają tę tezę.

Dotychczas nie prowadziliśmy ewidencji układów urbanistycznych wsi pod kątem zachowania wartości kulturowych. Według stanu z początku 1990 roku, około 100 zespołów zachowało w istotnym stopniu elementy historycznych układów przestrzennych.

Zabytki architektury w granicach województwa reprezentują: 62 kościoły i klasztory oraz inne obiekty sakralne, 2 zamki, 49 pałaców i dworów, blisko 1500 drewnianych i 90 murowanych obiektów użyteczności publicznej, budynków mieszkalnych w miastach i na wsiach oraz budynków gospodarczych, wpisanych na kartach ewidencyjnych i około 2000 wpisanych lub do wpisania na kartach adresowych,

a także ponad 50 obiektów dawnej techniki i przemysłu. Ze 114 zewidencjonowanych parków pałacowych i dworskich, 28 jest objętych ochroną konserwatorską. Na terenie województwa znajduje się 215 cmentarzy różnych wyznań (z przewagą rzymskokatolickich), zabytkami sztuki sepulkralnej, oraz 243 miejsca pamięci narodowej.

W ramach prac AZP (Archeologiczne Zdjęcie Polski) przebadano dotychczas 66 obszarów, rejestrując 5467 stanowisk archeologicznych. Do zakończenia AZP pozostaje jeszcze zbadanie 47 obszarów.

Prace konserwatorskie i remontowe na terenie województwa w latach 1975-1989 nie miały charakteru kompleksowego i podejmowane były każdorazowo decyzją inwestora lub użytkownika obiektu. W kilku przypadkach wojewódzki konserwator zabytków w całości finansował remont obiektu zabytkowego. Kilkadziesiąt obiektów wyremontowanych zostało przy częściowym dofinansowaniu w ramach Uchwały Rady Ministrów nr 79 z 1978 roku. Konserwacja obiektów ruchomych prowadzona była głównie ze środków resortu kultury (niewielka tylko ich część sfinansowana została przez kościoły lub związki wyznaniowe).

Poniższy opis prac konserwatorskich w poszczególnych sferach został opracowany na podstawie materiałów będących w posiadaniu archiwum Biura Badań i Dokumentacji Zabytków w Chełmie.

## ZABYTKI NIERUCHOME

### Budownictwo murowane:

**BEZEK** — Dawna cerkiew, później kościół polskokatolicki, a obecnie kościół rzymskokatolicki; obiekt zbudowano w 1867 roku. W latach 1984-86 ze środków własnych parafii przeprowadzono remont — wymiana więźby dachowej i pokrycia dachu (blacha miedziana), wykonano tynki zewnętrzne i wewnętrzne oraz bialkowanie, założono również instalację elektryczną w całym budynku. Prace wykonywali parafianie oraz Spółdzielnia Usługowa w Chełmie.

**CHELM** — Kaplica pw. Świętego Mikołaja, barokowa, dawna cerkiew greckokatolicka wzniesiona w latach 1711-30, odnowiona w latach 1922-37, uszkodzona w czasie II wojny światowej. Remont kapitalny obiektu przeprowadzono w latach 1977-79 ze środków budżetu terenowego przez PP PKZ O/Lublin. Obiekt jest aktualnie użytkowany przez Muzeum Okręgowe m.in. jako sala koncertowa.

— Kamienica przy ul. Lubelskiej 57 z II połowy XIX wieku, wraz z przyległą do niej od ul. 1 Maja kamienicą z początku XX wieku. Remont kapitalny obiektów, w całości finansowany z budżetu terenowego, rozpoczęto w 1978 roku, a zakończono w 1984. Wykonawcą prac były PP PKZ O/Lublin i PP PKZ O/Zamość. Obiekt po stylowej adaptacji przeznaczono na siedzibę Muzeum Okręgowego, Szkoły Muzycznej, Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej, redakcję kwartalnika „Kamena” i siedzibę Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków i BBiDZ.

— Część dawnego kolegium pijarów, mieszcząca Muzeum Okręgowe: wybudowane przed 1714 rokiem, barokowe, przebudowane i powiększone po 1720 r. przez arch. Dominika Ballotiego. Później kilkakrotnie gruntownie restaurowane. Remont wykonano w latach 1977-80 ze środków budżetu terenowego przez Wojewódzką Spółdzielnię Pracy Remontowo-Budowlaną w Chełmie. Prace objęły: wymianę więźby dachowej i krycie dachu blachą ocynkowaną oraz remont sanitariatów i modernizację instalacji wewnętrznych.

— Cerkiew pw. Świętego Jana Teologa, wzniesiona w latach 1848-52, klasycystyczna, restaurowana w 1927 i 1949 roku. W 1977 roku przeprowadzono prace przy remoncie tynków i ogrodzenia ze środków własnych parafii, przez chełmskich rzemieślników. W 1989 roku parafia podjęła kolejne prace remontowe: częściowa wymiana pokrycia dachowego, remont elewacji wewnętrznej, malowanie, remont instalacji elektrycznej, odnowienie i remont ogrodzenia. Prace wykonywało PP Sztuka Polska O/Lublin, ze środków własnych parafii przy wsparciu finansowym z Uchwały 179/78.

— Kościół oo. Reformatów, barokowy, zbudowany do ok. 1750 roku, opasanie całego zespołu murem w 1755 r., rozbudowany na przełomie XIX i XX wieku. W 1977 roku przeprowadzono ze środków Klasztoru renowację tynku i ogrodzenia pod kierownictwem ks. Beniamina Brzozowskiego.

— Kaplica grobowa Bielskich, klasycystyczna z I połowy XIX wieku z cmentarza parafialnego rzymskokatolickiego w Chełmie (powstał na przełomie XVIII i XIX wieku). Remont gruntowny kaplicy przeprowadzono w latach 1983-85 ze środków miasta, wsparty przez WKZ; wykonawstwo — Spółdzielnia Rzemieślnicza w Chełmie.

— Synagoga wzniesiona w latach 70. XIX wieku wyróżniająca się dekoracją architektoniczną zewnętrzną, typową dla okresu historyzmu. W ramach przyznanych centralnie środków na rewaloryzację miasta Chełma — O/W Naczelnej Organizacji Technicznej, właściciel obiektu przystąpił w 1984 roku do remontu kapitalnego i adaptacji. Wykonawcy: PP PKZ Lublin, Usługowa Spółdzielnia Rzemieślnicza w Chełmie i Grupa Remontowa Cementowni Chełm. Prace ukończono w 1987 roku.

— Dawne seminarium grekokatolickie, złożone z prostokątnego budynku z końca XVIII wieku i dobudowanych do niego skrzydeł poprzecznych w kształcie litery H (II połowa XIX wieku). Obecny użytkownik — Studium Nauczycielskie — rozpoczął w 1984 roku ze środków własnych remont kapitalny budynków wchodzących w skład zespołu. W trakcie remontu, trwającego nadal, wsparto użytkownika środkami z Uchwały 179/78 RM. Wykonawcą remontu jest Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane w Żółtańcach oraz Spółdzielnia Rzemieślnicza Usługowo-Wytwórcza w Chełmie.

— Domy dawnej „Dyrekcji” — osiedla kolejowego, powstałego w latach 1927-29, wraz z gmachem dyrekcji kolejowej stanowią ważki przykład architektury XX-lecia międzywojennego. W tym unikalnym zespole mieszkalno-administracyjnym wykonano w 1986 roku roboty dekarsko-blaharskie, sfinansowane ze środków centralnych. Wykonawca: Zakład Robót Budowlanych PKP w Chełmie.

— Starówka: domy przy i w rejonie ul. Lubelskiej, kilka z elementami XVII-wiecznymi, reszta z I połowy XIX wieku o cechach klasycystycznych. W 1986 roku władze miasta ze środków własnych przystąpiły do zorganizowanych prac remontowych. Wykonawca: Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszaniowej Remontów i Usług w Chełmie. Prace są kontynuowane i obejmują kolejne obiekty starej części miasta.

— Kościół pw. Rozesłania Apostołów, wzniesiony w latach 1753-63 wg projektu arch. Pawła Fontany, późnobarokowy, restaurowany w latach 1878 i 1929. W 1987 roku rozpoczęto remont kościoła (renowacja drzwi głównych, konserwacja ławek i konfesjonaliów) oraz budynku mieszkalnego — organistówki (pokrycie dachu, wymiana otworów okiennych i drzwiowych, ułożenie parkietu, zainstalowanie urządzeń sanitarnych i grzewczych — finansowane ze środków własnych parafii przy wsparciu z Uchwały 179/78 RM. Wykonawca: Spółdzielnia Rzemieślnicza Usługowo-Wytwórcza w Chełmie prace zakończyła w 1989 roku.

Dawna cerkiew katedralna greckokatolicka pw. Narodzenia NP Marii, obecnie katedra rzymskokatolicka, wzniesiona w latach 1735-56 wg projektu arch. Pawła Fontany, późnobarokowa, uszkodzona pożarem w 1802, odnowiona 1809-1827 oraz w 1837, po kasacie bazylianów w 1875 częściowo przekształcona w duchu rosyjsko-cerkiewnym. Od 1919 kościół rzymskokatolicki, gruntownie restaurowany w latach 1919-35. W 1988 roku parafia ze środków własnych rozpoczęła remont obiektu: wymiana stolarki okiennej i drzwiowej, malowanie wnętrza kościoła, wymiana tynku w kopule, osuszenie obiektu. Wykonawstwo w zakresie własnym.

**DOROHUSK** — Pałac Suchodolskich, wzniesiony ok. połowy XVIII wieku, późnobarokowy, część wschodnia oraz dwie oficyny zniszczone pożarem w 1920 roku i rozebrane do fundamentów (1936). Niewielkie przeróbki w czasie II wojny światowej i bezpośrednio po niej. Remont kapitalny wraz z niezbędnymi adaptacjami rozpoczęto w 1980 roku wg

dokumentacji opracowanej przez PP PKZ O/Lublin. Firma ta rozpoczęła również prace remontowe, przejęte później przez PP PKZ O/Zamość, następnie przez Rzemieśniczą Spółdzielnię Usługową Remontowo-Budowlaną w Lublinie, a od 1987 roku — Przedsiębiorstwo Polonijno-Zagraniczne „Magnus” w Chełmie. Prace są kontynuowane.

**DUBIENKA** — Cerkiew prawosławna, wzniesiona w 1886 roku, nieużytkowana od wielu lat. W latach 1987-88 ze środków budżetu centralnego przeprowadzone zostały prace zabezpieczające dach. Wykonawca: Spółdzielnia Rzemieśnicza Usługowo-Wytwórcza w Chełmie.

**KRUPE (gm. Krasnystaw)** — Dwór wzniesiony przed 1779 rokiem, przebudowany ok. 1840, kilkakrotnie restaurowany (1880, 1936, 1951). W związku z postępującą dewastacją, wykonane zostały w 1982 roku zabezpieczenia otworów okiennych i drzwiowych oraz naprawa dachu. Prace przeprowadzono systemem gospodarczym przez Urząd Gminy ze środków centralnych. W latach 1987-89 PP-Z „Magnus” wykonało kolejne prace zabezpieczające i remontowe.

**KRASNYSTAW** — Starówka: domy wzniesione w XVIII-XIX wieku, często przebudowywane, ale z zachowanym dawnym układem wąskich działek. W 1986 roku władze miasta, ze środków własnych i Urzędu Wojewódzkiego, rozpoczęły prace remontowo-budowlane przy części budynków. Prace trwają nadal, a w ich realizację, obok Krasnostawskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, w 1989 roku włączone zostało PP PKZ w Zamościu.

**KRAŚNICZYN** — dawny zajazd wzniesiony na przełomie XVIII i XIX wieku w 1983 roku wykonano ze środków centralnych zabezpieczenie stropu, zapobiegając dalszej dewastacji obiektu.

**KULIK (gm. Siedliszcze)** — Dwór z końca XIX wieku, który wraz z parkiem założonym w XVIII wieku stanowią cenny zespół. W 1986 roku użytkownik — szkoła podstawowa — ze środków resortu oświaty rozpoczął prace remontowe i budowlane w obiekcie. Wykonawca: Spółdzielnia Rzemieśnicza Usługowo-Wytwórcza w Chełmie. Od 1988 roku prace wspierane finansowo z Uchwały 179/78 RM. Remont obiektu jest kontynuowany.

— Zespół pojezuicki — kolegium wzniesione przed 1720 rokiem, rozbudowane w 1730, barokowe, przekształcone po pożarze w 1902 roku, częściowo pozbawione cech stylowych. W 1989 roku rozpoczęto ze środków centralnych prace remontowo-budowlane w dawnym refektarzu nakrytym sklepieniem zwierciadlanym. Wykonawca prac: Zakład Remontowo-Budowlany w Krasnymstawie kontynuuje roboty.

**PAWLÓW (gm. Rejowiec Fabryczny)** — Kościół parafialny pw. Świętego Jana Chrzciciela, zbudowany w latach 1909-12 wg projektu arch. Stefana Szyllera, neogotycki. W latach 1984-89 ze środków własnych parafii przeprowadzono prace remontowe, m. in. wymiana pokrycia dachowego (blacha miedziana) i więźby dachowej. Prace są kontynuowane, a wykonują je rzemieślnicy.

**REJOWIEC OSADA** — Pałac wzniesiony w 2 ćwierci XIX wieku, klasycystyczny, rozbudowany pod koniec XIX wieku, restaurowany w 1848 i 1953, nieco przebudowany w latach 1942-44. W roku 1983 użytkownik — Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego — rozpoczął remont kapitalny całości obiektu. Wykonawcy: Spółdzielnia Rzemieśnicza Usług Remontowo-Budowlanych w Lublinie — prace sztukatorskie, Szydłowieckie Zakłady Kamienia Budowlanego — prace kamieniarskie, Spółdzielnia Rzemieśnicza Usługowo-Wytwórcza w Chełmie — prace budowlane. Prace w obiekcie są kontynuowane.

**RÓŻANKA (gm. Włodawa)** — Oficyny w zabudowaniach folwarcznych zespołu pałacowego, wzniesione w XIX wieku, odnowione i przebudowane w 1905 roku, o charakterze klasycystycznym. W 1987 roku ze środków centralnych uzupełniono ogrodzenie oraz rozpoczęto prace remontowe w obiekcie. Wykonawcą jest rzemieślnik z Włodawy.

**SEREBRYSZCZE (gm. Chełm)** — Barokowy pałac wzniesiony w końcu XVII wieku i rozbudowany ok. połowy XVIII wieku zapewne

wg projektu arch. Pawła Fontany, zdewastowany w czasie II wojny światowej, dłuższy czas opuszczony. Remont kapitalny rozpoczęto w 1977 roku ze środków użytkownika, Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Serebryszczu (z dofinansowaniem ze środków MKiSz), przez grupę remontową użytkownika wg dokumentacji opracowanej przez PP PKZ O/Lublin. W 1983 roku obiekt przejęło Kuratorium Oświaty i Wychowania z przeznaczeniem na szkołę i kontynuowany był remont przez Spółdzielnię Rzemieśniczą Usługowo-Wytwórczą w Chełmie. W 1986 roku podjęto prace konserwatorsko-lecznicze terenów zielonych w parku (wspólnie z Wydziałem Ochrony Środowiska UW), a w 1988 — budowę alejek parkowych.

**SURHÓW (gm. Kraśniczyn)** — Pałac wzniesiony w latach 1813-19, klasycystyczny, uszkodzony podczas I i II wojny światowej (dachu, portyk), restaurowany w 20-lecie międzywojennym i w latach 1946-47 i 1949-54. Remont rozpoczął w 1977 roku użytkownik — Państwowy Dom Pomocy Społecznej dla Dorosłych — ze środków własnych, dofinansowywany ze środków specjalnych MKiSz. Zrealizowano (oprócz konserwacji malowideł ściennych) wymianę pokrycia dachu na blachę miedzianą, kończąc prace w 1979 roku. Prace projektowe i remontowo-konserwatorskie prowadziło PP PKZ O/Lublin. W latach 1985-86 grupa remontowa ZOZ Krasnystaw wykonała wymianę instalacji c-o i remont podłóg.

**SIELEC (gm. Leśniowice)** — Baszta obronna z zespołu zamkowego wzniesionego w ostatniej dekadzie XVI wieku, wielokrotnie niszczone i częściowo rozbierana m.in. po pożarze w 1914 roku. W 1985 roku przekazano środki finansowe z funduszu centralnego z przeznaczeniem na zabezpieczenie przed dewastacją. Niezbędne prace zostały wykonane.

**STRZELCE-MAZIARNIA (gm. Białopole)** — Pałacyk myśliwski z początku XX wieku, stanowiący wraz z parkiem w stylu krajobrazowym (I ćwierć XIX wieku) piękny zespół. Użytkownik — Nadleśnictwo w Strzelcach — przeprowadził w latach 1985-87 remont i adaptację obiektu na ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy: m.in. wymiana instalacji c-o i wod.-kan. Wykonawca: Ośrodek Remontowo-Budowlany Lasów Państwowych w Biłgoraju.

**WIERZCHOWINY** — Dwór zbudowany w I połowie XIX wieku, rozbudowany w czasach późniejszych. W obiekcie pełniącym od wielu lat funkcję szkoły podstawowej, w 1987 roku zainstalowano centralne ogrzewanie, ze środków własnych. Wykonawca: Spółdzielnia Rzemieśnicza Usługowo-Wytwórcza w Chełmie.

**WŁODAWA** — Dawna synagoga duża, późnobarokowa, zbudowana w 1764 roku, częściowo przebudowana w II połowie XIX wieku, wewnątrz gruntownie restaurowano po 1920 roku, częściowy remont zabezpieczający w 1951 roku. Remont kapitalny rozpoczęto w 1974 roku, a zakończono w 1984. Obiekt przeznaczony został na Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego. Inwestor: WKZ. Wykonawca: Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Komunalnego w Chełmie oraz PP Sztuka Polska w Lublinie (w zakresie odtworzenia elewacji i artystycznego wykończenia wnętrz).

— Dom pokahalny i synagoga trwała, wzniesione w pobliżu głównej synagogi po połowie XIX wieku, późnoklasycystyczne, od 1939 roku użytkowane na cele niekultowe. Remont kapitalny rozpoczęto w 1979 roku od wykonania niezbędnych ekspertyz i projektów technicznych przez PP PKZ O/Lublin. W 1985 roku przystąpiono do właściwych prac remontowych. Wykonawca: PP Sztuka Polska w Lublinie, a od 1988 roku Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane „Budex” w Lublinie. W 1989 roku zakończono prace budowlano-konserwatorskie w budynku pokahalnym. Całość prac finansowana ze środków centralnych.

— Cerkiew prawosławna, wzniesiona w latach 1840-42 w typie cerkwi ruskiej, bizantyjsko-klasycystycznym, remontowana w 1873, przebudowana w 1882. Nieco uszkodzona w czasie obu wojen światowych (do 1875 roku obiekt greckokatolicki). W 1988 roku rozpoczęto prace m.in. w zakresie renowacji bogato dekorowanej elewacji, tynków zewnętrznych, remontu dachu oraz robót dekarских. Wykonawca: zakład

murarski-malarski we Włodawie. Środki własne wsparte środkami ze Uchwały 179/78 RM.

**WOJŚLAWICE** — Synagoga wzniesiona ok. 1890 roku. Kilkakrotnie zmieniano jej przeznaczenie, przez pewien okres nie użytkowana. Po wcześniejszym przeprowadzeniu niezbędnych prac badawczych i dokumentacyjnych, wykonanych przez PP PKZ w Zamościu, w 1984 roku przystąpiono do remontu kapitalnego obiektu ze środków centralnych. Wykonawca PP Sztuka Polska w Lublinie, a od 1987 roku Przedsiębiorstwo Polonijno-Zagraniczne „Magnus” z Chełma.

— Cerkiew greckokatolicka, zbudowana w 1771 roku, barokowa, w latach 1864-1945 prawosławna, później użytkowana na cele pozakulturowe. W latach 1976-77 ze środków centralnych przeprowadzono prace zabezpieczające i renowacyjne dachu.

**ZAGRODA** (gm. Siennica Różana) — zajazd zbudowany w 1793 roku, klasycystyczny, z pozostałościami dawnego stanu od tyłu (rozebranego w XIX wieku). W latach 1985-86 przeprowadzono ze środków centralnych prace zabezpieczające, m.in. pokryto budynek dachem prowizorycznym. Wykonawca: RSP Zagroda.

**ZDŻANNE** (gm. Siennica Różana) — Kościół rzymskokatolicki pw. Michała Archanioła, wzniesiony w 1806 roku, późnobarokowy (przez pewien czas cerkiew greckokatolicka i cerkiew prawosławna). W latach 1986-89, parafia ze środków własnych przeprowadziła częściowy remont — wykonano m.in. tynki zewnętrzne i odwodnienie terenu. Prace wykonywali miejscowi parafianie.

#### Budownictwo drewniane

**BOROWICA** (gm. Łopiennik) — Kościół rzymskokatolicki pw. Przemienienia Pańskiego, wzniesiony w latach 1797-99, klasycystyczny. W 1988 roku wykonany został remont zabytkowego, drewnianego ogrodzenia, ze środków własnych parafii, wspartych środkami z Uchwały 179/78 RM. Wykonawstwo własne parafian.

**HOLA** (gm. Stary Brus) — Wiatrak typu „koźlak”, oszalowany, wzniesiony w I połowie XIX wieku (przeniesiony z Wołoskowieli gm. Stary Brus). W 1984 roku rozpoczęto prace przygotowawcze do konserwacji, realizowane przez PP Sztuka Polska w Lublinie. Prace zakończono w 1987 roku. W 1988 roku zainstalowano na obiekcie instalację odgromową.

— Chałupa wiejska z 1876 roku, przeniesiona ze wsi Wyrzyki-Adampol. W 1988 roku chałupę wykupiono i po rozbiórce przeniesiono w celu utworzenia punktu etnograficznego (odtworzenie pierwotnego układu działki z funkcją obiektów). Zrekonstruowano ściany chałupy, a w 1989 roku pokryto ją strzechą. Prace sfinansowano z budżetu terenowego przy wsparciu środkami z Uchwały 179/78 RM. Wykonawca: rzemieślnik Eugeniusz Zbiczuk.

**HOROSTYTA** (gm. Wyrzyki) — Dawna cerkiew greckokatolicka pw. Podwyższenia Krzyża Świętego, zbudowana w 1702 roku, restaurowana przed 1793 rokiem, odnawiana całkowicie w 1861 i 1880 z zatarciem pierwotnych cech, od około 1875 roku — prawosławna. W 1984 roku użytkownik — parafia prawosławna — przy wsparciu finansowym z Uchwały 179/78 RM przeprowadził remont dachu i zmianę poszycia na gont (założono również system alarmowy).

**NATALIN** (gm. Kamień) — Wiatrak typu koźlak, przeniesiony z Suchawy gm. Wyrzyki, zbudowany na początku XX wieku. Prace związane z demontażem, translokacją oraz montażem wiatraka zrealizowano w latach 1979-1981 ze środków budżetu terenowego przez Spółdzielnię Rzemieślniczą Usługowo-Wytwórczą w Chełmie. Obiekt przeznaczono dla potrzeb Klubu Jeździeckiego „Halicz” w Chełmie.

**OLCHOWIEC** (gm. Wierzbica) — Kościół parafialny pw. Świętej Małgorzaty, wzniesiony w latach 1788-1791. W latach 1984-86 ze środków własnych parafii rzymskokatolickiej przeprowadzono prace

związane z wymianą więźby dachowej i pokrycia dachu, wymieniono podwaliny, ułożono nową podłogę, zmieniono szalunek zewnętrzny, wymieniono stolarkę okienną i drzwiową oraz strop, założono instalację elektryczną. Wykonawca: Spółdzielnia Rzemieślnicza w Chełmie przy znaczącym udziale parafian.

**TULIGŁOWY** (gm. Krasnystaw) — Wiatrak typu koźlak, przeniesiony z Wysokiego (woj. zamojskie), zbudowany na początku XX wieku. Prace związane z demontażem, przeniesieniem i montażem, kryciem dachu gontem oraz szalunek ścian bocznych, zrealizowano w latach 1978-79 ze środków budżetu terenowego przez rzemieślnika Stanisława Paradowskiego. W latach 1987-89 sfinansowano prace adaptacyjne obiektu do celów gastronomicznych ze środków własnych użytkownika, wspartych z Uchwały 179/78 RM.

**ZDŻANNE** (gm. Siennica Różana) — Dzwonnica przy kościele rzymskokatolickim pw. Świętego Michała Archanioła, wybudowana w XIX wieku. W 1986 roku ze środków własnych parafii i siłami miejscowych parafian wykonano oszalowanie obiektu.

#### ZABYTKI RUCHOME

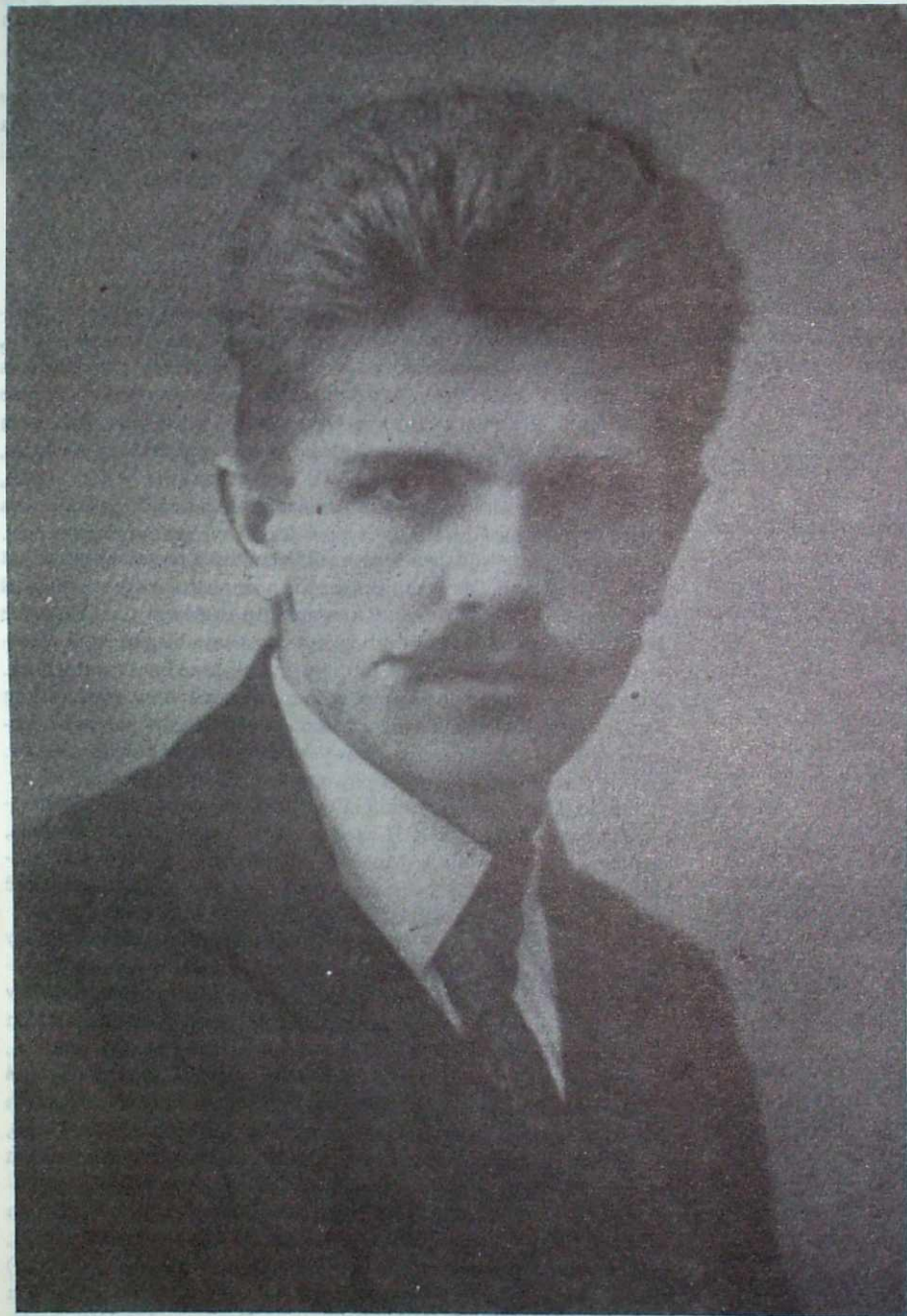
Okres pomiędzy 1975 a 1989 rokiem zaowocował znacznym zaangażowaniem służby konserwatorskiej, ale również, co warto podkreślić, właścicieli i użytkowników, na rzecz zabezpieczenia i zachowania ruchomych obiektów zabytkowych. Odrestaurowano w tym okresie osiem rzeźb, głównie z Muzeum Okręgowego w Chełmie. Zabiegom konserwatorskim poddanych zostało ponad pięćdziesiąt obrazów, w tym cenne ikony z XVII i XVIII wieku (cerkwie w Horostycie, Chełmie i Włodawie), oraz unikatowe stacje Drogi Krzyżowej z kościoła oo. Reformatów w Chełmie, których autorem był Szymon Baranowski.

Na terenie województwa w niewielkim zakresie reprezentowane jest malarstwo ścienne. Oprócz przepięknych późnobarokowych malowideł Józefa Mayera w kościele pw. Rozesłania Apostołów w Chełmie, które oczekują jeszcze na właściwe zabezpieczenie, wszystkie pozostałe obiekty zostały już odrestaurowane lub są w trakcie prac konserwatorskich. Dotyczy to zarówno malowideł Adama Swacha w krasnostawskim zespole pojezuickim, malowideł Mikołaja Moniego w pałacu w Surhowie, jak również późnobarokowych malowideł w kościele pw. św. Ludwika we Włodawie (prace powinny być zakończone w br.).

Jeśli dodamy do tego jeszcze kilkanaście obiektów rzemiosła artystycznego oraz unikatowe XIII-wieczne witraże romańskie z Adampola, eksponowane aktualnie w Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego, to mieć będziemy dość pełny obraz tego, co udało się zrealizować w sferze prac konserwatorskich w minionym 15-leciu.

Dużo to czy mało, jak na potrzeby i faktyczne możliwości? Czy wybrano najistotniejsze obiekty, czy też ze względów pozamerytorycznych realizowano zadania mniej ważne? Czy łożone na ochronę zabytków środki społeczne mogły być wykorzystane efektywniej? Na żadne z tych i wielu innych pytań, które można jeszcze postawić, nie ma prostych, jednoznacznych odpowiedzi. Życzyć sobie jedynie wypada, by dziś i w przyszłości, w działalności żadnej ze służb, organów i osób, mających ustawowe i moralne obowiązki wobec naszego dziedzictwa kulturowego, nie dominował wąski partykularyzm i brak zrozumienia, iż ostatecznym celem wszelkich rozstrzygnięć i decyzji musi być dobro obiektu zabytkowego. Wiele wskazuje, że tak właśnie jest (cerkiew prawosławna w Sosnowicy, cerkiew pounicka w Rejowcu Lub.), ale są również sygnały, iż skutkiem np. sporów o przeszłość (rodowód prawosławny czy łaciński) bywa dewastacja tego, co samo nie jest w stanie się obronić (w tym przypadku cmentarz). Wszyscy musimy wnieść się ponad małostkowość, jeśli nasi potomni nie mają wystawić nam złego świadectwa, na podstawie naszego stosunku do ich i naszej przeszłości.

# Zenon Waśniewski



*Zenon Waśniewski w latach młodości*

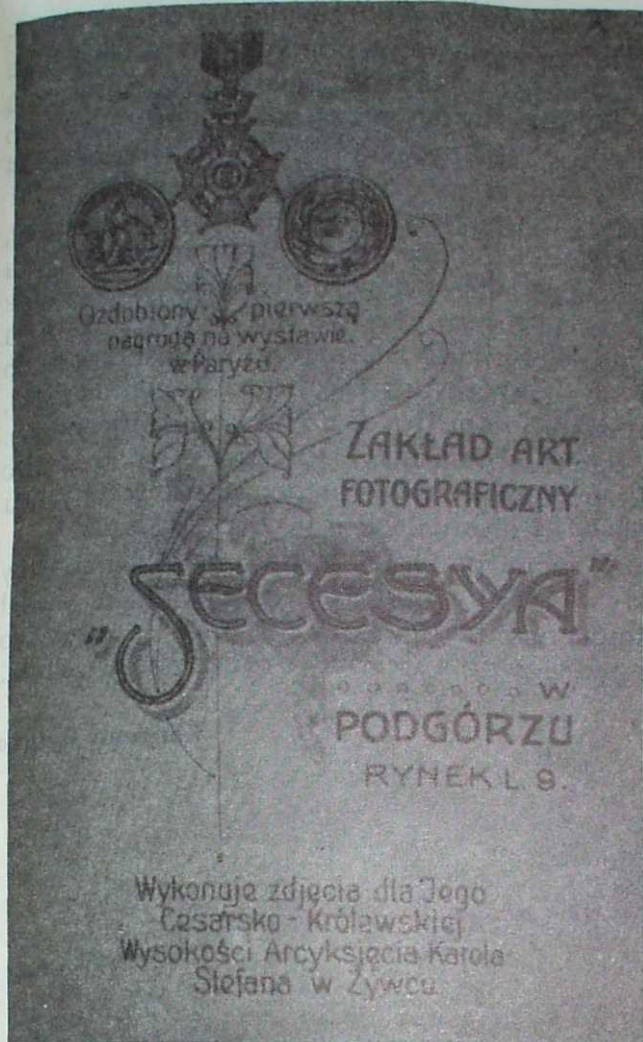
Zenon Michał Jan Waśniewski (1891–1945) urodził się w Tarnowie 11 grudnia, w zubożałej rodzinie szlacheckiej pieczętującej się herbem Bończa. Ojciec jego, Kazimierz, pochodzący z Częstochowskiego, był kwalifikowanym ogrodnikiem i od 1885 r. prowadził w Tarnowie miejskie ogrodnictwo, był też nauczycielem zawodu w miejscowej szkole. Matka, Hermina urodzona Właczyńska, prowadziła dom i opiekowała się trojgiem dzieci, jako że poza Zenonem Waśniewscy mieli jeszcze córkę i drugiego syna — Czesława.

W 1889 r. Kazimierz Waśniewski uzyskał obywatelstwo austriackie i w roku następnym przeniósł się z rodziną do Krakowa. Tam, na Podgórzu, zakupił drogerię, a także prowadził niedużą fabryczkę kawy zbożowej oraz sprzedaż workowanego węgla.

Zenon uczęszczał w Krakowie do średniej szkoły realnej, którą ukończył w 1910 r. i zaraz potem podjął studia na wydziale architektury Politechniki Lwowskiej. Po dwu latach zmuszony był przerwać dalszą naukę z powodu trudności finansowych. W 1913 r. powołany został do odbycia służby w wojsku austriackim, we Lwowie, w 30 p.p. Wybuch

wojny spowodował przedłużenie jego pobytu w armii, w której pełnił służbę pozafrontową, aż do 1918 r., kiedy to dopiero został zdemobilizowany. Przejściowo pracował przy odnawianiu fresków w komnatach wawelskich, pod kierunkiem prof. Juliana Makarewicza (1855-1935) specjalizu-





*Odwrotna strona foto. Waśniewskiego*

jącego się w malarstwie ściennym. Wówczas też zetknął się z Julianem Fałatem, który nakłonił go do podjęcia studiów plastycznych, jednak próba wstąpienia na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie nie powiodła się. Rektor tej uczelni Józef Mehoffer uznał, że okazane mu prace Waśniewskiego są dziełami malarza w pełni dojrzałego, a tym samym nie widział potrzeby jego dalszego kształcenia. W tej sytuacji zdecydował się on na kontynuowanie studiów architektonicznych i zapisał się na trzeci rok w Politechnice Lwowskiej. Jednak na przeszkodzie stanęła wojna ukraińsko-polska, co w rezultacie zmusiło go do rezygnacji z podjętych zamierzeń i do rozpoczęcia pracy zarobkowej. Zatrudniony został w Radzynie, w Państwowym Biurze Odbudowy Kraju, gdzie prowadził nadzór architektoniczny przy odbudowie pałacu Szlubowskich (dawniej Potockich). Jednocześnie podjął pracę nauczyciela rysunków i kaligrafii w miejscowym gimnazjum. Tutaj też poznał swą przyszłą żonę, młodszą, urodziwą nauczycielkę, Michalinę Ryzińską, pochodzącą z Sądowej Wiszni koło Lwowa, z którą zawarł w 1921 r. ślub w jej rodzinnej miejscowości. W tym też roku przeniósł się do Chełma, by tu pozostać już na stałe. Zatrudniony został w Męskim Seminarium Nauczycielskim jako nauczyciel rysunku. Uprawnienia do nauczania w szkołach średnich uzyskał w 1927 r. po zdaniu egzaminu przed komisją ministerialną. W czasie pracy w szkole okazał się doskonałym pedago-

giem i wychowawcą, który potrafił nie tylko przekazać uczniom swą wiedzę, ale też wzbudzić u nich zamiłowanie do przedmiotu.

Malarstwo i rysunek były dla niego nie tylko zawodem i źródłem utrzymania, ale życiową pasją. Uzdolnienia plastyczne wykazywał zresztą od lat najmłodszych, a w czasie studiów politechnicznych rozwinął je i ukształtował. Był twórcą niezwykle pracowitym i płodnym, pozostawił po sobie wiele obrazów, rysunków i grafik. Jego ulubioną techniką malarską była akwarela, niemniej jednak posługiwał się też temperą, pastelami i olejem. Z powodzeniem uprawiał grafikę linorytniczą. Celował w portretach i pejzażach, malował też architekturę zabytkową i sceny rodzajowe. Był nadto świetnym karykaturzystą.

W Chełmie spędził większą część swego życia, toteż miasto to stało się dla niego bliskim, czemu dał wyraz w szeregu prac malarskich i graficznych, takich jak np.: Kościół Rozesłania, Górka Katedralna, Brama Uściłuska, Kościół Reformatorów, pejzaże urbanistyczne, a także portrety typów chełmskich.

Dorobek twórczy Waśniewskiego był prezentowany na wystawach w warszawskiej „Zachęcie” (dwukrotnie), w Paryżu, Gdyni, Lublinie i Zamościu, a pośmiertnie także w Chełmie (trzykrotnie).

Poza malarstwem interesował się muzyką, świetnie grał na skrzypcach i fortepianie. Był także zapalonym bibliofilem; skrzętnie gromadził książki, troszczył się bardzo o poprawność języka polskiego, publikując na ten temat artykuły prasowe. Nieobca była mu literatura; tłumaczył poezję niemiecką i austriacką, a także tworzył wiersze, które ukazywały się w „Kamieniu” i w innych pismach.

Jego pokrewną duszą był znany pisarz i rysownik, Bruno Schulz (1892-1942), mieszkający w Drohobyczu koło Lwowa. Poznali się na politechnice i zawarli ze sobą serdeczną przyjaźń. Prowadzili stale ożywioną korespondencję, wymieniając poglądy na sztukę i literaturę. Wspólne zainteresowania zbliżyły też do siebie Waśniewskiego i młodszego od niego o lat 6 kolegę,

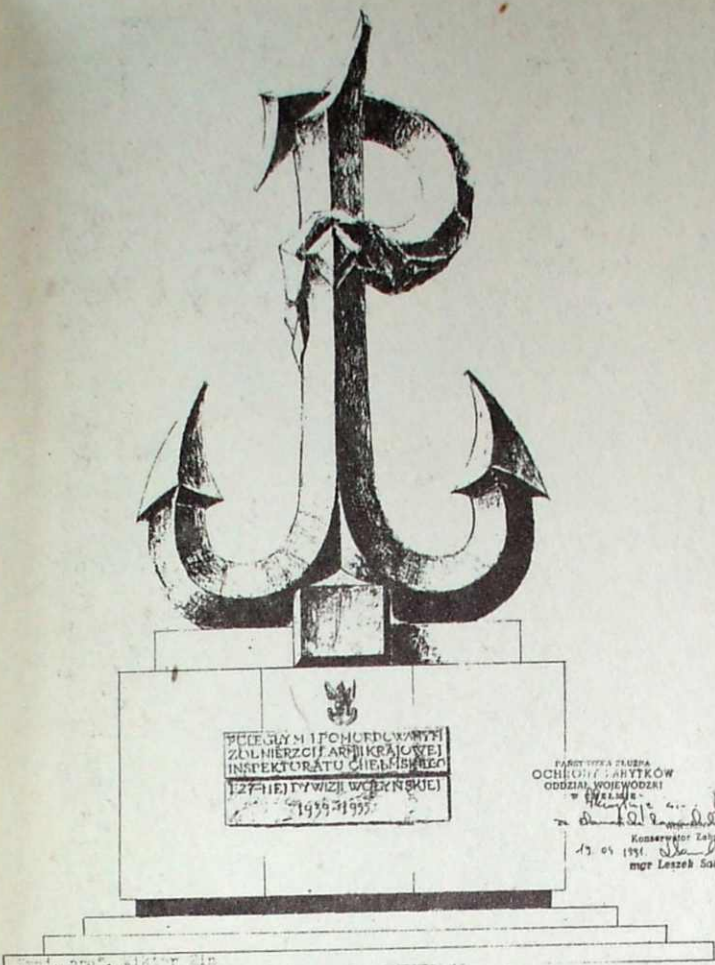
nauczyciela z tego samego seminarium chełmskiego, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego (1897-1973). Obaj pedagodzy podjęli w 1933 r. wspólnym trudem wydawanie poetyckiego miesięcznika „Kamena”. Waśniewski zajął się stroną organizacyjną i finansową, a także troską o szatę graficzną pisma, zamieszczając w każdym kolejnym numerze wkładkę linorytniczną swego autorstwa. Do chwili wybuchu wojny w 1939 r. wyszło z druku 50 zeszytów „Kameny”, w których znalazły się 54 grafiki Waśniewskiego, znacznie wzbogacające pismo.

We wrześniu 1939 r. Waśniewski powołany został do magistrackiej służby obywatelskiej, a z nastaniem okupacji wstąpił w szeregi konspiracyjne i wkrótce wszedł w skład dowództwa Komendy Obwodu Chełm ZWZ (później AK). Od listopada 1941 r. pełnił funkcję komendanta miasta. Wczesnym rankiem 8 października 1942 r. gestapo przeprowadziło aresztowania czołowych działaczy polskiego podziemia w Chełmie, wśród których znalazł się też Waśniewski. Po krótkim pobycie w więzieniu chełmskim aresztowanych przetransportowano na Zamek lubelski, gdzie poddani zostali ciężkiemu śledztwu, po czym skierowani do obozów koncentracyjnych. Waśniewski przeszedł przez Majdanek, Oświęcim, Sachsenhausen, Oranienburg i pod koniec wojny znalazł się w obozie w Bergen-Belsen. Tam na krótko przed wyzwoleniem, wymęczony dwu i półroczną mordęgą obozową, zmarł z wycieńczenia w kwietniu 1945 roku, mając lat 54.

W 70-lecie urodzin malarza i poety, rada miejska Chełma przemianowała ulicę Zacisze, przy której mieszkał, na ulicę jego imienia. Natomiast w 1977 r. Oddział PTTK wydał medal pamiątkowy dla uczczenia twórców „Kameny”. Widnieją na nim dwa portrety: K. A. Jaworskiego i Z. Waśniewskiego. Nad nimi ukazany został Pegaz pędzący po gwiazdnej drodze poezji i sztuki.

Konstanty Prożogo

Biblioteka  
UMCS  
Lublin



Spółeczny Komitet Budowy Pomnika Żołnierzy Armii Krajowej w Chełmie zwraca się z apelem do wszystkich, którym droga jest pamięć i ofiara krwi przelanej przez żołnierzy AK, poległych w walce, zamordowanych w więzieniach i obozach odosobnienia, o poparcie inicjatywy budowy pomnika im poświęconego.

Powinien on stać się symbolem pamięci, szacunku i hołdu bohaterom walki o niepodległość i suwerenność naszego kraju. Będzie nam przypominać tych wszystkich żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji AK oraz żołnierzy Inspektoratu Ziemi Chełmskiej AK, którzy oddali swoje młode życie, by bronić ludność polską na Wołyniu i Lubelszczyźnie.

Dla AK-owców z Wołynia, którzy przeżyli, Chełm stał się miejscem szczególnym — jakby drugą Ojczyzną. Stąd też narodził się pomysł budowy pomnika właśnie w Chełmie.

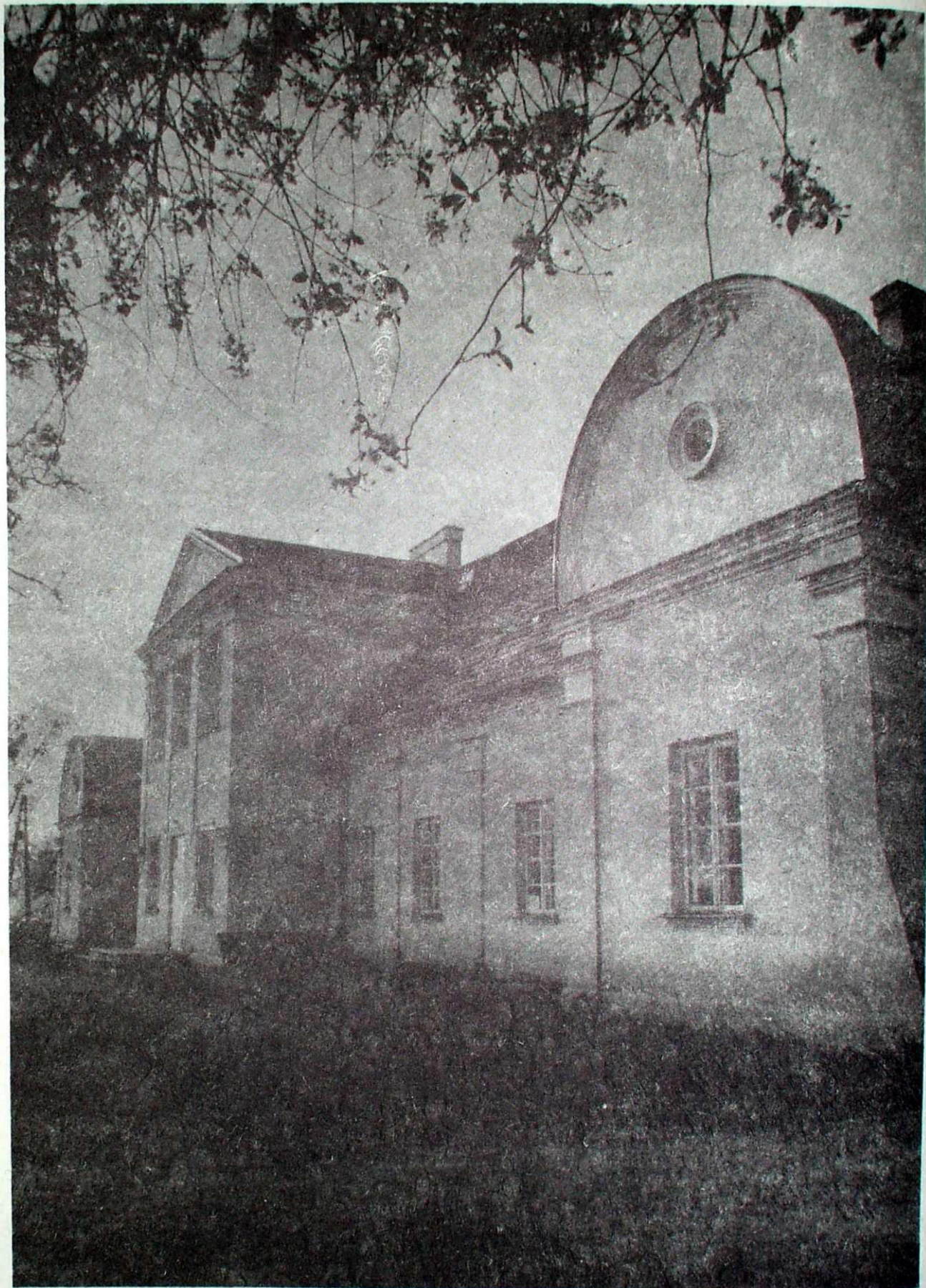
Wierzymy, że nasze działania spotkają się z poparciem społeczeństwa. Wszystkich, którzy zechcą wesprzeć finansowo budowę pomnika prosimy o wpłaty na konto:

Spółeczny Komitet Budowy Pomnika Żołnierzy AK w Chełmie

Bank Depozytowo-Kredytowy w Lublinie O/Chełm  
— 331003-53282-132



Lech Radwański: „Profile Chełma”, 1962



*KAROL DROMLEWSKI: Barokowy pałac w Dorohusku, wzniesiony w I poł. XVIII w. przez Michała Maurycego Suchodolskiego. Mocno zniszczony już w międzywojniu, ostatnio odzyskał dawny wygląd — po kapitalnym remoncie konserwatorskim*